

SERIA  Z KILEREM

AGNIESZKA KRAWCZYK

DZIEWCZYNA Z ANIOŁEM



CZEŚĆ PIERWSZA

W MROK

Wiosną 1959 roku Kraków żył trzema wydarzeniami – występami słynnej tancerki Josephine Baker, powodzią stulecia, podczas której woda w Wiśle wezbrała na wysokość siedmiu metrów, oraz tajemniczą śmiercią Iwony Horn.

Morderstwo maturzystki, zabitej przed Wielkanocą w mieszkaniu jej rodziców przy ulicy Batorego, wstrząsnęło całym miastem. Wszędzie – na poczcie, w sklepie, na ulicy, w kościele i w kawiarni – mówiono tylko o tym. Z dnia na dzień plotki stawały się coraz bardziej fantastyczne: szeptano o porwaniu, krwawych rytuałach, gwałcie i znieważeniu zwłok. Każda plotkara znała osobiście przynajmniej jedną osobę, która „na własne oczy” widziała te okropieństwa. Mnożyły się domysły i spekulacje. Mówiło się o zemście, zbrodniczej miłości, czasami morderstwo to miało być karą za jakieś grzechy ojca Iwony, prokuratora Horna, innym razem fatalną pomyłką. Miasto wiedziało wszystko i jednocześnie nie miało pojęcia o niczym.

Oczywiście, władze nie szczędziły sił, by tonować nastroje. Zabójstwo pięknej dziewczyny zawsze budzi silne emocje. A Iwona Horn nie była zwykłą uczennicą z liceum Nałkowskiej. Była rajskim ptakiem, istotą z innego, lepszego świata. Kiedy o tym piszę, ciągle mam przed oczyma jej bladą pociągłą twarz z mocno zarysowanymi kośćmi policzkowymi. Oczy o regularnym kształcie migdałów ocieniały długie, podkreślane na końcach rzęsy. Wydawała się pociągająca i niebezpieczna jednocześnie.

Nie. Śmierć takiej dziewczyny nie mogła przejść bez echa. Mimo to pierwsze doniesienie w „Kronice wypadków” „Dziennika Polskiego” było więcej niż lakoniczne: została uduszona poduszką, a jej ciało znaleźli rodzice wracający ze świątecznego wyjazdu do krewnych. Następnego dnia gazeta napisała, że milicja prowadzi „intensywne działania śledcze” i jest już bliska schwytania sprawcy.

Nic bardziej mylnego. W ciągu tych kilku nerwowych tygodni poprzedzających aresztowanie mordercy zrozumiałem, że wszyscy wokół mnie kłamią i są równie bezradni i przerażeni jak ja sam.

Ja też kłamałem. Przez te wszystkie lata ukrywałem prawdę, ale teraz jest mi coraz trudniej milczeć.

Przeczytałem kiedyś, że każdy mijający dzień zabiera odrobinę brzemienia przygniatającego serce kłamcy. Dla mnie upływający czas wcale nie był łaskawy. Dni zamieniały się w miesiące, a te w lata, ale pamięć owej wiosny roku 1959 na zawsze we mnie pozostała. Była jak jad, który zatrzał moje życie i zmienił mnie w kogoś zupełnie innego. Kim byłbym, gdyby nie śmierć Iwony Horn? Wielokrotnie zadawałem sobie to pytanie, stając w oknie mego obskurnego mieszkania naprzeciwko dawnej ubezpieczalni przy Batorego i patrząc na ludzi spieszących ulicą do swoich spraw. Oczywiście nie mogę tego wiedzieć, jestem jednak pewny, że nie spędziłbym tych lat w poczuciu winy, beznadziei i życiowej porażki.

Minęło wiele czasu. Jestem już stary. Pewnie zabrałbym tę historię do grobu, gdyby nie

dziwne wydarzenie z ostatnich dni. Zdarzyło się coś, co boleśnie przypomniało mi tamten czas.

Myszę, że nie skrzywdzę już dzisiaj nikogo, wyjawiając prawdę, ponieważ opisane tu fakty od lat spowija mgła niepamięci. W ten sposób choć na chwilę przywrócę do życia bohaterów tamtych dni, w tym kogoś, kto był moim najlepszym i jedynym przyjacielem, ale ja nie umiałem wówczas tego docenić i zrozumieć. Chciałbym, aby i on pojawił się w tej opowieści – odważny, zawsze czujny i wierny. Niech przemówi w niej własnym głosem, przedstawiając wydarzenia, w których nie mogłem wspólnie z nim uczestniczyć. Będę miał złudzenie, że doktor Gruszewski wciąż stoi u mego boku pełen współczucia i mądrości płynącej ze strasznych doświadczeń życiowych, o których potrafił milczeć.

Ja... Byłem wówczas słaby i bałem się. Tak, wiem – nic mnie nie usprawiedliwia i od lat noszę w sobie piętno tego, który zawiódł w najważniejszym momencie.

Tajemnica coraz bardziej mi ciąży. Wiem, że nadszedł w końcu czas, by ją komuś powierzyć.

Proszę bardzo – oto opowieść zdrajcy...

Tamtej wiosny miałem szesnaście lat i chodziłem do dziesiątej klasy Liceum Ogólnokształcącego imieniem Augusta Witkowskiego, nazywanego przez uczniów i nauczycieli Piątym Zakładem Naukowym, choć tak naprawdę nigdy nie nosiło tego szacownego miana, bo za matczyki Austrii było po prostu Wyższą Szkołą Realną, a za dwudziestolecia Państwowym Gimnazjum Matematyczno-Przyrodniczym.

Szkolny budynek, czyli ponure gmaszysko wzniesione w niezgrabnym stylu charakterystycznym dla XIX-wiecznych szpitali i miejskich ochronek, dominował nad lewą stroną ulicy Świerczewskiego. Trzeba wiedzieć, że była to niezbyt reprezentacyjna, wąska uliczka, biegnąca w kierunku Plant. Niegdyś zamykał ją pałac Wodzickich, z którego nie pozostały nawet fundamenty, a teraz ulicę Świerczewskiego wyróżniały w szczególności trzy posesje. Kamienica naprzeciwko szkoły należała do rodziny Zollów, znanych krakowskich adwokatów, zaś ta przylegająca do budynku po prawej była własnością krewnych malarza Piotra Michałowskiego. Po lewej stronie szkoła sąsiadowała natomiast z ogrodem klasztornym ojców Kapucynów, co stanowiło niekończące się utrapienie biednych mnichów. Ileż to razy ojciec przeor musiał interweniować osobiście u dyrektora, skarżąc się na uczniów obrażających pracujących w ogródku braciszków? Wypominał nieobyčajne gesty pokazywane z okien, przynosił „niezbite dowody” notorycznie powtarzających się przestępstw polegających na obrzucaniu zakonników workami wypełnionymi wodą... Doszło nawet do tego, że w szkole wprowadzono zakaz otwierania popołudniami okien, które wychodziły na teren klasztoru. Stanowiło to jawną kapitulację ze strony dyrektora, który musiał przyznać, że nie daje sobie rady z psimi figlami swoich wychowanków.

Była to bowiem szkoła męska, kształcąca przede wszystkim w przedmiotach ścisłych. Moją klasę „łacińską” ze względu na wiodący język, nazywano także „zbójecką”, ponieważ wywodziły się z niej najtęższe umysły ścisłe i najbardziej uzdolnieni aktorzy. Czasem obie te umiejętności łączyły się w jednej osobie, takiej jak na przykład Adam Milicz, który ciągle nie mógł wybrać, czemu się poświęci: matematyce czy teatrowi.

W tym czasie założony przez naszego dyrektora Teatr Międzyszkolny odnosił największe sukcesy w swojej historii. Wystawialiśmy dosyć ciekawy repertuar, oparty na kompilacji fragmentów dramatów rodzimych klasyków, której dokonywał osobiście dyrektor, teatroman i polonista. Gdy patrzę na to z perspektywy półwiecza, wydaje mi się, że celem tego zacnego pedagoga było po prostu obudzenie w „ordynarnych barbarzyńcach”, jak nas nazywał, miłości do polskiej literatury. Od początku jego kadencji wystawiliśmy montaż poświęcony Mickiewiczowi, Słowackiemu, Norwidowi oraz Wyspiańskiemu. Pamiętam, że gdy graliśmy ten ostatni, zatytułowany pompatycznie *Narodowe Theatrum*, recenzent teatralny „Dziennika” osobiście przyszedł gratulować dyrektorowi.

„Graliśmy” to oczywiście wielkie słowo. Ja przedstawiałem przeważnie halabardników, służących wnoszących listy, a w montażu poświęconym Mickiewiczowi trafiła mi się prawdziwa gratka, gdyż otrzymałem rolę Wajdeloty. Nie byłem uzdolniony aktorsko, ale brałem udział we wszystkich przedstawieniach. Miałem dobrą motywację – w Teatrze Międzyszkolnym występowały dziewczęta z Nałkowskiej, czyli z żeńskiego liceum numer VII, które wówczas mieściło się zaledwie kilka przecznic od naszej szkoły, przy ulicy Michałowskiego. Ponieważ dyrektor był nie tylko autorem wszystkich naszych sztuk, ale i reżyserem oraz głównym scenografem, po pro-

stu katował nas próbami. Policzyłem kiedyś, że do jednego tylko przedstawienia próbowaliśmy 49 razy, nie licząc próby generalnej i wcześniejszej kostiumowej.

W dziesiątej klasie wziąłem udział w widowisku będącym sceniczną adaptacją biografii Słowackiego pod charakterystycznym dla naszego dyrektora tytułem *Zostanie po mnie ta siła fatalna*. Ze względu na moje słabe umiejętności aktorskie otrzymałem rolę ślepego Rapsoda, co sprowadzało się do długiego wyczekiwania za kulisami z drewnianą lirą i wypowiedzenia może trzech zdań pod koniec inscenizacji. W sztuce tej zabłysła gwiazda Adama Milicza, który brawurowo zagrał Kordiana, przyćmiewając nawet niezwykle utalentowanego aktorsko kolegę z klasy XI „b”, Michała Webera, odtwarzającego teoretycznie główną rolę Juliusza Słowackiego. Adam w swojej partii był po prostu porywający. Dość powiedzieć, że spektakl ten graliśmy nie tylko w auli naszej szkoły dla zaprzyjaźnionych uczniów i rodzin, ale kilkakrotnie pokazywaliśmy go w świetlicach fabrycznych, w tym również w Nowej Hucie. Sztuka dostała nawet jakąś nagrodę, wszyscy zostaliśmy sfotografowani na wyraźne życzenie dyrektora i zdjęcia te otaczające ozdobny dyplom uznania zapoczątkowały wystawę pamiątek Teatru Międzyszkolnego, która w późniejszych latach opanowała korytarz pierwszego piętra, strasząc wyblakłymi tableaux przez kolejne pół wieku.

Brawurowe wykonanie improwizacji na Mont Blanc doprowadziło żeńską część publiczności do łez, a Adam Milicz stał się ulubieńcem widowni. Temu chłopakowi zresztą wszystko przychodziło równie łatwo: nauka, występy w teatrze i podrywanie dziewcząt, które co do jednej w nim się kochały. Milicz był tak popularny w żeńskim liceum, że nawet na próbach towarzyszyła mu spora gromadka wielbicielek, które obsiadały krzeselka w naszej auli jak barwne stadko ptaków. Gdy pojawiał się ich idol, reagowały bardzo żywiołowo, próbując – jedna przez drugą – zwrócić na siebie jego uwagę. Stąd nieustanny gwar, śmiechy i piski na próbach, które próbował uciszać nasz surowy dyrektor. Niestety, jedynym skutecznym sposobem na opanowanie sytuacji było wyproszenie dziewcząt z sali, do której jednak one natychmiast wracały.

Oczywiście wszyscy – a zwłaszcza ja, groteskowo piegowaty chudzina, wysoki jak tyczka – zazdrościliśmy mu tego powodzenia, z którego skwapliwie korzystał, obdarzając swym zainteresowaniem to jedną, to drugą „ptaszynę” ze swego wiernego kółka. Co próba wychodził z inną dziewczyną, odprowadzając ją do domu i czarując rozmowami o teatrze.

Od mojej młodszej siostry wiedziałem, że rywalizacja o względy Adama stała się głównym tematem plotek na korytarzach w Nałkowskiej.

Eliza z ogromnym niesmakiem opowiedziała mi, że słyszała od koleżanki o bójce dwóch dziewcząt, które pokłóciły się o to, z którą aktualnie spotyka się Adam. Bójka to może wielkie słowo, bo chodziło o banalną szarpaninę za włosy, ale zrobiło to na mnie pewne wrażenie. Nałkowską powszechnie uważano za szkołę z tradycjami, gdzie podobnego typu incydenty się nie zdarzały, o co dbała dyrektorka, pani profesor Zofia Ostrowska. Była to szalenie dystyngowana dama, wymagająca na przykład, by uczennice przychodziły na lekcje w rękawiczkach, gdyż „tak właśnie nosi się w Nowym Jorku”, który dla pani profesor – anglistki z wykształcenia – był stolicą szyku i dobrego smaku.

Mimo nowojorskich manier szkoła nie była zamerykanizowana, wręcz przeciwnie, trąciła krakowskim konserwatyzmem i wszelkie objawy niesubordynacji od razu tłumiono. Awantura o chłopaka zdecydowanie zatem wykraczała poza zasady, których przestrzegano w „siódemce”. Jeżeli więc doszło do czegoś takiego, oznaczało to, że Adam Milicz był tam po prostu bogiem!

On zaś nic sobie nie robił z tej popularności, bo najwyraźniej zakochał się w Iwonie Horn. Pojawiła się na próbie niespodziewanie i sądzę, że był to po prostu jeden z jej wielu kaprysów. Gdy tylko weszła do auli, od razu wiedziałem, że oto widzę autentyczną królową, roztaczającą dziwny blask. Nosiła czarną spódnicę na sztywnej halce oraz modną bluzeczkę z dużym dekol-

tem na plecach. Włosy miała ściągnięte w koński ogon, który aż iskrzył się przy każdym poruszeniu. Dość powiedzieć, że od tego momentu nie opuściłem już żadnej próby, stając się najwierniejszym uczestnikiem przedstawienia. Rola, którą otrzymała, czyli anioła Eloë z poematu *Anhelli*, była dla niej wprost stworzona. Iwona nie miała, co prawda, takiego talentu jak Adam, mówiła cicho i ze słabą dykcją, ale potrafiła wprost genialnie grać gestami i ciałem. Było w niej coś nieprawdopodobnego i zwierzęco magnetycznego. Gdy jako Eloë załamywała ręce nad martwym Anhellim, odrzucając długie ciemne włosy na plecy i padając na kolana, przeszywał mnie dreszcz. Miałem wrażenie, że jestem świadkiem jakiejś sekretnej przemiany – oto z ładnej dziewczyny pod wpływem sztuki wychodził autentyczny demon. Potrafiłem zapatrzeć się w nią do tego stopnia, że zapominałem o swoim wejściu na scenę. Inspicjent, którym był mój kolega z klasy, wydierał się wówczas na całą aulę: „Rapsod, Rapsod – gdzie jest ślepy Rapsod?” – co zwykle przywracało mi rozsądek. Moje zaangażowanie w próby miało tę wielką zaletę, że po kilku spotkaniach umiałem już tekst całej sztuki na pamięć i mogłem przejąć rolę suflera od wielce znużonego tym zajęciem Tadka Brauna z klasy X „a”.

Obie szkoły huczały od plotek. Iwona była znana w liceum Nałkowskiej jako wielka skandalistka. Widywano ją mocno umalowaną w przeciwdeszczowym płaszczu i wełnianym berecie, fantazyjnie przekrzywionym na czole. Wszyscy wiedzieli, że uwielbiała książkę Remarque’a *Łuk triumfalny* i postanowiła w maturalnej klasie zmienić imię na Joanna, bo tak nazywała się główna bohaterka powieści. Zamierzała też zdawać na romanistykę, co wydawało się tym łatwiejsze, że jej matka była Francuzką.

Hornowie mieszkali blisko nas, w eleganckiej kamienicy przy Batorego, ozdobionej od frontu płaskorzeźbami. Iwona wydawała się niemal kopią swojej niezwykle pięknej matki. Pani Horn farbowała włosy na kolor ciemnej miedzi, nosiła wymyślne kapelusze, które ponoć sama szyła, i wytworne suknie o zagranicznym kroju. Rzadko się odzywała, a gdy już tak się zdarzyło, mówiła z obcym akcentem, którego chyba trochę się wstydziła. Nie pracowała zawodowo, nie zajmowała się też domem, bo Hornowie mieli służącą, czy jak to się wtedy mówiło, „dziewczyne”. Służąca ta, rodem z podkrakowskiej wioski, mieszkała w służbówce ich ogromnego mieszkania i prowadziła całe gospodarstwo. Niejednokrotnie widziałem, jak z koszykiem biegnie po zakupy lub trzepie na podwórku dywany. Czym w tym czasie zajmowała się pani Horn – nie miałem pojęcia.

Iwona miała jeszcze młodszą o dwa lata siostrę, bardzo brzydką i niezgrabną Jolę, która chodziła kiedyś do tej samej klasy co Eliza. Kiedyś, czyli zanim moja siostra zachorowała na polio i została kaleką.

Epidemia tej strasznej choroby szerzyła się w Polsce przez całe lata 50., a opanowano ją dopiero dzięki szczepionce Salka w latach 60. – moja siostra nie miała tyle szczęścia, by przejść ją bez szwanku. Choroba początkowo wyglądała jak zwykła grypa, z bólami mięśni i gorączką. Wezwany do Elizy doktor Gruszewski, stary przyjaciel mojego ojca i nasz domowy lekarz, który mieszkał w sąsiadującej z naszą oficynie, od razu polecił matce, by zawiozła Elizę do szpitala za każdym razem.

– To Heine – powiedział tylko. – Nie ma na co czekać!

Matka była tak przerażona, że zupełnie straciła głowę, i płakała tylko, zasłaniając twarz rękami. Ojciec pobiegł po dorożkę i odwiózł Elizę do szpitala uniwersyteckiego.

Ja nie zachorowałem, choć rodzice bardzo się tego obawiali. Podobno czasami tak się działo, że jedno z dzieci padało ofiarą tego podstępnego wirusa, a drugie nie. Eliza chorowała ciężko, ale nie umarła. W tamtych czasach ukrywano dane o epidemii, mówiło się o kilku tysiącach zachorowań i kilkuset przypadkach śmiertelnych. Na pewno było ich mnóstwo. Do dzisiaj spotykam na ulicy ludzi, w moim wieku i nieco młodszych, którzy w charakterystyczny sposób

powłóczą nogą. Tak jak moja siostra, której choroba sparaliżowała prawą stopę. Najpierw chodziła o kulach, a potem w specjalnym aparacie ortopedycznym, którego bardzo się wstydziła. Mama szyla jej długie sukienki i robiła na drutach getry, które można było naciągnąć na aparat. Eliza jednak nie chciała chodzić do szkoły ani nawet opuszczać domu. Przesiadywała w swoim pokoju, czytając książki, albo patrzyła przez okno na ulicę.

Niespodziewanie Elizę zaczęła odwiedzać Jola Horn. Pierwszy raz przysłała z prezentem od matki, którego oczywiście moja mama nie chciała przyjąć, jako że rodzice, a zwłaszcza ojciec, nie cierpieli Hornów. Zmiękła jednak, gdy Eliza rozwinęła pakunek. Były to drogie, specjalnie sprowadzone z zagranicy pończochy zwane fildekosami, wzorzyste i bardzo grube. Te pończochy Eliza bez trudu założyła na aparat ortopedyczny, a ich wzór – pamiętam, że były szare z wypukłym czarnym deseniem – sprawiał, że wyglądała bardzo szykownie. I odwracały uwagę od jej ułomności.

– Podziękuj mamusi – skapitulowała nasza matka, widząc szczęśliwe oczy Elizy.

W ten sposób Jola stała się najlepszą przyjaciółką mojej siostry i prawie codziennie wpadała do nas z nową porcją plotek z Nałkowskiej oraz zeszytami do przepisania.

Szybko okazało się, że Jola jest bardzo słaba z przedmiotów ścisłych, które jak sama mówiła, „nie wchodziły” jej do głowy. Wymyśliłem wówczas szatański – w moim mniemaniu – plan, mający mnie zbliżyć do Iwony, jako że na próbach nie miałem śmiałości do niej podejść. Zaproponowałem, że podciągnę Jolę z matematyki i fizyki. Moja siostra bardzo poparła ten pomysł, zadowolona, że może jakoś zrewanżować się przyjaciółce. Jola także się nie wzbraniała, licząc najwyraźniej, że po prostu będę za nią odrabiał zadania. W ten sposób dostałem się do mieszkania Hornów – reprezentacyjnego lokalu na pierwszym piętrze od frontu – nie spowiadając się oczywiście z tych wizyt rodzicom. Byłem pewny, że o ile znoszą obecność Joli u nas, nie będą tolerowali moich odwiedzin w tamtym domu.

Byłem coraz bardziej zafascynowany Iwoną i podsłuchiwałem wszystko, co mówiły o niej koleżanki z Nałkowskiej obecne na próbach. Ich zdaniem była „dziwna” – podobno lubiła spacerować po mieście, zaglądać do małych kawiarni i popijać drobnymi łykami „Złotą jesień” – polską biedną odmianę słynnej brandy z cydru.

Nie wiem, czy rzeczywiście pijała calvados albo nawet tę jabłkową wypalanekę, ale gdy odwiedziłem raz Jolę, zobaczyłem jej siostrę siedzącą samotnie w pokoju i palącą papierosa marki Gauloises. Wypisane na wieczku opakowania hasło reklamowe „Liberté toujours” – „Zawsze wolność” bardzo pasowało mi do Iwony. Na adapterze kręciła się płyta, a Sława Przybylska głębokim głosem śpiewała *Pamiętasz, była jesień*. Iwona patrzyła rozmarzonym wzrokiem w dal, a mnie wydała się urzekająco piękna w tej tytoniowej mgle, spowita jakby srebrzystą zasłoną. Chyba tego właśnie dnia zakochałem się w niej na śmierć i życie.

Jola wprowadziła mnie kiedyś potajemnie do pokoju siostry. Wizycie tej towarzyszyły uniesienia prawie mistyczne. Bałem się oddychać w owym świętym miejscu. Pokój urządony był nader skromnie – jedynie imponująca gdańska szafa ozdabiała nieco to puste i smutne miejsce. Iwona nie posiadała zbyt wielu sprzętów, nie gromadziła też bibelotów. Miała proste biurko z dębowego drewna, na którym stała metalowa lampa z giętką nóżką przytwierdzoną do blatu poplamionego atramentem i tuszem, a w jednym miejscu przypalonego jakby przez gorące żelazko. Jola wyznała mi szeptem, że gdy były małymi dziewczynkami, a biurko to stało jeszcze w gabinecie ich ojca, prokuratora Horna, Iwona wygrzebała z jednej z szuflad pistolet. Obie zaczęły go z zainteresowaniem oglądać, celując w różne przedmioty, i niespodziewanie Iwona nacisnęła spust – pistolet był nabity i wystrzelił. Pocisk utkwiał w blacie biurka. Przerażona Jola wpadła w histerię, a Iwona, by ukryć ślady swego występu, postawiła w tym miejscu gorące żelazko. Ojciec oczywiście strasznie się gniewał o zniszczony mebel, ale za to nigdy nie dowiedział się, że

myszkowały w jego rzeczach i znalazły broń.

Zaciekawiała mnie ta sprawa. Spytałem Jolę o pistolet Horna, chciałem, żeby mi go pokazała. Przerażona pokręciła przecząco głową. Kilka tygodni po wypadku z żelazkiem Iwona – mimo błagań siostry – ponownie przeszukała biurko ojca. Broni już tam nie było. Musiał wynieść ją z domu albo schować gdzie indziej.

Uszkodzony mebel trafił później do pokoju Iwony i tu już został. Na ścianie za biurkiem wisiała okropna słomiana mata, pełna pocztówek z widoczkami z południa Francji – pani Horn pochodziła z Marsylii – ekliwie kiczowatych, przedstawiających nienaturalnie błękitne morze i ostre wapienne skały, jakieś luksusowe statki pasażerskie i jachty. Pośród widokówek uwagę zwracało duże zdjęcie mężczyzny o zmarszczonych brwiach pod kapeluszem borsalino i z papierosem w zaciśniętych wąskich wargach.

Początkowo myślałem, że to zmarły dwa lata wcześniej Humphrey Bogart, ale był to Remarque. Iwona znalazła to zdjęcie w jakiejś książce i kazała powiększyć w nowo powstałym zakładzie fotograficznym przy ulicy Karmelickiej.

Z tym miejscem wiązał się zresztą wielki skandal z Iwoną w roli głównej. Fotograf namówił ją na zrobienie kilku zdjęć, które ozdobiły witrynę i stały się przyczyną zawieszenia dziewczyny w prawach ucznia. Wystąpiła na nich w stroju odaliski i choć twarz miała zasłoniętą kwefem, i tak wszyscy wiedzieli, kim jest ta porażająco zgrabna piękność z nagim brzuchem. W podobnym stroju Iwona pojawiła się na balu swojej klasy, wzbudzając sensację. Na balu była może z piętnaście minut, wyprowadzona przez profesor Ostrowską. Podobno niezbyt się opierała, a jej głośny gardłowy śmiech wtórujący ostrej reprimendzie dyrektorki słyszano jeszcze pod szkołą.

Wyczyny Iwony odbijały się szerokim echem w naszym małym uczniowskim światku. Pewnie dawno już usunięto by ją ze szkoły, gdyby nie jej ojciec, prokurator Horn.

Ignacy Horn był dawnym przyjacielem mego ojca. Dawnym, gdyż obecnie nie rozmawiali już ze sobą. Obaj mieli w swoich życiorysach epizod wojny hiszpańskiej, który na zawsze zmienił ich losy. Mój ojciec wrócił z Hiszpanii jako zaciekle antykomunista, Horn stał się wielbicielem Stalina.

„Jeśli chcesz znać prawdę o wojnie w Hiszpanii – mówił mój ojciec – nie czytaj tego durnia Hemingwaya. Poczytaj sobie Orwella, on naprawdę wiedział, o co w tym wszystkim chodzi”. Ja także nie bardzo wiedziałem, o co chodziło. Mój ojciec i Horn walczyli w Brygadach Międzynarodowych, a na początku wojny jeden drugiemu uratował życie. Potem ich drogi się rozeszły. Horn związał się z partią komunistyczną, a mój ojciec z anarchistami. Gdy o tym wspominał, zaciskał usta i zaczynał nerwowo chodzić po pokoju. Hiszpańscy komuniści byli ściśle kontrolowani przez ZSRR, więc gdy wojna rozgorzała na dobre, rozpoczęły się czystki wedle sprawdzonych sowieckich wzorców. Wrogów lewicy, w tym wielu anarchistów, zlikwidowało NKWD. Tak zginął Andres Nin, przyjaciel mego ojca, zamordowany przez tajną policję Republiki.

„Tajna policja Republiki!” – gorączkował się ojciec. „Czy ty to rozumiesz, synu? Republika, która miała dać wszystkim wolność i równość, nagle, za sprawą tych sowieckich siepaczy, ma tajną policję! Policję, która porywa, torturuje, zabija... A mój przyjaciel Ignacy mówi mi wówczas, że tak musi być, bo należy oddzielić ziarno od plew, i gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą...”

Ojciec rzadko wspominał Hiszpanię, ale gdy to robił, przez kilka następnych dni milczał, był rozdrażniony i nie wychodził z pokoju. On i Ignacy Horn nigdy się do siebie nie odzywali i o ile wiem, nawet nie kłaniali się sobie na ulicy. Wiedziałem, że obaj trafili do obozu koncentracyjnego Miranda de Ebro, skąd wydostali się tuż przed wybuchem wojny z Niemcami. O tym, co dalej działo się z Hornem, ojciec nie mówił. Na pewno dotarł do Francji, bo tam poznał swoją żonę. Po zakończeniu okupacji stał się ważną figurą w nowej Polsce Ludowej. Miał nawet zostać

ministrem, ale skończyło się na stanowisku prokuratora. Jego szerokie wpływy i wielkie możliwości były wszędzie znane. To, że chronił swoją córkę przed wyrzuceniem ze szkoły, nie wymagało od niego zbyt wielkiego wysiłku. Były to czasy, gdy prokurator mógł naprawdę wszystko. W procesach politycznych zapadały wyroki śmierci, które wykonywano bez większego ociągania. Przez pewien czas Horn i jego rodzina mieli nawet ochronę.

„Stalinowski prokurator” – powiedział kiedyś ze wstrętem ojciec i była to ostatnia rzecz, jaką usłyszałem od niego o Hornie.

Nie muszę mówić, że rodzice niezbyt przychylnie patrzyli na moje wizyty w domu prokuratora, gdy w końcu wydało się, gdzie znikam prawie każdego popołudnia. Matka wprost mi tego zabroniła, mówiąc, że ojca martwią bardzo moje nieodpowiednie znajomości. Tacie nie podobała się nawet przyjaźń Joli z Elizą. Jednakże Jola, poczciwe brzydactwo o dobrym sercu, potrafiła zaskarbić sobie nie tylko przychylność matki, ale coś w rodzaju uprzejmej obojętności ojca, który po prostu starał się jej nie zauważać.

Ja natomiast znalazłem się w trudnej sytuacji. Pomagałem Joli z matmy, żeby choć raz na jakiś czas rzucić okiem na Iwonę. Teraz jednak nie chciałem okłamywać rodziców i chodzić tam ukradkiem. Uczyc Joli na neutralnym gruncie, powiedzmy w czytelnicy, nie miałem ochoty. Była tak tępa, że miałem do niej cierpliwość wyłącznie z powodu pięknej siostry.

Przestałem zatem bywać u Hornów, całą swoją uwagę poświęcając uczestniczeniu w próbach do montażu o Słowackim. Ponieważ, jak już mówiłem, grałem niezbyt znaczącą rolę, moim największym marzeniem stało się, by odtwarzający Anhellego Dziuk Gałęcki z równoległej klasy pochorował się i mnie wyznaczono na jego zastępcę. Nie wiem, na ile takie zaklęcia są skuteczne, dość jednak powiedzieć, że rzeczywiście Dziuk po miesiącu prób zapadł na szkarlatynę.

To była moja jedyna szansa. Iwona Horn nie zwracała na dziada lirnika najmniejszej uwagi, a suflera zaszczyciała spojrzeniem tylko w tym momencie, gdy trzeba było podać właściwą liniijkę tekstu. Choć byłem z natury nieśmiały i zamknięty w sobie, zebrałem się na odwagę i poszedłem do dyrektora prosić o rolę.

Zmierzył mnie spojrzeniem, w którym malowało się bezbrzeżne zdziwienie. Odniosłem nawet nieprzyjemne wrażenie, że zastanawia się, kim właściwie jestem i czy chodzę do jego szkoły. W innej sytuacji zbiłoby mnie to z pantafelów i zmusiło do wycofania się, ale tym razem miałem bardzo silną motywację. Przypomniałem dyrektorowi, że oprócz roli ślepego Rapsoda zajmuję się też suflerką, zatem znam całą sztukę na pamięć. „Bez trudu mogę wcielić się w każdą postać, Jula Słowackiego, Kordiana, Anhellego, a nawet Mazepę” – perorowałem, zaskoczony swoją wymownością. Dyrektor ciągle przyglądał mi się ze zdumieniem. Próbowałem go przekonać, że szczególnie rola Anhellego jest dla mnie stworzona, marzę o zagranii jej i wreszcie to pragnienie ma szansę się urzeczywistnić.

Dyrektor położył mi dłoń na ramieniu i powiedział przyjacielsko, z kresowym zaśpiewem:

– Drogi chłopcze. Ja jestem w stanie wyobrazić sobie ciebie nawet grającego Króla Ducha, ale Anhelli jest już obsadzony. Zagra go Adam Milicz, co wydaje mi się bardzo interesującym pomysłem.

– Jak to? – wykrzyknąłem. – Adam gra już Kordiana! Nie może wziąć roli Anhellego!

– A czemuż by nie? – zdziwił się dyrektor. – Ewa Jankowska gra przecież Joannę Bobrową i Balladynę... Ja w ogóle początkowo myślałem, by wszystkie główne role męskie zagrał jeden aktor, ale to byłoby trudne do uniesienia...

Otwarłem już usta, by zaprotestować przeciwko temu nierozsądnemu – moim zdaniem – pomysłowi, ale dyrektor tylko machnął ręką.

– Młody człowieku, w kolejnym przedstawieniu postaram się powierzyć ci bardziej odpo-

wiedzialną rolę. A teraz dajmy Miliczowi zagrać Anhellego...

Rozmowa z dyrektorem przygnębiła mnie, ale i wzbudziła wściekłość. Już od jakiegoś czasu widziałem, jak Adam Milicz przygląda się Iwonie. Byłem pewien, że powziął ten sam pomysł co ja, ale jemu udało się przekonać dyra do swego planu.

Obserwowałem więc Iwonę i Adama w bezsilnej złości. Trzeba przyznać, że ich wspólna scena należała do najbardziej udanych. Widziałem, że niektóre bardziej wrażliwe osoby z widowni rozpląkały się przy pożegnaniu Eloë z Anhellim.

W tym czasie wszyscy już wiedzieli, że Iwona Horn spotyka się z Adamem.

Po próbach Adam wychodził z nami, zaś Iwona z koleżankami z Nałkowskiej. Gdzieś tak na rogu z Loretańską Adam „przypominał sobie”, że miał do załatwienia coś pilnego, i wracał w kierunku szkoły; to samo robiła ona. Potem już razem – odczekawszy, aż wszyscy znikną za rogiem – szli w kierunku Rynku.

Pewnego razu zacząłem się w bramie przy klasztorze Kapucynów prawie jak szpieg z francuskiego filmu i poszedłem za nimi. Skręcili w Jagiellońską, przeszli przez Rynek, rozmawiając i śmiejąc się głośno, po czym weszli w św. Jana, ulicę modnych lokali.

W tamtym czasie nie chodziłem po kawiarniach. No, może od czasu do czasu, jak wpadło trochę grosza, do cukierni zwanej Kopciuch, niedaleko mojego domu. Nigdy nie zaglądałem do autentycznych lokali, kawiarni z prawdziwego zdarzenia, do których zaliczał się Feniks, miejsce okryte naprawdę złą sławą. Krakowskie matrony poszeptywały do siebie o bezwstydnym aktorkach, które po wieczornych spektaklach, podchmielone winem, obnażają swe wdzięki, o bywających tam pisarzach i dziennikarzach, które to profesje od razu stawały się synonimem rozpusty i deprawacji nieletnich, pieśniarzach pobliskiej Piwnicy pod Baranami, którzy pod wodzą niejakiego Piotrusia Skrzyneckiego wyczyniają najróżniejsze ekscesy. Jednym słowem, było to miejsce, o którym nikt porządny nie powinien nawet myśleć, a jednak wszyscy o nim marzyli.

Feniks był wówczas najpopularniejszą kawiarnią w mieście i praktycznie od godziny 13.00 nie sposób się do niego było wepchnąć bez używania kolana i łokcia. Sala czerwona mieściła bezbożny dancing, zaś zielona ciągnąca się od rogu Rynku Głównego – kawiarnię.

Właśnie tam weszli Iwona i Adam, czyli para licealistów udających studentów, i zanurzyli się w diaboliczną atmosferę tego miejsca.

Próbowałem ich wypatrzeć przez szybę, ale nie udało mi się, zresztą szybko zostałem przepłoszony przez mężczyznę z obsługi, który dosyć bezceremonialnym: „Spadaj szczeniaku” odgonił mnie od drzwi.

Wróciłem do domu, gdzie pogrążyłem się w rozpacz. Nigdy nie śmiałem marzyć o Iwonie Horn, ale mimo to ciągle wyobrażałam sobie, jak by to było, gdyby nagle zstąpiła ze swego Olimpu i poświęciła mi chwilę uwagi. Przeczytałem całego Remarque’a i choć czasami śmieszyły mnie jego złote myśli w stylu: „Nikt nie wydaje się bardziej obcy niż ktoś, kogo się kiedyś kochało”, miałem przynajmniej jakieś tematy do rozmowy, gdyby nadarzyła się taka okazja.

Teraz, gdy zobaczyłem Iwonę z Adamem Miliczem, kiedy ujrzałem, jak razem idą do kawiarni, zrozumiałem, że nie mam na co liczyć.

Zapałałem nienawiścią do Adama, którego dotychczas podziwiałem. Od tej chwili nie szczędziłem starań, by uprzykrzyć mu życie. Były to małe pętackie złościwostki, jakie może wymyślić smarkacz. Gdy zbierałem na polecenie profesorki klasówki z łaciny, wyrwałem jedną stronę z jego zeszytu, by praca wydawała się nieskończona. Przed meczem piłkarskim, w którym mieliśmy się zmierzyć z naszymi odwiecznymi wrogami, drużyną I Liceum imieniem Nowodworskiego, zwanego przez nas lekceważąco Nowodworem, schowałem mu buty. Miał wspaniałe piłkarskie obuwie przysłane w paczce przez jakiegoś krewnego z Anglii. Wszyscy mu zazdrościli, bo prawdziwe korki potrafiły zdziałać cuda na naszych błotnistych szkolnych boiskach. Utrata

tych butów była prawdziwym nieszczęściem, a ja ze złośliwą satysfakcją patrzyłem, jak niezwykle ciężony Adam drepcze po boisku w za małych trampkach jakiegoś przypadkowego rezerwowego.

Niestety wszystkie moje wysiłki spełzały na niczym. Adam Milicz był ponad moje sztuczki szturchańce, pomijał milczeniem i złą ocenę z klasówki, i utratę butów. Lekceważył to.

Jego zachowanie szybko mnie otrzeźwiło. Nie czułem się dobrze jako złośliwy troll przesładujący szkolne bóstwo. Dla odmiany postanowiłem się z nim zaprzyjaźnić. Zbliżyła nas do siebie namiętność do teatru. Obaj go uwielbialiśmy, a naszą radość potęgował fakt, że niedawno otwarto kolejną scenę, Teatr Rapsodyczny. Do Krakowa miała przyjechać sama Maria Dąbrowska, by obejrzeć własną sztukę Geniusz sierocy.

Adam chodził na wszystkie premiery, przepadał zwłaszcza za Szekspirem. Nasza bliższa znajomość zaczęła się od rywalizacji na cytaty z dramatów mistrza ze Stratfordu, którymi zaczęliśmy się przerzucać podczas przerwy w próbie. Pamiętam, że Adam zaczął kwestią Puka ze Snucy letniej: „Grają sztukę. Będę więc jej widzem, albo aktorem, gdy mi się spodoba”. Na co odpowiedziałem cytatem z Jak wam się podoba: „Świat jest teatrem, aktorami ludzie”. Bawiliśmy się w ten sposób kilka minut i obu nam sprawiało to przyjemność. Lubiłem tę grę, bo często towarzyszyła nam w domu podczas niezbyt wyszukanych posiłków. Zwykle wygrywał ojciec lub Eliza, jako najbardziej odcytani, ale ja starałem się im dotrzymać kroku. Teraz też, po chyba dwudziestu cytatach, zastanawiałem się, co odpowiedzieć na fragment z Juliusza Cezara: „Wołać będzie: mordować! I spuści psy wojny”. Namyślałem się chwilę i wreszcie odparłem: „Tchórz, zanim umrze, kona wiele razy, walecznych jedna tylko śmierć spotyka”.

– A, złapałem cię! – ucieszył się Adam, a ja przygryzłem wargi. Miał rację, popełniłem błąd, odpowiadając wersem z tej samej sztuki, którą cytował on.

– Jesteś w tym dobry – dodał z uznaniem, a ja ucieszyłem się, bo ta uwaga sprawiła mi przyjemność.

– Niestety nie mam talentu aktorskiego – powiedziałem ze smutkiem.

Adam machnął ręką.

– Obserwowałem cię. Twoim problemem jest brak techniki: stoisz na scenie z tą lirą i deklamujesz. A musisz grać. Wejść w postać, zapamiętać się w roli... Jeśli chcesz, mogę ci pokazać...

Próby trwały, a my zaprzyjaźniliśmy się. Ćwiczyliśmy nasze kwestie w pustej popołudniami bibliotece, Adam opowiadał mi o zawiłościach matematycznych, nad którymi się głowił. Pewnego dnia powiedział, że Iwona wspominała o mojej przyjaźni z Jolą.

– Moglibyśmy się kiedyś spotkać we czwórkę – zaproponował, a mnie przeszedł dreszcz. Byłem gotów znosić towarzystwo Joli nawet codziennie w nadziei na jeden wieczór z Iwoną.

Umówiliśmy się do kina. Z filmu – a był to uroczy obraz René Claira Piękności nocy – niewiele pamiętam, bo cały czas ukradkiem spoglądałem na Iwonę. Jej profil rysował się nieco bajkowo w zamglonej atmosferze kina Melodia, gdy z napięciem wpatrywała się w ekran. Śledziłem linię jej nosa przechodzącą w usta i podbródek, a gdy ekran się rozjaśniał, widziałem nawet cienie jej długich rzęs.

Była całkowicie pochłonięta filmem, skupiona, przeżywała go w milczeniu, podczas gdy pozbawiona wrażliwości Jola kręciła się na swym fotelu, narzekając na nudę. W tej chwili miałem ochotę ją uduścisć.

– Uwielbiam Francję, zwłaszcza Lazurowe Wybrzeże – powiedziała Iwona, gdy już wyszliśmy z kina, a ja uświadomiłem sobie, jak bardzo podobna jest do aktorki z tego filmu – Giny Lollobrigidy.

Skrzywiłem się. Nie podobały mi się zbytnio ckliwe plaże i morskie jachty, które zapa-

miętałem z pocztówek w jej pokoju.

– Z francuskich miast wolę Paryż – powiedziałem, a ona wreszcie spojrzała na mnie z uwagą.

– „I nagle ujrzeli Paryż leżący u ich stóp. Rozległy, skrzący się, wilgotny Paryż. Z ulicami, placami, nocą, chmurami i księżycem, Paryż. Wieniec bulwarów, błądy poblask pochyłości, wieże, dachy, ciemność rzucona w morze światła. Paryż. Wiatr od horyzontów, połyskliwe doliny, mosty z cieni i jasności, smugi deszczu oddalające się ponad Sekwaną, niezliczone światła pojazdów, Paryż. Wyrwany nocy, gigantyczny ul brzęczący życiem, wniesiony na milionie ścieków kanalizacyjnych, kwitnący ponad zaduchem podziemi, rak i Mona Lisa, Paryż” – wydeklowała powoli, patrząc mi w oczy.

Zamarłem. W pamięci szukałem jakiegoś cytatu, którym mógłbym odpowiedzieć na to jej wyzwanie. Bo wiedziałem, że jest to wyzwanie. Jeżeli nie zareaguję, na zawsze stracę jej uwagę; była to moja szansa, jedyna na milion. W pamięci przewertowałem Łuk triumfalny, szukając czegoś odpowiedniego, a miałem tylko chwilę, bo patrzyła na mnie z wyczekiwaniem i wiedziałem, że zaraz znudzona odwróci wzrok.

– „Była to widmowa podróż przez widmowy Paryż przesiąkająca nie pomyślanymi myślami i nie wypowiedzianym pożegnaniem bez powodu” – powiedziałem więc, a ona popatrzyła na mnie z aprobatą i uśmiechnęła się tym swoim słynnym uśmiechem, w którym tylko lekko podnosiła kąciki ust. Wyciągnęła zza dekoltu swetra ciężki wisior przedstawiający dziewczynę z aniołem i zaczęła się nim bawić, wciąż tajemnicza i zamyślona.

Doskonale pamiętam siebie – chuderlawego młodzieńca o nerwowych ruchach wpatrzono-ego w jej nieskazitelnie piękną twarz.

Adam brutalnie przerwał tę chwilę niezziemskiego oszołomienia.

– O czym wy, u licha, mówicie? – zniecierpliwiał się. – To ten film cię tak, Iwa, rozstraja. Mówiłem, żeby iść na Popiół i diament. Nie znoszę kostiumowych melodramatów w stylu Sissi – losy cesarzowej.

– Ale on jest od osiemnastu lat – pisnęła Jola. – Nie wpuściliby nas.

Tajemna nić porozumienia między mną a Iwoną zerwała się gwałtownie. Odwróciła głowę do Adama i zapytała o godzinę. Zrobiło się późno, trzeba było wracać. Adam zaproponował, że odprowadzimy dziewczęta do domu.

Przy pożegnaniu Iwona lekko ścisnęła moją dłoń, a mnie ponownie przeszedł dreszcz. Potem w domu przyglądałem się tej ręce, jakby licząc na to, że odcisnęła na niej swój ślad. Niestety nic nie pozostało po tym energetyzującym dotknięciu.

– Nie wydaje ci się – zaczął Adam, gdy brama zamknęła się za siostrami Horn, a ja na próżno próbowałem zobaczyć choć zarys sylwetki pięknej dziewczyny – że Iwona jest trochę dziwna?

Zaprzeczyłem. Mnie wydała się interesująca i tajemnicza.

Adam roześmiał się.

– No właśnie, tej tajemniczości to ona ma w nadmiarze. Coś mnie niepokoi w tej dziewczynie, kolego. Jest jakaś inna. Jakby nie z naszego świata.

Bąłem się z nim dyskutować. Na oczernianie Iwony nie miałem siły, a na to, by jej nie wychwalać, wystarczyło mi rozsądkiem.

– Nie stójmy tu – powiedziałem, ponieważ niedaleko mieścił się posterunek milicji.

– Słusznie – stwierdził Adam, rozumiejąc moje intencje, i poprosił, bym odprowadził go kawałek do domu. Mieszkał niedaleko, przy ulicy Dolnych Młynów, tuż obok słynnego sklepu kolonialnego pana Mola.

Przez całą drogę opowiadał o sobie. Stracił ojca podczas wojny i mieszkał z matką. Byli niezamożni, matka pracowała jako drobna urzędniczka, bodaj na poczcie. Adam pomagał jej jak mógł, przepisując dokumenty na zlecenie jakiegoś biura.

Od tego wieczoru zaprzyjaźniliśmy się naprawdę. Z jednej strony ciągle miałem nadzieję, że Iwona spojrzy na mnie jeszcze raz w taki sposób, jak zrobiła to po wyjściu z kina, ale z drugiej wiedziałem, że przy Adamie nie mam u niej żadnych szans. Musiałaby nastąpić jakaś kosmiczna katastrofa, żeby zamiast przystojnego młodzieńca spodobał jej się chudy jak szczapa wyrostek o twarzy pokrytej piegami niczym indyjskie jajo.

Adam miał niewielu kolegów. Jednym z nich był Leon Mierzejewski, z którym i ja się zaprzyjaźniłem.

Leon był dziwną postacią. Chodził z nami do klasy, ale zawsze trzymał się na uboczu. Rzadko zabierał głos podczas lekcji, ale nikt nie wątpił w to, że jest piekielnie inteligentny. A przy okazji również diabelsko niesympatyczny: celował w złośliwościach, umiał trafić w czuły punkt, momentami stawał się ogromnie dokuczliwy. Trudno się dziwić, że nie lubiano go, a w młodszych klasach często dostawał „wciury” od silniejszych kolegów. Jednocześnie zdawał się w ogóle tym nie przejmować. Nawet nie próbował pozbyć się łatki czarnej owcy, którą mu przypięto. Dodatkowo drażnił swoim strojem: chodził w kraciastym płaszczu, kaszkiecie i z powiewającym szalikiem. Pod pachą zawsze miał jakąś książkę i wystrzępiony zeszyt, w którym zapisywał swoje złote myśli. Był awangardzistą, tak się przynajmniej przedstawiał, a za mistrza uznawał swego imiennika Leona Chwistka.

Leon pogardzał mną podobnie jak resztą klasowego plebsu, jednakże fakt, że przyjaźniłem się z Adamem, którego najwyraźniej podziwiał, miał dla niego znaczenie. Najpierw trochę się wahał, ale w końcu dopuścił mnie do bliższej komitywy i nawet zaprosił do siebie do domu.

Nigdy nie zapomnę wrażenia, jakie zrobiła na mnie ta podupadła i nieco upiorna willa. Zbudowana niedaleko Błoń, stała samotnie w wielkim zaniedbanym ogrodzie, gdzie spacerowe alejki straszyły powykrzywianymi płytami przypominającymi zrujnowane nagrobki. Ogród przedstawiał jakąś dziką płataninę drzew i krzewów, a przedzierało się przezeń jak przez dżunglę. Na końcu tej drzewnej pajęczyny ponuro ziały ciemne, odrapane drzwi, stojące na straży równie przygnębiającego gmaszyska. Rodzina Leona zajmowała mieszkanie na pierwszym piętrze, ponieważ willę podzielono po wojnie na kilka mniejszych lokali, jak zwykle wówczas postępowano. Nasze mieszkanie na Batorego powstało właśnie w wyniku takiego podziału i składało się z ogromnego salonu i gigantycznej kuchni oraz trzech małych klitek będących w rzeczywistości przerobionym pokojem dziennym i służbówką. W mieszkaniu rodziców Leona doszło do czegoś podobnego. Oni z kolei mieli maleńką kuchnię przekształconą z korytarza lub dużego holu oraz trzy ogromne pokoje, połączone amfiladą, którą snuła się matka Leona, kobieta bardzo piękna, zimna, o niewidzących oczach. Leon powiedział mi wzgardliwie, że matka ma „kuku na muniu”, a po tragicznym wydarzeniu, jakim była śmierć jego młodszego brata, który dwa lata wcześniej zmarł podczas szalejącej w Krakowie epidemii azjatyckiej grypy, nigdy się nie pozbierała. Stała się milcząca, nieobecna i całkowicie pogrążyła się w dewocji. Leon opowiadał, że często późną nocą potrafiła wyciągać go z łóżka i łajać, iż nie zmówił modlitwy bądź nie poszedł do kościoła. Ona codziennie rano była już w klasztorze Norbertanek niedaleko Wisły i razem z siostrami uczestniczyła w pierwszej mszy świętej.

– Jest szalona – podsumował Leon, wruszając ramionami, a mnie nieprzyjemnie uderzył jego lekceważący stosunek do matki, którą uważał za jakąś niepełnowartościową istotę, a jej wyraźną chorobą po prostu pogardzał. – Już dawno zamknęliby ją w Kobierzynie, gdyby nie ojciec...

– Myślę, że jest po prostu nieszczęśliwa – powiedziałem cicho, bo żal mi było tej kobiety, jak zjawia wędrującej po mieszkaniu i z jakąś chorobliwą pedanterią poprawiającej źle ustawione drobiazgi.

– Nieszczęśliwa! – sarkastycznie powtórzył Leon. – A któż z nas jest szczęśliwy? Czy ona jest pierwszą albo ostatnią, której dziecko umarło? Ja też przecież straciłem brata, a nie zachowuję się w ten sposób! Ona jest po prostu słaba, a przez to odrażająca!

Popatrzyłem na niego z uwagą. Dlaczego był tak nieczuły? Pani Mierzejewska budziła we mnie litość, nie zniecierpliwienie. Nie potrafiłem sobie wyobrazić, jak można żywić tak niskie uczucia do własnej matki. Dziwiło mnie to, a jednocześnie zastanawiało do tego stopnia, że chciałem zgłębić charakter Leona i przyczyny jego nietypowego zachowania. Doszedłem do wniosku, że mój kolega ma w sobie coś diabolicznego – przyciągającego i odpychającego zarazem. Po pewnym czasie nasza znajomość, podszyta z początku nieufnością, zamieniła się w przyjaźń. Osobliwą, co prawda, ale przyjaźń.

Leon nawet we własnych zainteresowaniach był nietuzinkowy. Głęboko fascynował się pracą swojego ojca, znanego w Krakowie chirurga i anatoma.

Potrafił z pamięci wymienić wszystkie kości, a gdy się rozgadał, godzinami opowiadał o preparatach, jakie robi doktor Mierzejewski, i o własnych eksperymentach. Leon łowił owady i nabijał je na cienkie szpilki, a jego kolekcje zajmowały całe ściany. Nauczył się też taksydermii i z upodobaniem zajmował się wypychaniem zwierząt.

Szybko zauważyłem, że pasjonuje go śmierć, a właściwie to, co dzieje się z ciałem po zgonie. Uwielbiał rozprawiać o tym, jak wyglądają i zachowują się zwłoki, a także czego można dowiedzieć się o zmarłym, oglądając jego zewnętrzną powłokę. Kiedyś opowiedział mi, że bardzo lubi uczestniczyć w zajęciach, które jego ojciec prowadzi ze studentami. „Niektórzy nie potrafią spojrzeć na nieboszczyka” – powiedział z lekceważeniem. „Mnie to w ogóle nie wzrusza”. Potem zaczął się rozwodzić nad wyglądem zwłok i tym, że ciało przybiera dziwną barwę, a określenie „trupiobladły” jest jak najbardziej trafione. „Skóra wysycha, wyostrażając rysy” – opowiadał, a oczy świeciły mu się dziwnie. „Nie masz pojęcia, jak to wygląda – brwi i rzęsy wydają się przysypane popiołem, takim matowobiałym pyłem, a skóra, skóra ma kolor szary i jednocześnie blade, jak światło księżycy”.

Przyznaję, że słuchałem tego, co mówił, z wypiekami na twarzy. Leon widział zwłoki nie jeden raz. Chodził do pracowni ojca, patrzył, jak studenci analizują preparaty. Jego jednak fascynował trup w nienaruszonym stanie. Mógł godzinami opowiadać, jak wyglądają włosy zmarłych, jak podkurczają się ich palce u nóg i rąk – prawie zupełnie tak, jak u ludzi pogrążonych w głębokim śnie. To także było tematem, do którego często wracał, i powtarzał, że stwierdzenie „zmarły wyglądał, jakby spał” jest kłamstwem.

– Żaden z trupów, które widziałem, nie wyglądał, jakby spał – opowiadał mi któregoś wieczora, gdy siedzieliśmy w jego ponurym mieszkaniu. – Wszyscy mieli wykrzywione rysy twarzy, otwarte usta i okropne martwe oczy. Ciało człowieka po śmierci traci ludzkie cechy, staje się maską, modelem woskowym, czymś w rodzaju manekina. Pustą powłoką, w której nic już nie ma, naczyniem, z którego wylała się zawartość...

– Nie wiedziałem, że jesteś wierzący! – zdziwiłem się, a on zmierzył mnie wzrokiem pełnym pogardy.

– Wierzący... Ale wymyśliłeś! – prychnął rozżłoszczony. – Nie wierzę w żadną duszę nieśmiertelną, boski pierwiastek, pneumę czy jak jej tam... Właśnie dlatego, że nie jestem wierzący, widzę to w taki sposób. Błogosławieni naiwni, którzy wierzą w Boga dającego życie wieczne, jak moja nieszczęśliwa i szalona matka! Ja wiem, że nie ma żadnego życia wiecznego, a po śmierci jest tylko gnicie, rozpad i rozkład... Jedyną nieśmiertelnością, jaka nas czeka, jest włączenie się w obieg przyrody! – tu zaśmiał się swoim złośliwym śmiechem, przypominającym szczekanie psa.

Ja także nie byłem wierzący. Matka, co prawda rzadko, ale chodziła do kościoła, lecz oj-

ciec wyraźnie stronił od praktyk religijnych. Trudno mu się zresztą było dziwić, nigdy nie zapomniał Kościołowi, że ten stał po stronie Franco. My z siostrą byliśmy wychowani bez religii, choć matka czasami zabierała Elizę na mszę. Moja siostra nie przepadała za tym, zwłaszcza że jej kalectwo niektóre głupie sąsiadki odbierały jako karę za grzechy naszych niewierzących rodziców. Celowała w tym zwłaszcza stróżka, która uważała, że gdyby matka od razu, jak tylko pojawiła się u Elizy gorączka, pobiegła po cudowną wodę do Kapucynów, na pewno dziewczyna by wyzdrowiała.

I choć nie byłem wierzący, dreszczem nappełniała mnie myśl, że z nicości powstał i w nicość się obrócimy. Miałem nadzieję, że życie nie jest daremne i nie kończy się tak po prostu w szpitalnym łóżku czy we własnym domu, w zapomnieniu.

Leon, widząc moje zakłopotanie, z przyjemnością ciągnął swe makabryczne wywody.

– Nie masz pojęcia, co są w stanie zrobić trupie gazy. Często zdarza się, że gdy umiera kobieta w ciąży, gazy wypychają na zewnątrz martwy płód. To się nazywa „poród trumienny”.

Wzdrygnąłem się cały i zapatrzyłem się w Leona przerażonym wzrokiem. On tylko pokiwiał głową i znowu się zaśmiał.

– Cóż chcesz, przyjacielu! Jesteśmy tylko padliną, jak to już napisał mistrz Baudleaire. „A jednak upodobnisz się do tego błota, co tchem zaraźliwym zieje, gwiazdo mych oczu, słońce mojego żywota, pasjo moja i mój aniele!” – wyrecytował, wpatrzony gdzieś w przestrzeń. Wtedy nagle zapragnąłem zobaczyć ludzkie zwłoki, żeby przekonać się, czy to wszystko – śmierć i idące za nią zmiany – jest tak straszne. Ta myśl stała się wkrótce moją obsesją, wmówiłem sobie, że wizyta w Zakładzie Anatomii pozwoli mi zwalczyć paniczny lęk przed umieraniem. Byłem pewien, iż oswojenie się z wyglądem zmarłych sprawi, że przestanę się tak bać.

Leon doskonale to rozumiał i zgodził się zabrać mnie ze sobą. Nie było to jednak łatwe, ponieważ najpierw musiał przekonać swojego ojca, który dosyć niechętnym okiem patrzył na wizyty syna w sali sekcyjnej. Leon wytłumaczył mu, że kolega – czyli ja – pragnie studiować medycynę i nie jest pewny, czy się do tego nadaje.

– Już wielu było takich, co zemdleli na anatomii i poważnie zwątpili, czy będą w stanie uprawiać ten zawód. Filip nie chce podzielić ich losu i zawczasu pragnie przekonać się, czy da sobie radę.

Doktora Mierzejewskiego nie bardzo przekonywało to wyjaśnienie. Podejrzewał, że podobnie jak jego synem, i mną kieruje jakaś niezdrowa ciekawość. Jednakże – co było dla mnie nieco niezrozumiałe – wyraził zgodę.

Budynek, w którym mieściła się Katedra Anatomii, położony był przy ulicy Kopernika, niedaleko Ogrodu Botanicznego. Fascynowało mnie to sąsiedztwo – egzotyczne rośliny i świątynia śmierci. Gmach został właśnie świeżo odnowiony i przystosowany do potrzeb zwiększającej się liczby słuchaczy. Leon i ja przyszliśmy tam po południu, gdy zajęcia miała rozpocząć grupa studentów doktora Mierzejewskiego. Ojciec Leona był bardzo wysokim, szczupłym mężczyzną o ascetycznej twarzy. Gdybym chciał go z kimś porównywać, to chyba z Norwidem. Miał zresztą podobne szaleństwo w głęboko osadzonych, zapadniętych oczach. Był to człowiek stanowczy, małowówny i bez reszty poświęcony swej pracy. Nigdy się nie śmiał, co wydawało mi się naturalne u kogoś, kto bez przerwy ma kontakt z ludzkimi zwłokami. „Ojciec czasami zachowuje się jak karawaniarz” – ocenił Leon. „Ma poczucie misji, wydaje mu się, że odprowadza tych nieszczęśników na drugą stronę Styksu. Jest połączeniem duchownego z grabarzem”.

Nie widziałem nic dziwnego w fakcie, że ojciec Leona okazuje zwłokom taki szacunek. Było to wręcz bardzo budujące i dawało mi poczucie bezpieczeństwa. W moim obecnym stanie ducha nie przeżyłbym chyba jakichś ponurych żartów ze zmarłych. Na zajęciach doktora Mierzejewskiego było to po prostu niemożliwe, ponieważ stawały się one czymś w rodzaju rytuału, po-

nurego, co prawda, ale mającego charakter obrzędu. Leon opowiadał, że kiedyś jeden ze studentów pierwszego roku zadał pytanie – które chyba miało profesora rozbawić i rozluźnić atmosferę – czy zdarzyło mu się zemdleć podczas sekcji. „Oczywiście” – odpowiedział Mierzejewski, przewiercając go swoim strasznym wzrokiem. „Zemdlałem wiele razy. Pan także zemdleje, prędzej, niż się to panu wydaje”. Jak zwykle miał rację – ów student wesołek był pierwszym, który stracił przytomność, gdy asystenci przywieźli preparaty.

Kiedy weszliśmy do Zakładu Anatomii i oddaliśmy płaszcze portierowi, który swoim niskim wzrostem przypominał karła, rozejrzałem się po wnętrzu, czując się tu trochę nieswojo. Parter, gdzie umiejscowiono pomocnicze sale wykładowe i pokoje administracyjne opanowany był przez studentów załatwiających swoje sprawy. Chwilę tkwiłem bezradnie przy wieszakach z ubraniami popychany i przestawiany na wszystkie strony przez przyszytych lekarzy zaaferowanych wykładami, zaliczeniami, ćwiczeniami. Patrzyłem na nich z szacunkiem i poniekąd z zazdrością. Nigdy nie widziałem się w roli lekarza, ponieważ organizm ludzki był dla mnie wielką tajemnicą, szaradą bez rozwiązania. Absolutnie nie podjąłbym ryzyka diagnozy ani tym bardziej leczenia kogokolwiek. Próbowałem na tych twarzach – mniej lub bardziej inteligentnych – wyczytać coś, co nazwałbym powołaniem do pracy medycznej, ale nie udało mi się.

Leon wyrwał mnie z tych rozmyślań, ciągnąc za rękaw marynarki.

– Chodź, idziemy na górę! Mój stary na nas czeka.

Pierwsze piętro, na które dotarliśmy po szerokich schodach, wyglądało zupełnie inaczej niż swojski i gwarny parter. Wysoki sufit przywodził na myśl świątynię, a wrażenie to potęgowały obszerne i podłużne okna, które zresztą wpuszczały zadziwiająco mało światła. Ciemne kamienne podłogi dopełniały obrazu powagi i smutku. Ostatni podest schodów wprowadził nas do obszernego holu, gdzie studenci, ustawieni w karnym szeregu, milczący i skupieni, czekali na zajęcia. Po prawej stronie mieściło się dziesięć sal prosektoryjnych, zaś po lewej, za wysokimi dębowymi drzwiami, usytuowano muzeum anatomii, które koniecznie chciał mi pokazać Leon, zanim wejdziemy na zajęcia.

– Musisz to zobaczyć! – wykrzyknął podniecony. – Tu nie każdy może wejść, trzeba specjalnego pozwolenia. Nie ma tu, co prawda, takiej kolekcji jak w Neapolu czy Berlinie, ale ta również jest ciekawa. Wiesz – mówił, ścisząc głos – mój ojciec pracuje w Zakładzie Anatomii Patologicznej i oni dopiero zebrali niesamowite eksponaty! Zresztą zobaczysz, pokażę ci!

Pokazał.

Do niewielkiego muzeum, rzadko udostępnianego publiczności – oczywiście poza studentami medycyny, profesurą oraz nielicznymi uczniami klas przyrodniczych, wprowadził nas ojciec Leona, który jak duch pojawił się przy nas w swoim nieskazitelnie białym fartuchu. Na jego widok studenci – i tak przecież zdyscyplinowani – cofnęli się bardziej pod ścianę, przepuszczając nas z szacunkiem. Doktor Mierzejewski spojrzał na nich przelotnie, tak jakby zamiast całej grupy widział tylko jedną osobę. Potem zwrócił się do mnie i Leona. Najpierw oczywiście pouczył nas o konieczności stosownego zachowania, choć szczerze mówiąc, nie było mi do śmiechu, gdy wszedłem do tych niewielkich pomieszczeń ściśle wypełnionych regałami pełnymi eksponatów. Niektóre z nich były naprawdę stare, bo pamiętały początek XIX w. i przywieziono je z Wiednia. Inne wykonano już na miejscu. Wpatrywałem się więc w przekroje mózgu, serca i innych narządów wewnętrznych, podziwiałem starannie wypreparowane kości, a najstraszniejsza wydała mi się obła i rozlana czaszka noworodka. Widać było, że eksponaty przygotowano pod kątem studentów medycyny – kręgosłupy pokazywały różne stadia skoliozy, zaś czaszki demonstrowały wodogłowia i nowotwory kości. Sali tej pilnował słusznej wielkości kościotrup ustawiony we wnęce pod oknem. Jego zwrócone frontem do nas dłonie („pozycja anatomiczna”, jak pouczył nas ojciec Leona) sprawiały wrażenie upiornego zaproszenia, zachęty do pozostania w tym

miejscu na zawsze. Wiałem stamtąd jak przestraszony zając, ale następne pomieszczenie nie było wcale lepsze.

– Teraz sala naszych najcenniejszych eksponatów – powiedział doktor Mierzejewski. – Nazywamy ją „mokrą”, bo przechowujemy tu preparaty w formalinie lub spirytusie. Do połowy XIX wieku nie zabezpieczano ich pokrywami, a tylko obwiązywano pęcherzem zwierzęcym.

Pierwsze gabloty przeraziły mnie bardziej niż czaszki i kościotrup. W pojemniku widoczna była twarz, a właściwie skóra twarzy pozbawiona oczu. Ślepa maska, o nienaturalnie sinej, jakby pergaminowej skórze, zawieszona w próżni. Była to twarz mężczyzny w średnim wieku, o niezbyt dużych uszach i kępcie rudych włosów przyklepionej nad czołem. Robiła upiorne wrażenie, a mnie skojarzyła się z wylinką węża – oto porzucone przez kogoś, niepotrzebne już oblicze, pod którym wykluło się coś nowego, być może dużo straszniejszego. Na kolejnych regałach stały pojemniki z innymi twarzami – mężczyzn starych i młodych, także kobiet. Wszystkie bezkrawie, pozbawione oczu, o męczeńskim skrzywieniu ust, które zdawały się mówić: „Czemu nie zostawicie nas w spokoju? Dlaczego patrzycie na naszą nędzę i nieszczęście?”. Odsunąłem się od gablotki gwałtownie, jakby ktoś krzyknął mi do ucha: „Wynoś się!”. Spojrzałem na doktora Mierzejewskiego, który obserwował mnie z nieodgadniętym wyrazem twarzy. Ruchem ręki zachęcił, abym spojrzał na kolejny regał.

Zbliżyłem się do gabloty i poraziło mnie to, co ujrzałem. W ogromnych słojach pływały wynaturzone płody. Bliźnięta zrosnięte korpusami, dzieci o ogromnych głowach lub z jednym tylko okiem wybałuszonym jak u Cyklopa. Aż krzyknąłem z przerażenia, widząc monstrualny korpus z maleńką, jakby splaszczoną główką. „Bezczaszkowiec”, przeczytałem beznamiętny podpis. Obejrzałem się na Mierzejewskiego przerażony, nie mogąc wymówić ani słowa. Stałem pomiędzy regałami, a te szklane naczynia z ich koszmarną zawartością zdawały się mnie przytłaczać, otaczając ze wszystkich stron. Tak jak w przypadku gablot z twarzami, i tutaj miałem wrażenie, że ktoś szepce mi do ucha: „Czemu nas dręcycie? Wynoście się stąd, wynoście!”. Wyskoczyłem spomiędzy regałów jak oparzony. Wstyd mi jednak było wybiec z muzeum, więc tylko starałem się nie patrzeć w stronę upiornych słoików. Nie mogłem jednak uciec od nich wzrokiem, który wciąż powracał w to samo miejsce, by ciągle na nowo przerażać mnie widokiem zdeformowanego płodu bez czaszki.

Ojciec Leona pokiwał tylko głową.

– Drogi chłopcze, to są nasze najstarsze eksponaty. Anatomia patologiczna, przywieziono je w 1803 roku. Pomyśl sobie, że te stworzenia mają już ponad sto pięćdziesiąt lat.

– Ile by nie miały – wydusiłem przez ściśnięte gardło – są straszne.

– Przerażają cię – powiedział doktor Mierzejewski. – A wiesz, dlaczego budzą taką grozę?

– Bo są okropne – wtrącił się Leon, który od dłuższego czasu krążył między regałami. – Brzydkie i nienaturalne...

– Nie chciałbym tak wyglądać – powiedziałem jeszcze.

– Istnienie potworów każe nam wątpić w to, czy życie posiada moc nauczania nas porządku – powiedział w zadumie ojciec Leona, a ja wówczas jeszcze nie wiedziałem, że cytuje Georges'a Canguilhema, francuskiego filozofa i lekarza.

Wpatrywałem się w tę wystawę okropieństw szeroko otwartymi oczami, nie mogąc uwierzyć, że natura, Bóg czy jakakolwiek siła sprawcza życia może powoływać do istnienia tak makabryczne twory.

– Monstra takie jak te wywołują w tobie absolutną trwogę właśnie dlatego, że jesteś człowiekiem. Jako człowiek – tłumaczył ojciec Leona – jesteś przyzwyczajony do pewnej trwałości

i konsekwencji życia. Róża pachnie i ma płatki, żrebak długie nogi i wilgotne oczy, cielę ssie krowę. Nagle pojawia się taki nieudacznik i przeraża. Dlaczego? Ano dlatego, że z jednej strony boisz się, że sam mógłbyś taki być, i drzenie w tobie budzi świadomość, czego uniknąłeś, a z drugiej strony wyobrażasz sobie, że mógłbyś spłodzić takiego potwora...

Patrzyłem na niego z szeroko otwartymi ustami, bo właśnie powiedział dokładnie to, o czym myślałem. Jakby wszedł mi do głowy i odczytał moje najbardziej skrywane lęki.

To nie był strach, ale rodzaj paniki, wstrętu połączonego z chęcią natychmiastowej ucieczki, zapomnienia o tym, co tu zobaczyłem. I z jednej strony dziękowałem wszystkim siłom, i tym najwyższym, i tym najniższym, że nie mnie przytrafiło się coś podobnego, a z drugiej przerażeniem napawał mnie fakt, że takie potworności się zdarzają.

Kiedyś współczułem mojej siostrze i uważałem, że jest biedna, nieszczęśliwa. Teraz, gdy patrzyłem ze ściśniętym sercem pełnym odrazy i grozy na te wynaturzone potworki w słojach z formaliną, zrozumiałem, że zarówno ona, jak i ja mieliśmy wiele szczęścia.

I nagle zamiast strachu i wstrętu zacząłem odczuwać współczucie, które zalało mnie jak morska fala. Myślałem o tych nieszczęsnych istotach, na które całe pokolenia studentów i sztubaków takich jak ja patrzyły z niezdrową ciekawością, i czułem wielki żal. Dlaczego świat skazuje niektórych na istnienie tak okropne i pełne bólu? – bo nie wątpiłem, że część owych stworzeń musiała bardzo cierpieć przed śmiercią. Nie rozumiałem tego i nigdy nie miałem pojąć, a pytanie: „Dlaczego musimy cierpieć?” wkrótce stało się podstawowym, jakie zadawałem życiu.

Ojciec Leona badawczo obserwował wyraz mojej twarzy. Musiał wiele z niej wyczytać, bo po przyjacielsku położył mi dłoń na ramieniu i powiedział uspokajająco:

– Nie martw się, chłopcze. Te istoty nie czuły bólu...

Nie byłem wcale pewny, czy ma rację, ale wolałem nie protestować.

Na zajęcia z anatomii poszliśmy w dziwnym skupieniu. Wciąż mając przed oczyma monstra ze słoików, byłem pewien, że ciało nieboszczyka, w końcu człowieka całkowicie zdrowego anatomicznie, nie przerazi mnie tak jak to, co zobaczyłem w muzeum. Jak się okazało, nie do końca miałem rację. Sale sekcyjnie mieściły się w oddzielnym holu, do którego wchodziło się z korytarza. Tuż za ciężkimi dębowymi drzwiami czuć było przenikliwy zapach formaliny, od którego kręciło się w głowie. Weszliśmy tam wszyscy – ja z Leonem, dziwnie obojętnym na całą tę sytuację, oraz gromadką zdenerwowanych studentów medycyny, przebrani w białe fartuchy i czapeczki, upodabniające nas do lekarzy lub sanitariuszy.

Sala prosektoryjna nie była zbyt duża. Ot, niewielkie pomieszczenie, przypominające ambulatorium pielęgniarskie w naszej szkole. Duże okno wychodziło na skwerek, na którym topniał śnieg. Na pokrytych kafelkami ścianach zainstalowano kilka zlewów do mycia rąk. W środku pomieszczenia stał duży stół, na którym asystent pokazywał preparaty wyciągane z wielkich pojemników z formaliną i umieszczone w metalowych nerkach.

Nasza grupa zajmowała się mózgiem. Patrzyłem zafascynowany, gdy anatom wyjmował go z płynu i podnosząc do góry, demonstrował wszystkie najważniejsze elementy: pień, mózdzek, płat czołowy, skroniowy, ciemieniowy, potyliczny i ciało modzelowate.

Szczegóły anatomiczne nie interesowały mnie zbyt. Chłonałem wzrokiem ten niewielki w sumie organ, o nieładnym sinym kolorze, pofałdowany na kształt kalafiora, w którym mieściło się wszystko: nasze myśli, wspomnienia, jaźń, po prostu – cały człowiek. Mózg był tak niepozorny i wręcz zabawny w swej brzydocie, że przez chwilę miałem poczucie pewnej nieadekwatności – wszystko, co dzisiaj zobaczyłem, wydało mi się sennym koszmarem, groźnym, lecz śmiesznym przez swoją groteskowość. Gdy teraz, po latach, analizuję swoje ówczesne uczucia, myślę, że byłem po prostu zmęczony tym, co zobaczyłem w Zakładzie. Broniłem się wewnętrznie przed nagromadzeniem koszmaru, uciekając w przypominający sennie osłabienie letarg. Z te-

go stanu wyrwał mnie Leon, wyraźnie znudzony preparatami, które studenci przekazywali sobie w milczeniu.

– Chodźmy stąd! – syknął mi do ucha. – Tu nie ma nic ciekawego! Denne preparaty, od stu lat te same. Spróbujemy zobaczyć coś innego.

I choć zupełnie przeszła mi ochota na zwiedzanie, on wpatrując się czujnie w swojego ojca, który właśnie był zajęty objaśnianiem jakiejś zawłości anatomicznej mózgu, wyciągnął mnie na główny korytarz.

Chciałem mu powiedzieć, że mam już dosyć i chcę wrócić do domu, ale jego rozbiegany i dość szalony wzrok zamknął mi skutecznie usta.

– Posłuchaj – szepnął groźnie. – Ojciec nie pokazałby nam najważniejszej sali, w której przygotowują zwłoki do pobrania preparatów...

– Zwłoki? – wyszeptalem równie cicho, posiniałymi wargami, bo zapach formaliny przyprawiał mnie o mdłości.

– Tak – Leon machnął ręką zniecierpliwiony i przyczajony jak kot ruszył korytarzem. Zawałałem się. Nie podobała mi się ta nielegalna eskapada, która na pewno nie zyskałaby zrozumienia doktora Mierzejewskiego. Przyznaję szczerze, że ojciec Leona, zwłaszcza po tym, co przeżyłem w muzeum, napelniał mnie strachem. Z drugiej strony nie chciałem sam stać na środku korytarza, bezradny i zagubiony jak dziecko. Leon cicho gwizdnął na mnie, a ja w jednej chwili podjąłem decyzję i skoczyłem w jego kierunku.

Był to już najwyższy czas. Drzwi naszej sali skrzypnęły i usłyszałem głos doktora Mierzejewskiego, który jeszcze coś mówił do zbierających swoje notatniki i skrypty studentów. W szparze, którą utworzyło uchylone skrzydło drzwi, dostrzegłem jego kościstą dłoń na klamce.

Leon wyciągnął z kieszeni jakiś niewielki klucz, szybko przekręcił zamek w drzwiach na końcu korytarza i zniknęliśmy za nimi bezszelestnie jak duchy, dokładnie w tym momencie, gdy jego ojciec wyszedł na korytarz i jakby wiedziony szóstym zmysłem zlustrował go zasępio-nym spojrzeniem. Studenci zaczęli wysypywać się z sali, ale on wciąż stał w tym samym miejscu, obserwował i nasłuchiwał. My także przywarliśmy do drzwi, czekając, co zrobi.

– Przekręcę klucz w zamku od wewnątrz – szepnął Leon, ale ja powstrzymałem go, łapiąc za rękę.

– Czekaj! Usłyszysz nas!

Było już zresztą za późno na klótnie i na jakąkolwiek reakcję – doktor Mierzejewski zdecydowanym krokiem szedł w naszym kierunku. Cofnęliśmy się odruchowo w głąb pomieszczenia, ale było w nim tak ciemno, że baliśmy się wpaść na jakiś nieznaną przedmiot i narobić hałasu, więc zatrzymaliśmy się w pół kroku. Choć byłem już niemal dorosły, naraz zacząłem marzyć o czapce niewidce lub cudownym płaszczu z bajki, który okryłby nas, zapewniając niewidzialność. Doktor Mierzejewski po drugiej stronie drzwi nacisnął klamkę i mechanizm zamka zgrzyt-
nął cicho, gdy nagle usłyszeliśmy doniosły głos jednego z asystentów:

– Panie doktorze, panie doktorze! Kierownik katedry prosi pana na słowo...

Mieliśmy wrażenie, że ojciec Leona zawahał się przez chwilę. Klamka poruszyła się z charakterystycznym szuraniem i najwyraźniej postanowił nas zdemaskować, ale głos w oddali zaczął nalegać w sposób bardziej zdecydowany.

– Panie doktorze! Proszę bardzo! Kierownik oczekuje razem z jakąś delegacją z ministerstwa zdrowia...

Temu argumentowi nie można było się oprzeć. Oczywiście stało się, że delegacja nie będzie czekać. Doktor Mierzejewski puścił klamkę i poszedł za asystentem, a my odetchnęliśmy z ulgą. Naprawdę nie wiem, co bym zrobił (ani jak bym się czuł), gdyby doktor odkrył nas w tej

ciemnej klitce. Już było mi niewyobrażalnie głupio, choć przecież uniknąłem wpadki.

Leon wyciągnął z kieszeni marynarki niewielką latarkę kieszonkową i przy jej żalonym oświetleniu odnalazł włącznik prądu.

Pomieszczenie zalało blade światło. Dopiero w tym momencie zdałem sobie sprawę, gdzie jesteśmy, i pogratulowałem sobie, że panika spowodowana pojawieniem się ojca Leona nie kazała mi uciekać przed siebie.

Znajdowaliśmy się w kolejnej sali prosektoryjnej, ale zupełnie odmiennej od tych, które oglądaliśmy ze studentami. To pomieszczenie było jeszcze mniejsze, bardzo wysokie i wyłożone kafelkami pod sam sufit. Przy ścianach stały rozmaite regały pełne naczyń laboratoryjnych, instrumentów, słoje z formaliną i innymi substancjami, ogromna lodówka do przechowywania ciał, zaś na środku sali, dosłownie trzy kroki od wejścia usytuowano stół sekcyjny. Wzdrygnąłem się na jego widok, choć – ku mojej wielkiej uldze – był pusty. Leon chyba wyczuł, co mam na myśli, bo parsknął tym swoim szczekającym śmiechem i pociągnął mnie w kierunku lodówki.

– Poczekaj chwilę, zaraz ci pokażę! – zaczął się mocować z jedną z szuflad, a mnie znowu obleciał paniczny strach.

Leon wysunął szufladę, a ja zobaczyłem nosze z ciałem przykryte białym prześcieradłem.

– Słyszałem, jak ojciec mówił, że dzisiaj przysłali im ciało z medycyny sądowej, to chyba jakaś samobójczyni, w każdym razie NN. Gdy nikt się nie zgłasza po zwłoki, oddają je do Zakładu Anatomii – mówił Leon w wielkim podnieceniu. – Jeszcze nie zdążyli nic z nim zrobić. – Chwycił za róg prześcieradła, próbując ściągnąć je ze zwłok, ale ja powstrzymałem go gwałtownie.

– Czekaj! Nie chcę tego oglądać...

Roześmiał się i odtrącił moją rękę.

– Cykorzysz?

Nie bałem się. Po tym wszystkim, co zobaczyłem tego dnia, oglądanie zwłok wydawało mi się po prostu niestosowne. I nie miało to nic wspólnego z moich strachem przed śmiercią. Co więcej – teraz już byłem przekonany i pewny, że umrę. Tak, tak – wiem – każdy umrze. Ale gdy się ma szesnaście lat, nie myśli się o śmierci. Człowiekowi wydaje się, że jest nieśmiertelny, a może inaczej – nie zaprzęta sobie głowy sprawami, które go nie dotyczą i długo (a może wcale – tak sobie wtedy myślimy) nie będą dotyczyły. Moment, kiedy uświadamiamy sobie kruchość naszego istnienia, to koniec prawdziwej i beztroskiej młodości. Ja odczuwałem to w tej chwili. Wiedziałem już, że umrę prędzej czy później i zamienię się w ciało, pozbawione życia naczynie, zewnętrzną powłokę. Nie chciałem, by ktoś – gdy nadejdzie ten moment przejścia, ostatecznej transgresji, z której nic mnie nie wyzwoli – patrzył na mnie i oceniał, jakie spustoszenia poczyniła we mnie śmierć. By ktoś mnie studiował z tak dziwnym wyrazem twarzy jak Leon, który nie zważając na moje protesty, zdarł prześcieradło i wpatrywał się w zwłoki z obłąkaną natarczywością.

Spojrzałem i ja.

Nigdy, przenigdy nie zapomnę tego widoku, bo choć od tamtej chwili widziałem już wielu umarłych ludzi, żaden nie zrobił na mnie tak wstrząsającego wrażenia.

Były to zwłoki młodej kobiety, dziewczyny właściwie, pewnie niewiele starszej od nas. Wszystko, co mi opowiadał Leon, było prawdą. Jej bladą, prawie przeźroczystą twarz otaczały włosy, które straciły naturalny blask i połysk. Rzęsy i brwi miała szare, jakby pokryte popiołem, ale najdziwniejsze wydawały mi się jej usta – lekko fioletowe, o sinym zabarwieniu. Skóra tej kobiety była tak biała, że wydała mi się wręcz nierzeczywista. Doznałem wrażenia, że mam przed sobą jakąś bezkrwistą istotę, której zabrano wewnętrzne światło. Miała zamknięte oczy, ale wyobrażałem sobie jej martwe, niewidzące spojrzenie.

– Dotknij jej ręki – powiedział Leon. – Zobacz, jaka zimna!

Nie jestem w stanie wytłumaczyć, co mną kierowało, ale uległem jego namowie. Dotknąłem dłoni dziewczyny, bladej jak grudniowy poranek i równie zimnej. Spojrzałem na piękną, szczupłą rękę o podługnych paznokciach, teraz sinawych z lekkim niebieskim odcieniem. Chłód tego ciała był przerażający. Nie było lodowate, nie. Raczej zimne, obce i całkowicie obojętne. Patrzyłem na tę młodą kobietę, na jej przezroczystą cerę i doznałem dojmującego uczucia, że stykam się z czymś zupełnie niezemskim, ta dziewczyna była po prostu INNA, nie pochodziła z mojego świata. Było w tym coś przerażającego i pociągającego jednocześnie. Nieprzypadkowo mówią, że Eros i Thanatos to bliskie sobie bóstwa.

Leon także patrzył na dziewczynę.

– Nie mogę znieść myśli – powiedział, nakrywając zwłoki ponownie prześcieradłem i wsuwając szufladę do chłodni – że te tępaki, z moim ojcem na czele, zmarnują tak wspaniałe ciało.

Nie rozumiałem, o co mu chodzi, i widocznie miałem to wypisane na twarzy, bo wyjaśnił:

– Zrobią z niej preparaty. Wyjmą serce, nerki, mózg, okaleczając tę nieskazitelną powłokę.

– Ta powłoka jest nieskazitelna tylko dlatego, że pozostaje w chłodzie – wzruszyłem ramionami. – Po pogrzebie natychmiast zacznie się rozkładać...

Machnął ręką, zniecierpliwiony.

– Nie chodzi mi o to, żeby ją pogrzebać. Chodzi mi o to, by pozostawić ją taką, jaka jest teraz – niezniszczalną.

– Chcesz ją zamrozić? – spytałem, bo słyszało się przecież o takich przypadkach na Zachodzie. Ludzie bogaci, milionerzy umierający na nieuleczalne choroby, wydawali dyspozycje, by zamrozić ich ciała po śmierci, w nadziei, że medycyna za pięćdziesiąt lat znajdzie lekarstwo na ich dolegliwości.

Nie utrafiłem, bo Leon ponownie pokręcił głową.

– Nigdy nie słyszałeś o tanatopraksji?

– Chciałbyś ją zmumifikować? – wykrzyknąłem zdumiony, zupełnie zapominając, że znajdujemy się w chłodni nielegalnie i w każdej chwili może wejść ktoś zaalarmowany moim krzykiem.

– Zabalsamować – wyjaśnił krótko. – Chciałbym ją zabalsamować, wstrzykując do żył płyn konserwujący. Francuski Instytut Tanatopraktyczny tak udoskonalił metodę wstrzykiwania, że można to zrobić nawet w domu – tu popatrzył na mnie z dziwnym błyskiem w oczach.

Przeraziłem się.

– Chyba nie zamierzasz wykraść tych zwłok i zabrać ich do domu? – wyszeptałem, a już w chwili, gdy mówiłem te słowa, wiedziałem, jak absurdalnie brzmi ten pomysł.

– Tych nie. Racja. Nie mam jeszcze przemyślanego całego planu. Potrzebny jest transport i pomocnik... Nie rozważyłem jeszcze wszystkiego dokładnie. Zatem tych – nie. Ale inne...

– Zwariowałeś! – powiedziałem i zacząłem cofać się do drzwi.

– Zaczekaj – machnął ręką Leon. – Jesteś cykor, ale masz zadatki na wojownika. Wiem, że mi pomożesz! Musimy tylko skombinować samochód. Ja dobrze prowadzę, ojciec mnie nauczył. Weźmiemy dekwę ojca i zaparkujemy ją na tyłach Zakładu, potem przebrani w fartuchy pielęgniarzy wywieziemy zwłoki na wózku i załadujemy je do bagażnika. Nie wiem tylko, co dalej. Nie mam pojęcia, jak niezauważalnie przenieść ciało do mojego mieszkania...

– Chcesz trzymać zwłoki w mieszkaniu? – wyszeptałem przerażony.

– W moim laboratorium w piwnicy. Tam wyprodukowałem już płyn konserwujący.

To wszystko jest bardzo proste. Kluczem do powodzenia jest drenaż i iniekcja płynu w odpowiednią żyłę. Moim zdaniem tętnica udowa powinna wystarczyć... Płyn konserwujący powoli wypiera krew i w ten sposób mamy załatwiony problem gnicia... Potem jeszcze konserwacja jamy brzusznej z użyciem płynu o innym składzie i wszystko gotowe... Czytałem, że taka prosta konserwacja może wystarczyć na co najmniej kilka miesięcy...

– Ty chcesz wypchać człowieka? – spytałem, a groza przenikała mnie od stóp do głów. – Powiedz, że żartujesz!

Pokiwał głową, wyraźnie zdeglustowany.

– Wypchać, wypchać... Nic nie rozumiesz! Ja zapewnię temu ciału nieśmiertelność! Te płyny tak działają, że wraca naturalny kolor skóry, znikają zapadnięcia policzków, oczy przestają być zmętniałe i odzyskują blask, nawet plamy opadowe się cofają... To jest coś więcej niż nauka, to są czary po prostu...

Miałem go dosyć. Dotarłem do drzwi i wyskoczyłem na korytarz. W ostatniej właściwie chwili, bo studenci akurat wychodzili z kolejnych zajęć i na korytarzu pojawił się tłum, w który bezpiecznie się wmieszałem. U wylotu korytarza dostrzegłem ojca Leona, który zdecydowanym krokiem szedł w kierunku chłodni. Najwyraźniej narada kierownictwa właśnie się skończyła, a on wrócił zbadać źródło dziwnych hałasów.

Nie zamierzałem czekać, co z tego wyniknie, ani ratować Leona z opresji. Wyprysnąłem do szatni, gdzie odebrałem swój płaszcz i po dosłownie minucie byłem już na ulicy. Biegłem całą drogę i ochłonałem dopiero w okolicach Rynku. Stąd było już niedaleko do domu, ale wiedziałem, że nie mogę wrócić w takim stanie, bo to przeraziłoby matkę.

Skręciłem w ulicę św. Jana, by pójść do otwartego dopiero co samoobsługowego bistro Krokus, które od kilku tygodni robiło prawdziwą furorę.

Kupiłem sobie kawę i wcisnąłem się w najdalszy kąt kawiarni. Obserwowałem uśmiechniętych, rozgadanych ludzi i zatopiłem się w myślach.

Leon był szalony. Wcale mnie to nie zdziwiło, biorąc pod uwagę stan, w jakim znajdowała się jego matka. Ten rys obłędu był zapewne dziedziczny – czytałem o tym bardzo wiele. Pani Mierzejewska cierpiała po stracie młodszego syna, a Leon wykazywał niezdrową fascynację zwłokami. Trudno było nie zauważyć, że oboje zafiksowali się na temacie śmierci. W obozie Miranda de Ebro, w którym siedział mój ojciec, przetrzymywany był także słynny psychiatra Antoni Kępiński, a ja z samej tylko ciekawości przejrzałem kilka jego książek.

Przypomniałem sobie, co mówił o strachu przed śmiercią: „Nastawienie uczuciowe do śmierci u człowieka nie jest jednoznaczne; człowiek boi się śmierci, ale też śmierć go pociąga”. To właśnie z przerażeniem obserwowałem u Leona. Podchodził do zwłok z fascynacją naukowca eksperymentatora, marzył o uczynieniu ciała niezniszczalnym. Ale na Boga – dlaczego? Czy wierzył, że w taki sposób mógłby zachować na zawsze swego zmarłego brata? Czy marzył – tu wzdrygnąłem się z obrzydzeniem – o przechowywaniu zwłok tej pięknej dziewczyny w domu, by patrzeć na nią codziennie i sycić się jej zakonserwowanym urokiem...?

To wszystko nie mieściło mi się w głowie. Oddałem filiżankę z niedopitą kawą i wybrałem się do Adama. Na szczęście zastałem go w niewielkim mieszkanku przy Dolnych Młynów. Był zajęty pracą biurową, pomagał matce. Przerwałem mu bez skrępowania, bo czułem wzburzenie.

– Leon jest dziwny – powiedział ostrożnie. – Ale nie sędzę, żeby cierpiał na jakąś chorobę psychiczną.

– Nie sądzisz? – zdumiałem się. – Moim zdaniem on jest nieźle rąbnięty... Ta historia z wykradaniem zwłok mnie przeraziła...

– Tak – powiedział z wahaniem Adam. – Ja także czasami się go boję...

Opowiedział mi o dziwnej obsesji Leona na temat Witkacego. Nasz kolega nie rozstawał się z powieścią *Pożegnanie jesieni*, wmawiając sobie, że jest wcieleniem Atanazego Bazakbala.

– Powiedział mi – szeptem mówił Adam, najprawdopodobniej dlatego, by nie przyciągnąć uwagi kręcącej się w sąsiednim pomieszczeniu matki – że robił eksperymenty z eterem...

– Jakie? – zdziwiłem się, bo eter kojarzył mi się wyłącznie z usypianiem muszek i motyli.

Adam jeszcze bardziej ściszył głos i zdradził mi, że eter fascynuje Leona od dawna. Był to wówczas popularny środek, wciąż używany do znieczuleń operacyjnych, i łatwo można było go dostać.

– On chodzi po ulicach, wachając chusteczkę, którą nasącza eterem – powiedział. – Twierdzi, że kilka razy stracił przytomność i obudził się w jakiejś nieznannej bramie. Raz podobno ktoś go okradł i pobił. Jak sam mówi, uwielbia prowokować takie niebezpieczne sytuacje, bo wtedy czuje, że żyje.

– To jest chore – powiedziałem zdziwiony.

Adam ponownie wzruszył ramionami.

– Lubi eksperymenty. Powiedział mi kiedyś, że euforia, którą daje eter, wcale nie jest przyjemna. Wręcz przeciwnie, jest raczej przykra, bo wydobywa z podświadomości wszystko to, czego najbardziej się boimy, w jakimś przerażającym niedokończonym stadium. Twierdził, że tego rodzaju odurzenie to gwałt zadawany samemu sobie.

Popatrzyłem na Adama zdumiony.

– Nie rozumiem, jak możesz się z nim przyjaźnić! Ma całkiem poprzestawiane w głowie...

– Mam swoje powody – powiedział tylko Adam i najwyraźniej uznał temat za skończony. Ja jednak ciągle się nad tym zastanawiałem, także później, gdy leżałem już w swoim pokoju i gapiłem się w przesuwające się na suficie cienie. Odurzenie eterowe... Słyszałem kiedyś o tym środku. Ojciec opowiadał mi, że eter był przed wojną plagą małych miejscowości, gdzie posługiwano się nim jako świetnym środkiem hamującym apetyt i chroniącym przed głodem. Nie uznawano go wówczas za narkotyk, raczej za łagodne i dosyć łatwo dostępne lekarstwo. Narkotyzowały się więc całe wioski, a eter w wielkich bańkach sprowadzano nawet zza granicy.

Nie mogłem zrozumieć zainteresowania Leona tym chemicznym środkiem. Dosyć dobrze pamiętałem jeszcze operację ślepej кишки, którą mi zrobiono w ósmej klasie. Nie tylko nie doświadczyłem żadnego z mistycznych stanów opisywanych przez Leona, ale wymiotowałem po eterze jak kot i na całe życie zapamiętałem nieznośny zapach tej substancji.

Przeszedł mnie dreszcz, gdy wyobraziłem sobie, jak Leon chodzi po ulicach z chusteczką przytkniętą do nosa i oddaje się swoim wizjom. Być może podczas któregoś z narkotycznych seansów przyszedł mu do głowy ten pomysł z wykradaniem zwłok?

Zerwałem się z łóżka poruszony tą myślą.

Bez wątpienia przerażał mnie. Z pewnością – zafascynował. Bałem się go jednak i zacząłem bacznie mu się przyglądać. Zauważyłem, że często po lekcjach, a przed próbą do przedstawienia, znikają gdzieś razem z Adamem. Nie miałem pojęcia, gdzie się włóczą, aż spotkałem ich kiedyś – spiesząc się do domu po długim szkolnym dniu – na podwórku mojej kamienicy. Kiedy zapytałem, co robią – a byłem pewny, że z jakiegoś powodu czekają na mnie – powiedzieli, że podoba im się po prostu ten dom.

Nie zdziwiło mnie to. Nasza kamienica była naprawdę nietypowa. Zajmowała niemal cały kwadrat ulicy i składała się z imponującego budynku frontowego, zwieńczonego portykiem ze zniszczonym posągami kobiety trzymającej kosz z różami, oraz dwóch położonych prostopadle oficyn. Oficyny nie tylko stykały się ze sobą, ale były połączone szeregiem balkoników prze-

rzuconych nad podwórkiem niczym mosty nad rzeką. Wędrując balkonami i korzystając z zewnętrznych schodów usytuowanych przy ścianie budynku, można było wejść na każdą kondygnację. Miało to tę niebagatelną zaletę, że z łatwością pozwalało się przemieszczać z piętra na piętro bez użycia wewnętrznej klatki schodowej. Ta płatanina balkonów przypominała sieć pajęczą rozciągniętą na burej ścianie domu przez jakiegoś olbrzymiego owada. Nie miałem pojęcia, kto wpadł na dziwny pomysł stworzenia tej konstrukcji. Od ojca wiedziałem, że sprawdziła się doskonale w czasie w wojny, gdy trzeba było szybko coś wynieść lub przynieść do mieszkania albo ulotnić się niezauważalnie.

Kiedy byłem mały, urządzaliśmy sobie z chłopakami na tych balkonikach prawdziwe wyścigi, biegnąc z jednej oficyny do drugiej. Udawaliśmy, że przepławiamy się przez wielką, niebezpieczną rzekę, a stara stróżka Wójcikowa goniła nas z krzykiem w obawie, że nasze szaleństwa spowodują – jak to mówiła – „opadnięcie balkonów”.

Teraz, gdy byłem starszy, balkony nie fascynowały mnie tak jak kiedyś, choć stanowiły wygodny sposób dyskretnego przenikania do domu. Na nasz balkon wychodziło okno kuchni i jeśli było uchylone, z łatwością mogłem dostać się do mieszkania niezauważony przez nikogo. Nie powiem, czasami to robiłem, zwłaszcza gdy ojciec nie pozwalał mi wyjść, karząc za jakiś szkolny wybryk. Korzystałem z tej drogi także, chcąc uniknąć pytań domowników podczas powrotów z moich wypraw. Podobnie zrobiłem po przyjeździe z prosektorium – czułem tak duże wzburzenie, że niechybnie rodzice mogliby je dostrzec na mojej twarzy. Wołałem więc po cichu wkraść się przez okno i udawać, że już od dłuższego czasu jestem w swoim pokoju.

– Podoba wam się dom? – spytałem więc Leona i Adama, a oni skinęli głowami.

– Ciekawa architektura – powiedział Leon, patrząc na mnie uważnie, jakby badał, czy może mi zaufać. Od wizyty w prosektorium rzadko się do niego odzywałem i właściwie go unikałem. On zresztą też odnosił się do mnie z dużą rezerwą. Najwyraźniej uciekając z Zakładu Anatomii, nie spełniłem nadziei, które we mnie pokładał.

– Nie wiedziałem, że interesujesz się budownictwem – powiedziałem zaczepnie, a on wzruszył ramionami z tą swoją wyniosłą miną, którą zapamiętałem z początkowego okresu naszej znajomości, kiedy ledwie mnie tolerował jako kolegę Adama.

– Interesuję się wieloma rzeczami, jak zapewne wiesz... – wycedził. – A ta kamienica jest naprawdę frapująca... Pod wieloma względami...

– O, tak – odpowiedziałem rozdrażniony. – Kryje niejedną tajemnicę...

Leon bardzo się ożywił.

– Tak? Może zdradzisz nam jakąś, chętnie posłuchamy...

– Może... – powiedziałem poirytowany, bo złościł mnie ten jego ton i miny.

– Przestańcie – wtrącił spokojnie Adam. – Jest już późno i musimy iść na próbę.

Spojrzałem na zegarek i zakląłem. Rzeczywiście, trzeba było już iść, a ja nie zdążyłem nawet odnieść książek do domu.

– Zaczekaj tu na mnie – powiedziałem do Adama. – Skoczę tylko po tekst i idziemy.

– Po co tekst? – zapytał Leon. – Podobno umiesz całą sztukę na pamięć!

Zbyłem tę uwagę milczeniem i pędem, przeskakując po dwa stopnie, wpadłem do domu.

Rzuciłem szkolną torbę na podłogę w przedpokoju i zacząłem szukać skryptu z tekstem. Nigdzie go nie było, co bardzo mnie zdenerwowało. Przewracałem książki w swoim pokoju, zająrzałem nawet do salonu, ale bez większej nadziei, że znajdę tam to, czego szukam. W końcu wszedłem do kuchni. Eliza stała przy oknie, wyglądając zza firanki.

– Co jest? – zapytałem, gdy przywołała mnie ruchem ręki.

– Kto to? – wskazała na podwórko. Adam i Leon stali w miejscu, w którym się rozstali-

śmy, ale teraz kłócili się zawzięcie. Nie rozróżniałem z tej odległości słów, lecz słyszałem podniesione głosy. Adam najwyraźniej próbował coś tłumaczyć, a Leon odpowiadał, wymachując rękami jak skrzydłami wiatraka. Dużo bym dał, żeby się dowiedzieć, o co poszło.

– To moi koledzy ze szkoły, Adam Milicz i Leon Mierzejewski – powiedziałem, zauważając w tym momencie skrypt na kuchennym stole. Był otwarty na środkowej stronie, bo moja siostra najwyraźniej w tym miejscu przerwała lekturę, gdy poniesione głosy na podwórzu skłoniły ją do wyjrzenia przez okno.

– Po co brałaś moją sztukę? – powiedziałem ze złością. – Wszędzie jej szukam! Za chwilę próba, spóźnię się przez ciebie!

Siostra całkowicie zbyła tę uwagę.

– Adam Milicz to ten wysoki? – spytała. – To on chodzi z Iwoną Horn, prawda?

Skinąłem głową, pakując zwinięty w rulon tekst do kieszeni płaszcza. Wychodziłem już z kuchni, gdy zatrzymały mnie słowa Elizy.

– Oni tu często przychodzą...

– Oni? – nie rozumiałem. Skinęła głową.

– Kilka razy ich tu widziałam. Najczęściej chowają się na podwórku, ale raz zauważyłam ich na jednym z balkonów w tej oficynie naprzeciwko...

– Daj spokój – powiedziałem. – To moi koledzy, a ja ich tu nigdy nie widziałem. Może ci się coś przywidziało.

Eliza z urazą pokręciła głową. Jej mina mówiła: „Jak w ogóle możesz sugerować coś takiego?”.

– Nie widziałeś ich, bo przychodzą tu wieczorami, a nawet w nocy. Szczególnie ten drugi.

– Leon? – spytałem nieuważnie, bo zacząłem zastanawiać się, czego tak naprawdę w naszej kamienicy szukają moi dwaj koledzy. Dom był może ciekawy, ale nie stanowił architektonicznego cudu, który warto byłoby kilkakrotnie zwiedzać. Ot, zwykła czynszowa kamienica przepełniona lokatorami. Kiedyś zapewne były tu piękne reprezentacyjne mieszkania, zwłaszcza te od frontu. Teraz jednak, gdy lokale podzielono na szereg mniejszych klitek, przypominało to raczej coś w rodzaju mrowiska. Ludzie gnieździli się w sublokatorskich pokojach i tylko my oraz doktor Gruszewski, który także mieszkał w sąsiedniej oficynie, mieliśmy szczęście posiadania niezależnego mieszkania.

Kamienicę opanował – jak to poetycko ujął mój ojciec – „żywiół podmiejski”. Byli to ludzie, którzy przywędrowali do Krakowa podczas wojny lub żyli tu jeszcze przed nią, pracując „u państwa”. Mieszkały tu więc dawne służące, które pozakładały rodziny, praczki, robotnicy. Władza ludowa przygarniała wszystkich do swego obfitego łona, dając im pracę i mieszkania. Dlatego nasza kamienica, jak z kolei oględnie mówiła moja matka, była „demokratycznym środowiskiem”.

Nie mogłem zrozumieć, co ciągnie tu Leona i Adama, zwłaszcza w nocy. „Może – pomyślałem sobie – Leon przychodzi tutaj truć się swoim eterem, a potem łązi po tych balkonach, udając pająka na sieci”. Rozbawiła mnie ta wizja.

– Ten Leon jest jakiś dziwny – powiedziała w tym momencie moja siostra, odwracając się od okna. Na podwórku koledzy zakończyli już kłótnię, bo zapadła cisza. Postanowiłem się pospieszyć, by nie poszli beze mnie.

– Chciałabym zobaczyć twoją sztukę – westchnęła ze smutkiem Eliza. Zawróciłem od drzwi, by pocałować ją w czoło, bo nagle zrobiło mi się jej żal. Ostatnio nie miałem dla niej ani chwili czasu.

– Zobaczysz! Zaprowadzę cię na premierę – obiecałem, wybiegając z domu.

Adam i Leon czekali na podwórku wyraźnie zniecierpliwieni. Adam pogwizdywał jakąś melodyjkę, a Leon nerwowo kopał kamień.

– O, jesteś! – zawołał Adam na mój widok, a Leon dodał:

– Co tak długo? Myśleliśmy, że już tam zasnąłeś...

– Rozmawiałem z siostrą – powiedziałem, obserwując ich uważnie. Po niedawnej kłótni nie pozostał najmniejszy ślad. Wydawać by się mogło, że przed chwilą na tym podwórku nic się nie wydarzyło. A może rzeczywiście nic się nie stało?

– Idziesz z nami? – zdziwiłem się, widząc, że Leon nie zamierza pójść do domu. On jak zwykle skrzywił się pogardliwie.

– Chcę zobaczyć ten cyrk... „Świat to teatr, aktorami ludzie”, jak mawiał mistrz Szekspir...

Roześmiałem się.

Kiedy dobiegliśmy do szkoły, próba oczywiście już trwała, ale na szczęście Adam występował dopiero w kolejnej scenie. Szybko zająłem swoje miejsce w budce suflera i zacząłem nerwowo przewracać strony scenariusza. Na scenie znajdowały się Salomea Bécu i Maria, byliśmy zatem dopiero w pierwszej odsłonie, traktującej o dzieciństwie Jula. Odetchnąłem z ulgą, gdy znalazłem odpowiedni fragment – Irka Nowakowska, koleżanka z klasy Iwony Horn, grająca matkę Słowackiego, była nerwowa i często się myliła. Teraz też nie szło jej za dobrze i co chwila rzucała pełne paniki spojrzenia w moją stronę. Dyrektor był zirytowany, a w ręce trzymał długą linijkę, którą miarowo uderzał w poręcz stojącego przed nim krzesła.

– Nowakowska, proszę bardziej się skupić! Więcej powagi! Grasz matkę naszego genialnego poety! Proszę o więcej zaangażowania! Wracamy do próby.

Irena zaczerwieniła się, ale przy mojej wydatnej pomocy brnęła dzielnie przez swoją scenę. Ponieważ dyrektor wstał z miejsca na widowni i zbliżył się do proscenium, myliła się częściej niż zwykle, wyraźnie spięta. Stary nie odrywał od niej spojrzenia, czym jeszcze bardziej paraliżował biedną dziewczynę i w pewnym momencie w auli zapadła taka cisza, że słyszałem wyłącznie swój głos, podpowiadający kolejne kwestie. Irena umilkła i wpatrywała się w dyrektora z wyczekiwaniem.

– To na nic – powiedział on, machnąwszy ręką. – Tak jak sądziłem. Nowakowska, z przykrością to mówię, nie udźwignie tej roli. Salomea Bécu spaja całe przedstawienie, a to najwyraźniej wyzwanie przerastające twoje możliwości!

Irena zaczerwieniła się i zaczęła mrugać oczami, powstrzymując łzy. Była to najlepsza uczennica z Nałkowskiej, mająca w tym roku szanse na dyplom Przodownika Nauki i Pracy Społecznej dający wolny wstęp na każdą uczelnię w kraju. No, ale talentu aktorskiego Bozia jej poskąpiła, choć była to naprawdę miła dziewczyna. Patrzyłem na pochlipującą Irenę i poczułem złość na naszego dyrektora, który amatorskie w końcu przedstawienie traktował tak, jakbyśmy szykowali się co najmniej do gali w Teatrze Wielkim. Wylazłem zatem z mej budki suflera i stanąłem obok koleżanki.

– Panie dyrektorze! – krzyknąłem w kierunku widowni. – Zróbmy pięć minut przerwy!

Ale pryncypał ani myślał dać Irenie szansy na ochłonięcie.

– Zmieniamy obsadę! – huknął groźnie. – Niech Nowakowska weźmie tekst i przejrzy kwestie Eloie, a Salomeę Bécu zagra Horn.

Iwona, która była zajęta w kulisach rozmową z Adamem, a właściwie jakąś sprzeczką z nim, bo dostrzegłem zarumienione twarze i pospieszne gesty, wyjrzała zaniepokojona na scenę.

– Czy panna Horn mnie słyszy? – zawołał w kierunku kulis, a Iwona, jeszcze ciągle wzburzona, wyszła na proscenium.

– Tak – powiedziała niezbyt pewnym głosem. – Ale panie dyrektorze... Ja bym chyba wolała zostać przy Eloie... Irena ma lepszą pamięć, a rola Salomei jest taka rozbudowana...

Tymczasem Irena zaczęła płakać i upokorzona wybiegła z auli. Zrobiło się zamieszanie, bo jej koleżanka grająca Marię podażyła za nią, pozostałe dziewczęta z Nałkowskiej zaczęły płaczliwymi głosikami przekonywać dyrektora, by „nie zabierał Irencę roli”, a na środku sceny staliśmy ja z Iwoną jak słupy soli i nie bardzo wiedzieliśmy, co ze sobą zrobić.

Do tego wszystkiego z głębi widowni, gdzieś spod popiersia Juliusza Słowackiego, który ozdabiał naszą aulę, wpatrując się martwym wzrokiem gipsowych oczu w scenę, dał się słyszeć złośliwy rechocik.

To był oczywiście Leon Mierzejewski, który rozwalił się z tyłu sali na krześle i teraz świetnie się bawił. Zeskoczyłem ze sceny i podszedłem do niego.

– Z czego się śmiejesz? – zapytałem zaczepnie. Leon wywrócił oczami i położywszy rękę na sercu, zadeklamował:

– „Z czego się śmiejecie? Z siebie samych się śmiejecie!”.

– Gogol. *Rewizor* – powiedziałem, a on z rozbawieniem skinął głową.

– Chodź – powiedział, wskazując ręką wyjście. – Zostaw ten cyrk i zmywajmy się stąd.

– Nigdzie z tobą nie pójdę – stwierdziłem z wściekłością. – Mam cię wyżej uszu za tę akcję w Zakładzie, zrobiłeś ze mnie idiotę!

Leon przestał się śmiać i spojrzał na mnie badawczym wzrokiem, a po chwili milczenia pokręcił głową, uśmiechając się krzywo.

– Od razu idiotę. Nie bądź taki melodramatyczny, bo ci to nie pasuje – powiedział, a ja rozzłościłem się jeszcze bardziej.

Mierzejewski patrzył na mnie jeszcze przez chwilę, a potem nachylił się i wysyczał mi do ucha jakimś dziwnym, diabolicznym szeptem:

– Zastanawiałem się, czy mnie wydasz. Czy komuś o tym nie opowiesz przypadkiem... Ale mile mnie zaskoczyłeś... Będą z ciebie ludzie, trzymaj się mnie.

Szarpnąłem się do tyłu i spojrzałem na niego z przestachem. Zobaczyłem go teraz w innym świetle – ten chłopak był niebezpieczny w swoim szaleństwie, prawie widziałem to w jego oczach, w twarzy, w dziwnym wyrazie ust. Leon znowu roześmiał się złośliwie i to niepokojące wrażenie nagle znikło.

– Pomyśl o tym w ten sposób – powiedział swobodnie. – Doznałeś metafizycznego wstrząsu, wszedłeś w świat moich fantasmagorii, które na chwilę stały się twoimi...

– Raczej w krainę koszmarów sennych – odparłem cicho, przypomniawszy sobie prosektorium.

– Nazywaj to, jak chcesz, ale powinieneś być mi wdzięczny, że odkryłem przed tobą wnętrze mej niegodziwej duszy – ponownie parsknął śmiechem przypominającym szczeknięcie psa.

– Gdybyś tylko był bardziej odważny, moglibyśmy razem niejedno zdziałać, wprowadzić w życie największe szaleństwo. Popatrz – wskazał ręką na Irenę Nowakowską, którą gorliwe koleżanki odnalazły gdzieś na szkolnym korytarzu i przyprowadziły na salę. – Nie próbowałeś sobie nigdy wyobrazić, jak Irena wygląda nago? Biała skóra, pulchne ciało, te urocze piegi na szyi i dekolcie... Pomyśl sobie, jak pięknie prezentowałaby się na stole sekcyjnym, przygotowana do iniekcji płynu konserwującego...

Popatrzyłem na niego z urazą.

– Masz nie po kolei w głowie!

– Oczywiście – potwierdził Leon. – To nie ulega najmniejszej wątpliwości. Lecz kto z nas ma po kolei? Moja matka zwariowała, a cała rodzina usiłuje udawać, że wszystko z nią w porządku.

ku. Spójrz na naszego szacownego dyrektora, czy on jest zupełnie normalny?

Popatrzyłem w stronę sceny. Wraz z powrotem zapłakanej Ireny na nowo rozpoczęło się zamieszanie. Nowakowska, której gniew obrócił się teraz przeciwko Iwonie, doskoczyła do niej z wymówkami, że zabrała jej rolę i że jest podłą zmiłą. Iwona, która była z natury popędliwa i nerwowa, odepchnęła Irenę z całej siły, aż ta gwałtownie się przewróciła i usiadła na deskach. Koleżanki Ireny zaczęły krzyczeć, a dyrektor przez chwilę patrzył na to pandemonium zaskoczony, a potem wybuchnął wielkim gniewem i zaczął się miotać po widowni. Krzyczał, że zrywa próby, że to jest nie do wytrzymania, że to obłęd, „parodia sztuki” i „ordynarne barbarzyństwo”. My, jego uczniowie, byliśmy przyzwyczajeni do takich wybuchów, w trakcie których tracił głos i w końcu tylko groził palcem, a grdyka pulsowała mu nerwowo i głowa trzęsła się jak u staruszka. Dziewczyny z Nałkowskiej natomiast zaniemówiły. Irena szlochała spazmatycznie, jej przyjaciółki także uderzyły w płacz, i tylko Iwona Horn zaczęła się mściwie śmiać. Zmieniła się nie do poznania, w bladej twarzy świeciły się zimne, czarne oczy, a usta przybrały złośliwy wyraz. Patrząc na nią, przypomniałem sobie ilustrację z podręcznika historii starożytnej przedstawiającą głowę Gorgony, której włosy także wiły się jak węże, a wzrok obracał wszystko w kamień. Miałem wrażenie, że Iwona triumfuje. Obraz zniszczenia i katastrofy, do którego się przyczyniła, z pewnością ją satysfakcjonował. Wydawała się ucieszona, że właśnie wali się całe przedstawienie, a jej nielubiana koleżanka doznaje serii upokorzeń. Nie znałem Iwony od tej strony i w tej chwili wydawała mi się raczej mściwą królową z bajki niż słodką księżniczką.

Właściwie powinienem się tego spodziewać, bo w tej dziewczynie było coś drapieżnego, co wymykało się mojemu rozumieniu. Patrzyłem więc na nią zafascynowany, podziwiając jednocześnie ruinę naszego przedsięwzięcia. Leon stał koło mnie i chichotał złośliwie, przyglądając się całej scenie. Miałem wrażenie, że żadna sztuka nie bawiłaby go tak jak ta sytuacja. Zdałem sobie nagle sprawę, że oboje z Iwoną są jak symbole destrukcji. Zniszczenie ich cieszy, a w wywołaniu katastrof znajdują przyjemność. Było w nich wiele zła. Kiedy sobie to uświadomiłem, spojrzałem innymi oczami i na uwielbianą dziewczynę, i na nielubianego kolegę. Iwona i Leon byli jak dwie strony tej samej monety, tylko ona lepiej się maskowała. „Nie zdziwiłbym się – pomyślałem – gdyby nas wszystkich oszukiwała. Ona nie jest tą osobą, za jaką chce się podawać”.

Próba została przerwana, dziewczyny z Nałkowskiej odprowadzone do gabinetu dyrektora, który najszybciej jak to tylko możliwe chciał porozmawiać z profesorem Ostrowską, a my we trzech daliśmy nogę ze szkoły.

– Cudny dzień! – zachwycał się Leon, podczas gdy Adama dręczyły wyrzuty sumienia, czy nie powinien wrócić do budynku i czekać na Iwonę. Nie sądziłem, by dziewczyna potrzebowała pocieszenia; nie po tym, co zobaczyłem w jej twarzy.

– Tak, tak, wracaj – szydził Leon. – Czekaj na swą panią jak wierny pies... Jakież to wzruszające, ach, ach, cudne, wzniosłe...

Mówił to takim błazeńskim tonem i tak wywracając oczami, że nie mogliśmy się nie roześmiać. I śmialiśmy się obaj z Adamem, a jemu zrobiło się głupio, zawstydził się i nie wrócił do szkoły. Rozstaliśmy się z Leonem przy ulicy Manifestu. Odprowadziliśmy go kawałek, ale teraz każdy z nas chciał wracać do domu.

Ja miałem już dosyć przeżyć jak na jeden wieczór, poza tym martwiłem się dalszymi losami przedstawienia. Odkrycie prawdziwej twarzy Iwony też było dla mnie bolesne. Ale jaka by nie była zła i okrutna, mściwa czy zdradliwa, i tak mi się podobała, na czym polegała moja największa tragedia. Zerwanie prób znowu mnie od niej oddalało. Jeśli nie mógłbym widywać jej w szkole, musiałbym znowu wynajdywać niezliczone preteksty, by się z nią spotkać; być może trzeba byłoby wrócić do podciągania Joli z matematyki. Na samą myśl o tym aż się wzdrygnąłem.

Gdy jednak zostaliśmy sami, Adam powiedział niespodziewanie:

– Pokłóciłem się z Iwoną...

Spojrzałem na niego i tysiąc pytań zaczęło mi się kłębić w głowie, lecz nie zadałem żadnego. Czekałem.

Adam urwał niewielką suchą gałązkę z żywopłotu i zaczął ją łamać w palcach; robił to nieuważnie, myśląc zupełnie o czymś innym.

– Pewnie się dziwisz? – zapytał, a ja pokręciłem głową.

– Nie podoba mi się jej zachowanie – powiedział cichym głosem, patrząc na mnie z ukosa. Nic nie odpowiedziałem.

– Ona jest jakaś dziwna – dodał.

– Tak, wiem, mówiłeś to już kiedyś...

Adam wyrzucił patyczek i dla odmiany zajął się kopaniem niewielkiego kamyka, który znalazł przy krawężniku.

– Widziałeś, co zrobiła na próbie – dodał. – Szarpała się z tą Ireną...

W życiu nie nazwałabym tego, co zrobiła Iwona, szarpaniem. Irena została po prostu zaatakowana i przewróciła się, a Adam mówił o całym zajściu w taki sposób, jakby w nim uczestniczyła.

– Hm – powiedziałem więc. – Iwona napadła na Irkę, tak to przynajmniej wyglądało. Została sprowokowana, ale popchnęła Irenę...

– Sam widzisz! – przerwał mi. – Ją tak łatwo można sprowokować. Nie masz pojęcia, jakie ma zmienne nastroje. Raz jest cudowna, delikatna i wrażliwa, a innym znów razem jakiś diabeł w nią wstępuje... Sam nie wiem, co o tym wszystkim myśleć...

– O co się pokłóciliście? – odważyłem się wreszcie zapytać, ale Adam nie spieszył się z odpowiedzią. W końcu po dłuższym milczeniu rzekł:

– Mam wrażenie, że ona nie jest w stosunku do mnie szczerą. Wczoraj znowu zniknęła na całe popołudnie... Gdy pytałem, gdzie była, odburknęła, że to nie moja sprawa... Czasami mam jej tak dosyć...

Uderzył mnie ton jego głosu, gdy wypowiadał te słowa. Nie było w nim złości, ale jakieś dziwne udręczenie. Zastanawiałem się, czy zdołam się kiedykolwiek dowiedzieć prawdy o tej dziewczynie. Co robiła popołudniami, gdy nie miała ochoty na towarzystwo Adama? Czy spotykała się z kimś innym? A może po prostu włóczyła się bez celu po ulicach, co – jak wiedziałem – zawsze lubiła robić?

A więc pokłócili się. Być może zerwą ze sobą. Nie miało to większego znaczenia, bo prawdopodobieństwo, że ja wzbudzę jej zainteresowanie, było więcej niż nikłe. Chyba żeby chciała się zemścić na Adamie. Tak, wtedy uwodzenie jego przyjaciela byłoby prawdziwym przyczkiem w nos!

Przeraziłem się swoich myśli. Były niskie i obrzydliwe, poza tym upokarzałem nimi sam siebie. Na co ja liczyłem? Że Iwona zwróci na mnie uwagę, by zrobić na złość Adamowi, a ja to wykorzystam i jeszcze będę z tego zadowolony? Moje uczucie było jakimś masochistycznym układem, w który wchodziłem dobrowolnie i z ochotą, zamierzając w dodatku czerpać z tego przyjemność.

To było chore.

Zostawiłem Adama przy skwerku Hanki Sawickiej i poszedłem szybkim krokiem do domu. Byłem wzburzony, więc koło domu literatów na Krupniczej przystanąłem na chwilę, by uspokoić swoje myśli, i oparłem się o ogrodzenie pobliskiej parceli kamienicy Mehoffera.

Ktoś niespodziewanie pociągnął mnie za połę płaszcza. Spojrzałem w dół i zobaczyłem

bezzębego kalekę, który od Bóg wie ilu lat żebrał w tym miejscu. Był inwalidą wojennym, tak przynajmniej mówiono w naszej dzielnicy, bo przód wyświechtanej marynarki obwieszony miał odznaczeniami. Rodzina przywoziła go tutaj każdego ranka i zostawiała przy ogrodzeniu, przypinając wózek inwalidzki do kłódki zawieszanej na siatce. Dlaczego to robili – nie miałem pojęcia. Czy bali się, że kalece ktoś może ukraść wózek, czy też wręcz przeciwnie – lękali się, że to on im ucieknie, namówiony przez kolegów od kieliszka, którzy zabiorą mu całodzienny „utarg”, nie wiedziałem. Jakkolwiek by nie było, człowiek ten zawsze napełniał mnie smutkiem. Spotkanie z inwalidą bez zębów, który mełł w ustach jakieś niezrozumiałe słowa i podsuwał mi przed oczy brudną wynędzniałą rękę, prosząc o datki, było jak memento tego niesamowitego dnia. Ja także byłem takim bezzębnym żebrakiem, którego radował każdy uśmiech Iwony Horn. Zacząłem brzydzić się sobą. Podałem kalece jakąś drobną monetę, wygrzebaną z przepaścistej kieszeni płaszcza, i odszedłem.

Dodatkowym ciosem okazała się informacja, że dyrektor zawiesił próby. Oficjalnie dlatego, że Iwona Horn popchnęła na scenie Irekę, nieoficjalnie – bo miał nas dosyć.

Miałem teraz popołudniami więcej czasu, więc zająłem się sprawą zagadkowych eskapad Adama i Leona. Nie wtajemniczyli mnie w nie, co mi się zupełnie nie podobało. Wciąż miałem w pamięci ich dziwną kłótnię na podwórku i niejasne słowa Adama o Leonie. Czego tutaj szukali?

Postanowiłem samodzielnie zgłębić tajemnicę naszego domu. Kilkakrotnie przeszedłem się po wszystkich balkonach, zaglądając w każdy kąt i budząc zdumienie mieszkańców. Stara stróżka Wójcikowa wystawiła nawet głowę ze swojej klitki na dole i zawołała mnie do siebie.

– Co tak łazisz, chłopcze? Nie za stary jesteś na spacer po piętach? – zapytała, a ja się obruszyłem.

– Chyba mi wolno? Mieszkam w tym domu!

– Mieszkasz, mieszkasz – burknęła ona. – Myślałam, że czasy, kiedy goniliście się po tych balkonach jak opętani, już dawno minęły! Ja się na ciebie milicji poskarżę, jak tak będziesz się włóczył, ludzi tylko denerwujesz...

– Akurat milicji – powiedziałem, udając obojętność, ale tak naprawdę nie czułem się zbyt pewnie. Co by było, gdyby to jednak zrobiła? Nie potrzebowałem kłopotów. Wyczuła wyraźnie moje wahanie, bo z zadowoleniem przytaknęła.

– A żebyś wiedział, że milicji. Milicja się zresztą interesuje, kto tu po dachach chodzi...

– A ktoś chodzi? – spytałem zdumiony.

Stróżka popatrzyła na mnie badawczo i skinęła głową.

– Chodzą jacyś. Lokatorzy z czwartego piętra tamtej oficyny się skarżyli, że ktoś im nad głowami tupie. Boją się złodziei... Muszę to na milicję zgłosić, a nuż to jakiś bandyta?

– Widziała pani coś? – zainteresowałem się, ale ona zaprzeczyła:

– Ja wczas chodzę spać, a ten ponoć w nocy myszkował...

Może to była odpowiedź na moje pytanie? Adam i Leon przychodzili tutaj, by dostać się na dach naszego domu. Trudno jednak powiedzieć, co nimi kierowało – ciekawość, głupota, chęć splatania jakiegoś psiego figla czy coś zupełnie innego.

„Nie dowiem się, póki nie sprawdzę” – pomyślałem. Powiedziałem matce, że wywieszę bieliznę na strychu, czym wprowadziłem ją w ogromne zdumienie, chwyciłem klucz i ogromną balie i w kilku skokach znalazłem się na ostatnim piętrze.

Strych w naszym domu był bardzo wysoki i olbrzymi, ponieważ rozciągał się nad całą kondygnacją. Ze względu na ogromne zagęszczenie w mieszkaniach lokatorzy trzymali tu wszystkie niepotrzebne rzeczy. W efekcie ta duża powierzchnia skurczyła się do niewielkich rozmiarów, szczelnie wypełniona pozamykanymi na klucz szafami, w których przechowywano stare palta, jakimiś kuframi i walizkami oraz setką zdezelowanych i nieprzydatnych do niczego sprzętów, które najwyraźniej trzymano na wszelki wypadek. W jedynym mniej zagraconym kącie strychu, tuż pod wykuszowym oknem, rozwieszono sznury na bieliznę, na których – wyjątkowo zgodnie – suszyły swe prania gospodynie z całej kamienicy. Czasami ze sznura coś zginęło – tak było w przypadku zagranicznego sweterka mojej matki, który zniknął tego samego dnia, gdy wywiesiła go do suszenia. Takie przypadki zdarzały się jednak rzadko, toteż wszyscy bez strachu zostawiali tu swoje rzeczy. Przecisnąłem się wzdłuż szeregu szaf i kufrów, by wyjrzeć okienkiem na ulicę Karmelicką. Wspiąłem się na palcach i zobaczyłem przejeżdżający tramwaj, który wła-

śnie tutaj miał swój przystanek, a za nim dorożkę, próbującą dotrzymać tempa elektrycznemu po-
jazdowi.

Niedaleko okna znajdował się kominiarski właz na dach. Wspiąłem się po kilku metalo-
wych schodach i pchnąłem klapę. Była zamknięta na wielką kłódkę. Oczywiście, pewnie dałoby
się ją otworzyć wytrychem czy metalową spinką, ale ani nie miałem ich przy sobie, ani nie potra-
fiłem się nimi posługiwać. Ta droga była dla mnie zamknięta. Z westchnieniem zeskoczyłem
z drabinki i zacząłem rozglądać się po strychu. Szybko zrozumiałem, że nawet jeżeli była tu inna
droga do góry, nie odnajdę jej z powodu ilości gratów zapelniających całe pomieszczenie. Jesz-
cze raz ze smutkiem wyjrzałem przez okno. Kolejna zagadka pozostawała bez rozwiązania,
a ja byłem bardzo rozczarowany.

Nagle ktoś położył mi dłoń na ramieniu i aż krzyknąłem z przerażenia, odwracając się
gwałtownie. Tuż za mną stał wychudzony mężczyzna o czarnych długich włosach i pociągłej
twarzy. Znałem go. Był to lokator z ostatniego piętra, Jakub Sommer, który zajmował sublokator-
ski pokój u rodziny Arciszewskich. Jak mawiała pani Arciszewska, która często odwiedzała moją
matkę, był tajemniczym człowiekiem. Przed wojną zajmował się podobno muzyką, teraz zaś
wcale nie grał, pracując jako pomocnik fotografa w zakładzie przy Karmelickiej. Arciszewska
twierdziła, że popołudniami siedział zamknięty w swoim pokoju, a kiedyś udało jej się podejrzeć,
jak Sommer stał na środku pomieszczenia i dyrygował niewidzialną orkiestrą, podśpiewując so-
bie pod nosem jakiś temat z Czajkowskiego.

„Wariat” – uznała Arciszewska, gdy z wymownym skrzywieniem ust opowiadała to mojej
matce.

Ja znałem go tylko z widzenia, gdy chyłkiem przemyczał się po schodach. W ogóle spr-
awiał wrażenie człowieka wiecznie skulonego i przestraszonego. Mało się odzywał, nie odpowia-
dając nawet na pozdrowienia, więc po pewnym czasie przestaliśmy zwracać na niego uwagę. Żył
w naszej kamienicy, a jakby go wcale nie było. Niewidzialny.

Teraz ten niewidzialny człowiek stał tuż za mną i przyglądał mi się z zagadkowym wyra-
zem twarzy.

– Pan Sommer? – powiedziałem niepewnie, a on dalej patrzył na mnie wzrokiem, który
najwyraźniej mówił: „Co ty tu robisz?”

– Przyszedłeś obejrzyć fortepian? – zapytał z niepokojem, a ja odruchowo rozejrzałem się
po strychu. Tak jak już wspomniałem, gratów tu nie brakowało, ale fortepianu nie zauważyłem.

– Nie... – powiedziałem z pewnym wahaniem. – Nie wiedziałem nawet, że jest tu forte-
pian...

Skinął głową i położył palec na ustach.

– Jest, jest. Fortepian Maison Pleyel, na którym grywał Chopin. Kiedy rodzina Badenów
uciekała do Niemiec, zostawili go tutaj. Nie zmieścił im się na ciężarówkę! – Sommer zacisnął
swoją kościstą rękę na moim ramieniu i położył palec na ustach.

– Ale cicho... – nikt o tym nie może wiedzieć, bo zabiorą fortepian! Odbiorą mi go! Nie
zmieścił się, rozumiesz?

Rozumiałem tyle, że naprawdę mam przed sobą człowieka szalonego. Wyswobodziłem
rękę z jego żelaznego uścisku.

– Rozumiem... A gdzie jest ten fortepian? Może mi go pan pokazać?

Przerażony zaczął się oglądać na wszystkie strony.

– Nie powiem ci, nic ci nie powiem! Codziennie mnie tu szpiegują! Przychodzą, szukają,
łazą mi nad głową i zagląдают do okien!

– Kto łązi? – spytałem.

– Chłopaczyska! Takie jak ty. Ty też pewnie chcesz mnie szpiegować, ale i tak nie powiem ci, gdzie on jest, nie, nie powiem nikomu! – zaniósł się jakimś dziwnym śmiechem, przypominającym bębnienie kropel deszczu o blaszany dach.

– Ja chciałem się tylko dowiedzieć, gdzie jest wejście na dach, bo ten właz dla kominiarzy jest zamknięty... – tłumaczyłem się nieporadnie, mając jednak nadzieję, że może on zna jakąś inną drogę.

– Wejście na dach – roześmiał się znowu. – Są różne wyjścia z tego domu, różne przejścia, ludzie patrzą, a nie widzą... Ty też nie widzisz, ale ja ci nie powiem, nie powiem. Niedobrze jest chodzić pod niebem, można spaść, a ty nie masz skrzydeł, chłopcze. Mogą cię zepchnąć...

– Kto może mnie zepchnąć? – zdziwiłem się.

– Ci, co przychodzą tu szukać, myszkują, zagląдают, szperają. Myślą, że ja ich nie słyszę... A ja zawsze wszystko słyszę... Słyszałem twoje kroki już z daleka na schodach, nie umiesz cicho chodzić... Muszę pilnować... – rozejrzał się po strychu spłoszonym wzrokiem.

– Panie Sommer – powiedziałem, starając się nadać swemu głosowi uspokajający ton. – Nie pytam pana o fortepian, naprawdę mnie on nie interesuje, chciałbym tylko wiedzieć, gdzie jest wejście na strych. Jak oni się tam dostają?

– Kłamiesz. – Sommer zmierzył mnie wzrokiem. – Ja ciebie znam, ty jesteś synem malarza... Malarza, który nie maluje – znowu roześmiał się tym swoim blaszanym głosem. – Muzyk, co nie gra, i malarz, co nie maluje – powiedział i przez chwilę milczał. – Znałem kiedyś twojego ojca, chłopcze, i dam ci dobrą radę. Uważaj na tych dwóch chłopaków, którzy tu do ciebie przychodzą.

– Leona i Adama? – spytałem cichym głosem.

Rozłożył ręce w geście bezradności.

– Nie wiem, jak się nazywają, nie interesuje mnie to. Oni cię wciągną w kłopoty, jestem pewien. Przychodzą tu szukać mojego fortepianu, wiem o tym doskonale. Chcą mi go odebrać, ukraść... Ale fortepianu nie ma na dachu, nie ma...

– A gdzie jest wejście na dach? – spytałem szybko, licząc, że jednak mi odpowie.

Spojrzał na mnie bystro.

– Mówiłem ci już, żebyś uważał... Zabijesz się! Ale dobrze, skoro chcesz wiedzieć... Jedno wejście jest ukryte w starym zsybie na popiół, tuż za drzwiami... Ja bym tam jednak nie chodził...

– Dlaczego? – zapytałem, usiłując przypomnieć sobie, jak wygląda ten popielnik, który przecież odwiedzałem codziennie i pewnie dlatego nie zwracałem na niego większej uwagi. Zsyby znajdowały się na każdym z półpięter, zamknięte wąskimi drewnianymi drzwiami. Popiół wynoszono w wiaderkach i wrzucano do specjalnego szybu, którym spadał wprost do piwnicy. Pomieszczenia zsyby były małe, ciemne i zawsze strasznie zakurzone. Ten na naszym piętrze był szczególnie brudny, bo lokatorzy sąsiednich mieszkań nie bardzo dbali o porządek. Dlatego też matka korzystała najczęściej z popielnika na trzecim piętrze. Drzwi do nich nie zamykano na klucz, tylko na metalową zasuwkę, dla wygody wszystkich korzystających.

– Dlaczego? – powtórzył Sommer, krzywiąc się. – Ty zawsze pytasz, dlaczego... Nie wieszysz... Przekonasz się... – Niespodziewanie ruszył do wyjścia, a jego głos ginał powoli, gdy się ode mnie oddalał. – Różni się tu kręcą i obserwują... Niedobrze wchodzić im w drogę, niedobrze... Już ci mówiłem...

Nie usłyszałem jego ostatnich słów, tylko cichnące kroki na schodach.

Sommer był dziwnym człowiekiem. Trochę się go obawiałem, a jednocześnie wydawał mi się śmieszny. „Ma jakąś manię prześladowczą” – pomyślałem, rozglądając się z ciekawością

po strychu. Było tu tyle różnych sprzętów, że rzeczywiście nawet wielki fortepian koncertowy znikłby bez śladu. Poddasze przypominało coś w rodzaju cementarzyska mebli. Widziałem wspomniane już wielkie szafy, które nie mieściły się w ciasnych klitkach tutejszych mieszkań, absurdalne fotele z pluszowymi obiciami zjedzonymi przez mole, połamane krzesła, skrzynie i rozmaite paczki. Spróbowałem się przepchnąć pomiędzy sprzętami, by zajrzeć na drugą stronę strychu. Skończyło się to tak, że potknąłem się o jakieś żelastwo i z impetem usiadłem na wyściełanym fotelu ze złamaną poręczą, wznecając tumany kurzu i okropnie kaszląc.

Przerażony, że ktoś może mnie usłyszeć, szybko zerwałem się z fotela i zbiegłem na półpiętro. Na schodach było jednak cicho, słyszałem tylko miarowe uderzenia trzepaczki z podwórka – to stara stróżka czyściła dywany lokatorom z parteru. W sąsiedniej oficynie jakaś domorośla śpiewaczka ćwiczyła gamę przy otwartym oknie, bo dobiegał stamtąd fałszywy śpiew, „mi, sol, do, mi sol, do, mi, mi, fa mi, re” i tak w kółko, aż uszy więdły. Przypomniałem sobie, że mieszka tam emerytowana nauczycielka muzyki, która dorabia sobie udzielaniem prywatnych lekcji, i żal mi się zrobiło tej biednej kobiety, która dzień w dzień musiała wysłuchiwać takich kocich dźwięków. Zobaczyłem przebiegającą przez podwórze jej kolejną uczennicę, wysoką dziewczynę o długich jasnobrązowych włosach. Spiesząc się na lekcje, upuściła nuty, a one rozsypały się po całym podwórku.

– Nuty, nuty, panienko! – krzyknęła tubalnie stróżka, a dziewczyna potykając się ze zderzenia, chwyciła fruujące wszędzie papiery, które uciekały niczym białe motyle. Uśmiechnąłem się na ten widok i opuścił mnie strach.

Ostrożnie uchylilem drzwi zsypu na podeście czwartego piętra i zajrzałem do środka, oglądając się za siebie. Na schodach nikogo nie było widać.

Pomieszczenie to było o wiele większe niż zsypy na dolnych kondygnacjach i miało nawet okno od strony podwórza. Wyjrzałem przez nie, oceniając sytuację. Przez bramę na podwórku akurat wszedł listonosz, zatrzymując się przy stróżce, która ciekawa nowych plotek zaprzestała walenia trzepaczką w wystrzępiony perski dywan, pamiętający zapewne lepsze czasy. Wiedziałem, że zanim listonosz zacznie męczącą wędrówkę po piętrach, mam trochę czasu.

Ściany w zsypie były nieco czystsze niż w tym na naszym piętrze, ale nie zdziwiło mnie to zbytnio – mieszkało tu o wiele mniej rodzin niż u nas. Na suficie odcinał się właz prowadzący na dach, który w tym miejscu lekko opadał. Stałem na parapecie okna i pociągnąłem klapę. Otworzyła się bez kłopotu, a na jej wewnętrznej stronie umieszczono metalową drabinę, która zjechała na dół z lekkim trzaskiem, gdy tylko za nią szarpnąłem. Wspiąłem się po schodkach i po chwili znalazłem się w niewielkiej przeszklonej budce zbudowanej po to, by mieścić mechanizm windy, która ostatecznie nigdy w naszej kamienicy nie powstała. Jej miejsce zajęły bardziej praktyczne w tej sytuacji zsypy na popiół z domowych palenisk. Pomyślałem, że to prawdziwy upadek eleganckiego domu – zamiast windy szyb na śmieci...

Nie zastanawiałem się nad tym zbyt długo. Zamknąłem za sobą właz i rozejrzałem się po pomieszczeniu, w którym się znalazłem. Widziałem je już wielokrotnie z okna pokoju doktora Gruszewskiego, który mieszkał w oficynie naprzeciwko. Kiedyś nawet bardzo chciałem się tu dostać, ale zabronił mi tego ojciec, gdy tylko dowiedział się o moich planach. Gruszewski śmiał się z niego, mówiąc, że ta szklana budka byłaby świetnym miejscem na pracownię malarzką. Najwyraźniej naprawdę nie wiedział, jak dokładnie ona wygląda. Budka była po pierwsze niewielka, po drugie było w niej zimno jak w psiarni, a po trzecie – sufit pokrywały pokłady ptasiego guana i naprawdę nie sądziłem, by dało się go kiedykolwiek odczyścić.

Na pewno jednak ktoś tu bywał. Podłoga zarzucona była skorupami talerzy, odłamkami rozbitych butelek i stertami papieru. Przyjrzałem się tym gazetom – głównie były to numery „Ilustrowanego Kuriera Codziennego”, ale trafił się i „Goniec Krakowski”, okupacyjna gadzinówka.

Wyjście na dach prowadziło przez zamykane na skobel drzwi. Najwyraźniej dostać się tu można było wyłącznie z wnętrza domu. Podważyłem zardzewiałą zasuwkę i ostrożnie wyszedłem na dach. Widok rzeczywiście zapierał dech w piersiach. Nasza kamienica była na tyle wysoka, że zdołałem z niej dostrzec nie tylko Karmelicką i sąsiednie ulice, ale nawet Plac Wolności, gdzie z mozołem wznoszono właśnie pomnik ku czci władzy ludowej. Ostrożnie, by nie wybrudzić się smołowatą substancją, którą pokryto dach, zbliżyłem się do krawędzi i spojrzałem w dół. Choć nie miałem lęku wysokości, zakręciło mi się w głowie. Jakub Sommer miał rację – gdyby ktoś stał teraz z tyłu i popchnął mnie... Dreszcz przeszedł mi po plecach i odruchowo obejrzałem się za siebie. Nikogo nie było, tylko wiatr hulał po dachu, podrywając to tu, to tam kawałki papy.

Wystawiłem głowę daleko poza krawędź i uświadomiłem sobie, jaki popełniłem błąd, przychodząc tu w dzień. Byłem doskonale widoczny nie tylko z podwórza, ale i z okien sąsiednich domów. Skuliłem się więc tuż przy absurdalnej ozdobie zwieńczającej dach od frontu, czyli obtłuczonym posągu kobiety z koszykiem kwiatów, i rozejrzałem po dachu. Jak cała nasza kamienica, i dach był śmiałym pomysłem architekta – wznosił się i opadał na różnych poziomach, łącząc się pod kątem z dachem sąsiedniej oficyny i innych domów. Uświadomiłem sobie, że przy pewnej dozie brawury, skacząc z dachu na dach, można by dotrzeć do sąsiedniej przecznicy. Wydało mi się to dosyć zabawne. Przemykać dachami jak duch, zaglądać do okien... Roześmiałem się sam do siebie. Adam i Leon byli zdolni zrobić coś takiego – dla zabawy lub dla dreszczu przygody. Zwłaszcza Leonowi nie brakowało sprytu i determinacji.

Szybko prześlizgnąłem się do szklanego pomieszczenia, a potem zsunąłem się po metalowej drabinie i opuściłem zsyp. W samą porę, ponieważ listonosz właśnie wychodził na czwarte piętro. Minałem go, zatrzymując się tylko na chwilę, by się mu ukłonić. Nie zwrócił na mnie uwagi, zajęty przeglądaniem trzymanej w ręku korespondencji.

Postanowiłem baczniej obserwować nasz dom i podwórze, bo tajemnicze wyprawy Adama i Leona naprawdę mnie intrygowały. Niby przyjaźniliśmy się, a jednak nic nie wiedziałem o ich sekretach... Byli ostrożni i nie ufali mi? Czy też Leon uznał, że jestem tchórzem, którym po prostu nie warto się przejmować?

Myliliem się. Pewnego popołudnia obaj stojąc w drzwiach klasy, oznajmili, że chcą ze mną porozmawiać. Ponieważ próby nadal były zawieszono (choć dyrektorowi najwyraźniej przechodził już gniew, bo kazał się dalej uczyć tekstu), zaciągnęli mnie do rekwizytorni mieszczącej się wówczas w malutkim pomieszczeniu na parterze, do którego schodziło się stromymi schodami z głównego holu. Rekwizytornia bardzo przypominała nasz strych – z dziesiątkami polamanych sprzętów teatralnych i tonami pokrywających się kurzem kostiumów. Leon usiadł nie dbając o oblażony ze złotej farby tron i zapalił papierosa, co w tym pomieszczeniu pełnym gratów, ubrań i dekoracji z papieru było bardzo ryzykowne. Nie zwróciłem jednak na to uwagi, bo opowiedzieli mi o Brygadzie Światła i Mroku.

Leon wyciągnął z kieszeni ciężką popielniczkę.

– Wziąłem ją wczoraj z mieszkania doktora Gruszewskiego – powiedział, a ja skamieniałem. Jak już mówiłem, doktor Gruszewski przyjaźnił się od lat z moim ojcem. Tylko on był w stanie wyciągnąć ojca z letargu, w jaki popadał w trakcie swych wojennych wspomnień. Był to dobry człowiek i bardzo sumienny medyk. Mógł być naprawdę znanym lekarzem, ale najwyraźniej nie chciał, a w czasach stalinowskich przeszkadzała mu przeszłość weterana z Hiszpanii. Pracował w ubezpieczalni koło naszego domu, a dorabiał sobie wizytami domowymi. Lubilem go ogromnie, choć był skryty, zamknięty w sobie i tajemniczy. Takich ludzi spotykało się zresztą wówczas wielu – nikt nie zadawał pytań o przeszłość, bo było to zbyt niebezpieczne. Nie mogłem uwierzyć, że moi koledzy ukradli coś z jego domu.

– Okradłeś go? – byłem pełny oburzenia, ale Leon pokręcił głową.

– Nie rozumiesz. Tak właśnie działa Brygada Światła i Mroku. Zabieramy coś z jednego mieszkania i zostawiamy w innym, z którego też coś bierzemy...

– Chcemy, żeby w całym Krakowie rozpleniły się nieznane rzeczy – dodał Adam. – Rozumiesz, epatujemy burżuazję. Budzi się taki rankiem i widzi zamiast swej popielniczki szczotkę do włosów z buduaru mecenasowej Kaweckiej...

– Wpadliśmy na to dzięki tobie – roześmiał się Leon. – I ten twój dziwny dom, z którego można dostać się wszędzie, jak Alicja przez lustro... Pewnie nie wiesz, ale dachami z łatwością dociera się do przecznicy z Sobieskiego i z powrotem.

Wiedziałem.

Wyobraziłem ich sobie znowu, jak wieczorami przemykają się po dachach domów jak zjawy, znajdują ukryte wejścia na strychy i niezauważeni schodzą na klatki schodowe. No, może nie tak całkiem niezauważeni, bo usłyszał ich Jakub Sommer i lokatorzy z oficyny naprzeciwno. Było to głupie, szalone i niebezpieczne, ale ja miałem tyle lat, że wydawało mi się to wielką przygodą. Przejawem wolności, którą tak trudno dostrzegało się pod koniec lat 50.

– Ale jak dostajecie się do mieszkań? – spytałem, bo tego nie mogłem zrozumieć. Leon chętnie wyjaśnił.

– Różnie. Czasami znamy tych ludzi, wtedy jest łatwiej, ale nie daje to tyle satysfakcji,

a czasami tak... – Wyciągnął z kieszeni pęk kluczy i zabrzączał mi nimi przed oczami.

– Dorabiacie klucze? – byłem całkowicie wstrząśnięty. Leon pokiwał głową.

– Tak, dorobiłem klucze do mieszkania Gruszewskiego. Kiedy przyszedł na wizytę do mojej zwariowanej matki, sięgnąłem do kieszeni jego płaszcza, wiszącego w przedpokoju, wzięłem klucze i odcisnąłem je w mydle... W bramie na Retoryka mieszka taki jeden, który za piwo zrobi każdy klucz z takiego odcisku...

– Przecież to przestępstwo! Może się o tym dowiedzieć milicja! Pójdziecie siedzieć! – przerażała mnie ta cała historia, a oni śmiali się wrednie z mojego strachu. Próbowałem im to wyperswadować, wspominając tragiczne dzieje Adama Macedońskiego, ucznia naszej szkoły, który na jej terenie organizował grupy Narodowego Ruchu Oporu i został aresztowany przez Urząd Bezpieczeństwa.

– Na tym polega misja Brygady Światła i Mroku, ty tchórze – powiedział Leon i zwrócił się do Adama lekceważąco: – To cykor. Wiedziałem, że się nie będzie nadawał. Po tym, co pokazał w prosektorium...

Sam pomyślałem, że mógłbym robić takie rzeczy – okradać znajomych rodziców z kluczy, a potem wdzierać się chyłkiem do ich mieszkań – wydawał mi się straszny.

– To jest chore – powiedziałem, ale zaczęła kiełkować mi w głowie dziwna myśl – że to musi być podniecające, tak zakradać się do mieszkań pod nieobecność ich właścicieli, naruszać ich domową intymność, oglądać rzeczy, szperać w nich. Wyobrażałem sobie te znaleźiska, fascynujące lub budzące odrazę: o pani Żmudzie spod dwudziestki było wiadomo, że nosi sztuczny biust. Ciekawe, gdzie go trzyma? W szafce w łazience czy w nocnym stoliku, w szufladzie, tam gdzie inni przechowują sztuczną szczękę? Mecenas Kawecki miał z kolei tupecik. Zawsze zastanawiałem się, co z nim robi, kiedy zdejmuje go na noc – czesze szczotką lub grzebieniem, strzepuje z kurzu i umieszcza na fryzjerskim stojaku? A Iwona Horn? Co kryją przepastne szuflady gdańskiej szafy, którą kiedyś przelotnie widziałem w jej pokoju? Butelki wietrzejących perfum Chanel, zasuszone kwiaty od wielbicieli, może bieliznę...? Jeśli tak, to jaką? Odrażające bawełniane majtki i ohydne pasy do pończoch wykonane z nylonu, który zapewne miał być praktyczny, a przypominał chomąto? A może właśnie nie – pajęczce desusy z koronki w szlachetnych kolorach czerwieni i czerni...?

Sam przeraziłem się swoich myśli. Nie zamierzałem brać udziału w wyprawach Adama i Leona, ale napęłniały mnie one niezdrową ciekawością. Wieczorami nie przestawałem o tym myśleć. Wyobrażałem sobie, jak straszę lokatorów naszego domu – nielubianą panią Arciszewską, stróżkę Wójcikową, a nawet biednego Jakuba Sommera... Wystarczyło tylko przejść balkonem i pchnąć uchylone okienko spiżarni, potem wślizgnąć się do środka i czekać na odpowiedni moment. Popatrzeć, co dzieje się w domu, ukryć się w korytarzu między paltami i śmiać się z ich głupoty i naiwności. Może przechodziliby koło mnie, nie wiedząc, że czają się w mroku? Może wyczuliby moją obecność i opowiadali później o duchach kryjących się w niedoświetlonych pomieszczeniach? Kiedyś będąc dzieckiem, miałem taki sen, który ciągle do mnie powracał. Wstałem z łóżka w długiej płóciennej koszuli nocnej i boso wychodziłem na chodnik przed domem. Potem biegłem coraz szybciej i szybciej, aż wreszcie zaczynałem unosić się w powietrzu. Lecąc, zaglądałem do okien, obserwując nocne życie naszego domu. Dawno o tym zapomniałem, a teraz sen powrócił do mnie z całą jaskrawością.

Zacząłem się bać samego siebie. Kim jestem, skoro takie pomysły przychodzą mi do głowy? Być może stałem jeszcze bardziej szalony niż Leon? Zrozumiałem, że wyprawa na dach obudziła we mnie dziwną żądzę przygód, niebezpiecznych i perwersyjnych.

Kilka dni później doktor Gruszewski przyszedł do mego ojca. W zdenerwowaniu niezbyt dokładnie zamknęli drzwi, więc przyczajony w przedpokoju dobrze słyszałem rozmowę. Lekarz wyciągnął z torby podłużny przedmiot i położył go na biurku.

– Co o tym sądzisz? – zapytał, a ojciec podniósł przedmiot do oczu. Zobaczyłem, że był to nieduży sztylet, nazywany mizerykordią.

– Sztylet Falangi – stwierdził mój ojciec po krótkich oględzinach. – Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Skąd go masz?

Gruszewski był zdenerwowany i zaczął przechadzać się po pokoju. Nigdy do tej pory nie widziałem go w takim stanie, wręcz przeciwnie – był dla mnie zawsze wzorem opanowania. Nawet gdy moja siostra w pierwszym ataku choroby miała ponad 40-stopniową gorączkę i traciła przytomność, on robił jej zastrzyki pewną ręką, pogwizdując to swoje „fiuu, fiuu” pod nosem. I tylko ściągnięcie brwi zdradzało, jak bardzo porusza go ta sprawa. Teraz jednak było inaczej. Przeszedł całą długość gabinetu, potem zawrócił i stanął przy ojcu, spoglądając mu przez ramię.

– Znalazłem go w moim domu. Leżał przy łóżku, na nocnym stoliku – powiedział cicho. Ojciec pokręcił głową i ponownie spojrzął na nóż, ważąc go w dłoni.

– Dziwne – powiedział z pewnym wahaniem. Gruszewski wzruszył ramionami i wrócił do nerwowych przechadzek po pokoju. Tym razem jednak zatrzymał się przy oknie i odsłoniwszy firankę, chwilę patrzył na ulicę, a potem odezwał się do mojego ojca głosem, który przypominał syk węża i nappełnił mnie przerażeniem:

– Dziwne? Ty mi, Antonio, mówisz, że to jest dziwne? To jest ZNAK! Mówiliśmy przed laty, że tak może się zdarzyć. Że pewnego dnia ONI przyjdą... Myślę, że już tu są i mnie znaleźli... Być może znaleźli nas wszystkich!

Skamieniałem ze strachu. Nie miałem pojęcia, o czym mówili, ale byłem pewny, że dotknięto tu jakiejś tajemnicy. Byłem smarkaczem, ale rozumiałem, że głupi żart Adama i Leona, jakim było zabranie popielnicy i podrzucenie tego noża, uruchomił lawinę jakichś niepokojących zdarzeń.

Powinienem być wejść do pokoju i opowiedzieć o Brygadzie Światła i Mroku. Powinienem, bo może wtedy Iwona Horn by żyła. Nie zrobiłem tego ze strachu. Wstrzymałem oddech i dalej kulilem się przy drzwiach, wyłapując najłżejszy szept.

Gruszewski wydobyl ze swej lekarskiej torby jakieś papiery. Położył je na stole, po czym ją zatrzaskał. Zrobił przy tym ruch ręką, jakby uważał całą sprawę za zamkniętą.

– Przechowaj to. U mnie nie są bezpieczne. Nie wiemy, co jeszcze może się wydarzyć.

Ojciec wziął dokumenty i bez słowa schował je do dolnej szuflady biurka. Nawet nie spojrzął na nie, jakby doskonale wiedział, co zawiera zwinięta w rulon i przewiązana brudnym sznurkiem paczka. Położył dłoń na ramieniu przyjaciela.

– Może powinieneś na jakiś czas wyjechać? – powiedział, a jego głos zabrzmiał niezbyt przekonująco, jakby zupełnie nie wierzył w to, co mówi.

Gruszewski zaśmiał się gardłowo.

– Wyjechać? Może jeszcze się ukryć, jak szczur? O nie, Antonio, ty mnie chyba nie znasz, nie po to przeszedłem przez więzienie w forticy Montjuïc, żeby teraz uciekać. Ja się ich nie boję... Tak jak nie bałem się wtedy... Jestem stary, a dalej się nie boję. Nie chcę tylko, by testament

Andresa Nina wpadł w ich łapy...

– Ja uważasz, Jorge – powiedział ojciec. – Ja też się nie poddam, w razie czego.

– Wiem – powiedział Gruszewski. – Wiem też, że ktoś myszkował po moim mieszkaniu, zastawiłem kilka pułapek i upewniłem się. Myślę, że po prostu nie znaleźli tego, po co przyszli, i zostawili mi to ostrzeżenie.

– U mnie nikogo nie było – powiedział ojciec ze stanowczością, która mnie zadziwiła. Czyżby też zastawiał pułapki? Jeśli tak, to jakie? Nigdzie nie widziałem rozsypanej na podłodze mąki ani włosów przyklejonych do klamek. A jednak ojciec na pewno jakoś się zabezpieczał, dbając o nasz spokojny sen.

Oni tymczasem roześmiali się, a mnie przeszedł dreszcz grozy. Nigdy nie słyszałem, żeby ojciec się tak śmiał. Przez chwilę stali naprzeciwko siebie, a potem równocześnie wyciągnęli do siebie ręce. Patrzyłem na tę scenę i miałem wrażenie, że żegnają się bardziej jak towarzysze broni tuż przed ważną bitwą niż jak przyjaciele w czasie pokoju.

Gdy Gruszewski wychodził, prysnąłem spod drzwi niczym wystraszony zając.

Doktor chyba wyczuł moją niedawną obecność, bo wkładając kapelusz, rozejrzał się bacznie po korytarzu. Ale ja już wtedy leżałem niewinnie na łóżku w swoim pokoju, udając, że czytam jakąś książkę przygodową.

W głowie kotłowały mi się różne myśli. Miałem poczucie, że tej nocy w moim domu dotknięto jakiejś wielkiej i groźnej tajemnicy. Wiedziałem jedno – muszę koniecznie dobrać się do biurka ojca i zobaczyć papiery przyniesione przez doktora Gruszewskiego.

Przez kilka kolejnych dni nie udało mi się jednak wejść do gabinetu. Albo przesiadywał w nim ojciec, albo starannie go zamykał, wychodząc do pracy.

Od wielu lat ojciec pracował w muzeum. Jeżeli oczywiście jego zajęcie można było nazywać pracą. Całymi dniami nudził się w magazynie, katalogując zbiory, które po październikowej Odwilży opuściły reprezentacyjne sale na górze i zeszły tu, rzekłbym – do podziemia. Liczył marmurowe i gipsowe popiersia wodzów rewolucji, odkurzał niepożądane już obecnie portrety przodowników pracy i okropne pejzaże z traktorami na tle zachodzącego słońca. Czasami w przypiływie melancholijnego nastroju chwycił za pędzel i domalowywał wodzom błazeńskie czapki lub pozwalał, by z rozkołysanych łańców zbóż zaczęła wyglądać krzywa wieża albo dla odmiany bardzo zgrabna amerykańska aktorka.

Ojciec był malarzem, ale tak jak powiedział Jakub Sommer, od lat już nie zajmował się swoją profesją. Nigdy nie widziałem żadnego jego obrazu, a jeżeli nawet były jakieś w domu, to je zniszczył. Kiedyś matka pokazała mi kilka ołówkowych szkiców, które zrobił w czasie wojny; przeraziły mnie naturalizmem i wiernością w oddaniu jej okrucieństwa. Teraz teoretycznie zajmował się konserwacją dzieł sztuki, a tak naprawdę metodycznie je niszczył. O ile to, z czym miał do czynienia, zasługiwało na miano sztuki. Zawsze mówił, że chciałby napisać biografię Pabla Picassa, którego uwielbiał za popieranie republikanów w wojnie domowej. Wspominał często, jak podczas okupacji Picasso robił ogromne ilości odbitek swej *Guerniki*, które rozdawał niemieckim żołnierzom. Pewnego dnia odwiedził go oficer SS i wręczając mu odbitkę, zapytał: „Czy to pańskie dzieło?”, „Nie. Wasze!” – miał odpowiedzieć Picasso.

W naszym domu nie było jednak reprodukcji ani tym bardziej oryginałów obrazów kubiistów. Właściwie jak na mieszkanie takiego wielbiciela malarstwa, jakim był ojciec, obrazów nie było wcale. Ot, kilka nieudanych portretów odziedziczonych po przodkach, jakiś landszafcik z gęsiarką pędzącą ptaństwo przez ścięte przymrozkiem pola i banalne martwe natury w pokoju stołowym. Jeden tylko obraz bardzo mi się podobał. Wisiał w pokoju mojej siostry i przedstawiał dziwny pejzaż w stylu Davida Friedricha: ponury krajobraz z nagimi zimowymi drzewami i zrzuconym budynkiem. Obraz był przygnębiający, ale jednocześnie przyciągał z magnetyczną siłą.

Pytałem wielokrotnie ojca, skąd wziął się w domu, ale on zbywał to milczeniem. W każdym razie było to jedyne dzieło godne uwagi, jakie mieliśmy, choć tak małe, że można było przykryć je dłonią.

Kiedy wreszcie któregoś dnia ojciec wyszedł do pracy i zostawił niezamknięte drzwi do swego gabinetu, błyskawicznie tam wpadłem i zacząłem buszować w biurku. Szuflada, do której wsunięto dokument, była pusta. Domyśliłem się, że ojciec musiał przenieść go gdzie indziej, ale gdzie? Bardzo dokładnie obejrzałem cały mebel. Było to masywne gdańskie biurko z szeregiem półeczek, szuflad i skrytek. Niektóre zamknięte na klucz i istniały raczej niewielkie szanse, że uda mi się je otworzyć. Nie sądziłem jednak, by ojciec umieścił tajemniczy papier w jednej z nich. Przypomniałem sobie, co mówiła o ukrywaniu skarbów książka przygodowa, którą właśnie czytałem. Chowaj na wierzchu. To, co odkryte, jest zazwyczaj najlepiej schowane. Przyjrzałem się dobrze bałaganowi na biurku. Leżało tam kilka książek, w tym wspomnienia Orwella z wojny w Hiszpanii, prawie całkiem zacytane pierwsze angielskie wydanie z 1938 r., oraz maszynopis monografii Picassa, którą ojciec pisał od lat. Dokumentu nigdzie nie było. Dalsze myślowanie przerwała mi wracająca z zakupów matka. Jak z procy wypadłem z pokoju ojca i zaszyłem się z książką w łóżku. Papier zostawiony przez doktora Gruszeńskiego był dla mnie nieosiągalny.

Wieczorem niespodziewanie odwiedził mnie Adam. Dwa dni wcześniej dyrektor w końcu się załamał i wznowił próby do *Sily fatalnej*. Z powodu pamiętnej awantury nastąpiły jednak kolejne przetasowania – Iwonę Horn wyrzucono z obsady przy pełnej aprobacie dyrektorki żeńskiego liceum, profesor Ostrowskiej, a co więcej – zabroniono jej nawet przychodzić na próby. Irena Nowakowska także nie grała już Salomei Bécu, choć trudno właściwie powiedzieć, za co ją ukarano. Może na zasadzie odpowiedzialności zbiorowej, tak modnej w ówczesnych czasach. Jej rolę oddano małej Magdzie Wilkosz, która co prawda miała świetną pamięć, ale swój tekst wyrzucała z szybkością karabinu maszynowego, tak że nie nadążałem z przekładaniem kartek w mojej budce suflera. Nie muszę mówić, jak bardzo byłem rozczarowany całą sytuacją. Straciłem nadzieję na spotkania z Iwoną. Czekwały mnie więc spacerunki pod dom Hornów i szkołę, ukradkowe spojrzenia i śledzenie jej i Adama. Najwyraźniej burza w ich związku minęła, bo znowu widywałem ich razem. Nie miałem odwagi zaproponować kolejnego wypadu do kina czy choćby na herbatę do pobliskiej kawiarni, bo czułem, że Adam wszystkiego by się domyślił.

Tak czy inaczej straciłem serce do tej sztuki. Gdy Adam przyszedł, by poćwiczyć rolę, zastanawiałem się właśnie, czy nie rzucić tego wszystkiego w cholerę. Byłem dziwnie rozdrażniony i poruszony. Nie potrafiłem sobie znaleźć miejsca, a myśl o tym, że trzy popołudnia tygodniowo spędzę bezproduktywnie w szkole, gdy tymczasem ona będzie na przykład spacerowała sobie po mieście, była dla mnie po prostu nieznośna.

Adam wpadł do mieszkania, zupełnie nie zwracając uwagi na stan, w jakim się znajdowałem. Położył tekst na stole i zaczął mnie sztorcować. Uważał, że za mało się staram, grając Rapsoda. Roześmiałem się ponuro. Nie widziałem sensu w przykładaniu się do roli, która była zupełnie nieważna. Miałem wręcz wrażenie, że gdybym na przykład zachorował i nie mógł przyjść na premierę, braku tej postaci w sztuce nikt by nie zauważył. W jasełkach, w których grywałem jako chłopiec, zawsze było za mało ról dla dzieci, więc wymyślano im jakieś nadprogramowe postaci: zajęczki, niedźwiadki, czy po prostu przebierano w krakowskie stroje. Gdy jedno lub dwoje było chorych, nikt z widowni nie zauważał różnicy. Teraz było tak samo. „Bredzisz” – zirytował się Adam, który do tej sztuki podchodził z ogromną powagą i nie cierpiał, gdy ktoś z niej kpił. Próbowałem jeszcze kilku złośliwości pod adresem samego siebie i mojej mizernej roli w przedstawieniu, ale kolega zgasił mnie jednym gestem. „Teraz grasz Rapsoda i wchodzisz na trzy minuty, ale w następnej sztuce możesz zagrać choćby Norwida, bo masz potencjał. Ale nie zagrasz, jak będziesz się zniechęcał i desperował jak smarkacz”. Miał rację. Doszedłem do wniosku, że nie czas zachowywać się jak rozkapryszony dzieciak. Z westchnieniem wziąłem skrypt i zacząłem go przepytować. Adam deklamował z taką emfazą, że zainteresował tym matkę, która wsunąwszy głowę przez drzwi, zaprosiła nas na herbatę.

Podczas podwieczorku mój kolega olśnił nie tylko mamę, ale nawet naszą sąsiadkę, panią Żmudę spod dwudziestki, która wpadła na jakieś damskie pogaduszki. Tylko moja siostra nie wychyliła nosa z pokoju, dając tym wyraźnie do zrozumienia, że nie zmieniła swego zdania o Adamie ani na jotę. Zastanawiała mnie ta niechęć i podejrzliwość Elizy, zazwyczaj ufnej i otwartej, choć nieśmiałej. Poza tym Adam był bardzo przystojny, nie mogłem więc zrozumieć, jak taki chłopak może nie podobać się mojej siostrze.

Gdy wyszedł, pozostawiając po sobie znakomite wrażenie, moja rodzicielka nie mogła się

go nachwalić, wielce zadowolona, że mam tak inteligentnego i doskonale wychowanego kolegę.

– On chodzi z Iwoną Horn – powiedziałem wreszcie z przekory, a matka zawahała się chwilę, zbierając talerze. Wzruszyła jednak ramionami, udając obojętną.

– Cóż, synku. Może jego rodzina nie ma tak złych doświadczeń z Hornami, jak twój ojciec.

– Przecież przyjaźnili się ze sobą, walczyli razem w Hiszpanii – powiedziałem. – Nie rozumiem tego wszystkiego.

– Ich drogi rozeszły się w obozie internowania, w Mirandzie – westchnęła matka. – Ojciec pozostał wierny ideałom Republiki, zaś pan Horn zdecydowanie opowiedział się za Stalinem. W Hiszpanii ojciec walczył w szeregach anarchistów, którzy potępiali rządy totalitarne, chcieli wspólnej własności i wspólnych rządów.

– Przecież Horn był z nim w jednym oddziale... – powiedziałem cicho, bo naprawdę trudno było mi pojąć zawiloci historii.

Matka pokiwała głową.

– Był taki epizod tej wojny, zwany „wojną domową w wojnie domowej”, kiedy podczas pięciu dni maja 1937 na ulicach Barcelony doszło do walk pomiędzy anarchistami a komunistami. Ludzie wznosili na ulicach barykady, zginęło ponad tysiąc osób. Właśnie wtedy ojciec uratował Hornowi życie... To był straszny tydzień, ostatniego dnia w piątek wkroczyła do Barcelony Gwardia Szturmowa i stłumiła zamieszki. Zaczęły się prześladowania, mordowanie... Wtedy do więzienia trafił doktor Gruszewski, a miesiąc później zamordowano przyjaciela ojca Andresa Nina...

Chciałem o coś zapytać, ale usłyszałem przekręcanie klucza w zamku – ojciec wracał do domu. Zamilkliśmy z matką jednocześnie, a ojciec dziwił się, że jesteśmy w tak ponurych nastrojach.

Nie miałem wówczas pojęcia, że właśnie ten wieczór zapoczątkował wydarzenia, które na zawsze zmieniły moje życie. Może gdybym to wiedział, nie siedziałbym w milczeniu przy stole z matką, tylko spróbował w jakiś sposób powstrzymać bieg wypadków. Może powinny były mi się podnieść włosy na głowie lub otworzyć się trzecie oko odpowiedzialne za postrzeganie ponadmysłowe. Tak, wiem, że to głupie, ale gdy teraz wspominam tamten dzień i wieczór, sądzę, że powinienem być bardziej uważny, dostrzec pewien szczegół, który wówczas pominąłem i zlekceważyłem. Powstrzymać Adama Milicza.

Nie zrobiłem tego jednak i nazajutrz znowu poszedłem na próbę. Jak już mówiłem, sztuka podobała mi się coraz mniej i widziałem w niej jedynie karykaturę pięknego przedstawienia, którym była na początku. Magia teatru przestała na mnie działać, dodatkowo na próbie znowu zjawił się Leon Mierzejewski i razem z Adamem zniknęli gdzieś przed końcem zajęć. Także i to było mi obojętne. Od momentu pamiętnej awantury na próbie byłem nieustannie zły i podrażniony; zupełnie jakbym cierpiał na uporczywą gorączkę, której nie mogą zwalczyć żadne leki, a która dokucza, doprowadzając do szaleństwa. Dręczyły mnie też wyrzuty sumienia, że nie powiedziałem ojcu o Brygadzie Światła i Mroku. Ale ponieważ przez kilka następnych dni nic szczególnego się nie wydarzyło, a ojciec wydawał się spokojny i beztroski, uspokoiłem się. „Może to wszystko nic nie znaczy” – tłumaczyłem sam sobie. W końcu głupie żarty sztubaków zdarzają się często i nie przynoszą żadnych złych skutków ani konsekwencji.

Jak zwykle się myliłem. Wieczorem zasiedliśmy do wspólnej kolacji i właśnie wtedy miał miejsce pewien incydent. Nasze posiłki nigdy nie były ani smaczne, ani wyszukane, ale rodzice wymagali, żebyśmy wszyscy o określonej porze schodzili się przy stole. Wydawało mi się to głupie i trąciło hipokryzją, ponieważ ojciec zawsze dziękował matce za wyborną kolację, zmuszając

i nas do wypowiedziania kłamliwych pochwał. Po posiłku ojciec wstawał od stołu, wyciągał kieszonkowy zegarek, sprawdzając godzinę, po czym z namaszczaniem nakręcał ogromny zegar szafkowy stojący w rogu salonu. Zegar zawsze późnił się około kwadransa, więc trzeba było najpierw otworzyć szybkę ochraniającą tarczę i przesunąć wskazówki. Tym razem, kiedy ojciec sprawdził już godzinę i upewnił się, że jak zwykle opóźnienie naszego czasomierza wynosi piętnaście minut, zbliżywszy się do zegara, zamarł, wpatrując się w jeden punkt. Spojrzałem w to samo miejsce – wewnątrz szafki, na niewielkiej półeczce pod tarczą stała popielnica doktora Gruszewskiego.

Skamieniałem z przerażenia. Ojciec wyciągnął popielnicę i chwilę przyglądał się jej w milczeniu. Potem bez słowa wyszedł z pokoju, założył palto i po chwili słyszałem już jego oddalające się kroki. Nie miałem wątpliwości, że poszedł do doktora.

Wrócił po godzinie i był bardzo spokojny, jakby podjął ważną i nieodwracalną decyzję. Podśpiewywał nawet pod nosem swą ulubioną piosenkę z okresu wojny domowej, czyli *A las barricadas* i ciągle słyszałem, jak powtarza wers, który w tłumaczeniu znaczy: „Choć grozi nam cierpienie i śmierć, przeciwko wrogowi wzywa obowiązek”. Przeraziło mnie to. Bałem się iść do pokoju ojca i powiedzieć mu o Brygadzie Światła i Mroku. Byłem pewien, że to któryś z nich – Adam lub Leon – podrzucili ojcu popielnicę. Mogłem sobie to nawet wyobrazić. Adam odwiedził mnie w domu i wtedy zrobił odcisk klucza, który zawsze wisiał przy drzwiach w przedpokoju. A dzisiaj, kiedy nikogo nie było w domu, bo matka zabrała Elizę na ćwiczenia, weszli tu po cichu i przeszukali pokoje. Zastanawiałem się, co zabrali – może pantofle ojca, spinkę do włosów matki albo ortopedyczny aparat siostry, który musiała nosić po chorobie.

Nie miałem racji.

Wzięli coś zupełnie innego. Zauważyła to Eliza, kładąc się spać. Zawołała ojca i pokazała mu puste miejsce na ścianie. Adam z Leonem ukradli ów mały obrazek przedstawiający ponury pejzaż.

Ojciec pokiwał tylko głową, jakby spodziewał się takiego obrotu sprawy, co było dla mnie kompletnie niezrozumiałe. Matkę także zdziwiła jego obojętność.

– Trzeba wezwać milicję – powiedziała zdenerwowana. Ojciec nadal milczał, przyglądając się jaśniejszej plamie na ścianie, przypominającej słabo zabliznioną ranę.

– Nikogo nie będziemy wzywać – stwierdził stanowczo. – A już na pewno milicji!

– Ty chyba żartujesz! – wykrzyknęła matka, która była w najwyższym stopniu wzburzona. – Przecież to był Turner! Ten obraz ma ogromną wartość!

Spojrzałem na ojca ze zdumieniem. Skąd w naszym domu wziął się obraz Turnera? Z jednej strony wiedziałem, że artysta namalował ich setki, ale jak jeden z tych setek trafił na ulicę Batorego w Krakowie? Nie mogłem tego pojąć. Z drugiej strony wybryk Adama i Leona stawał się teraz sprawą kryminalną. Nie oznaczał już zwykłej, szczeniackiej zabawy, ale rabunek. Obraz był cenny i to, co zrobili moi koledzy, wykraczało poza ramy wyglupu.

– Obraz ma swoją wartość – wzruszył ramionami ojciec – ale ja wiem, gdzie go szukać!

Po plecach przeszedł mi dreszcz. Czyżby ojciec i doktor Gruszewski czegoś się domyślili? Czyżby zdemaskowali Adama i Leona? Doktor mówił o pułapkach, które zastawiał na nieproszonych gości, więc może i mój ojciec przygotował taką pułapkę i dowiedział się, kto płata te szczeniackie figle? Jeżeli tak, to co zamierzają zrobić? I dlaczego ojciec nie zwraca na mnie uwagi? Przecież na pewno wie, że Adam i Leon to moi koledzy!

Kiedy te nerwowe i paniczne myśli przebiegały mi przez głowę, ojciec odsunął od siebie matkę zdecydowanym gestem i wszedł do swego gabinetu. Nie starczyło mi odwagi, by pójść za nim i przyznać się do wszystkiego.

Następnego dnia Adama i Leona nie było w szkole, co oznaczało, że wspólnie wybrali się na wagar. Wiedziony nieomylnym instynktem poszedłem więc pod klasztor siostr Norbertanek. Tam, przy murze kościelnym, gdzie Rudawa wpadała do Wisły, znajdowało się ulubione miejsce spotkań wszystkich wagarowiczów. Latem opalano się w ciągu kwadransa na rozgrzanym murze klasztoru i zażywano kąpiele w głębokim, niebezpiecznym miejscu zwanym Falką, wiosną można się było gapić na przepływające kry i grać w ferbla albo w oko, popijając oranżadę z butelki z krachlą. Adam i Leon byli tam, racząc się na klasztornym murku winem, co zresztą należało do ich stałych rozrywek.

– Byliście u mnie w domu – powiedziałem bez żadnych wstępów. – Zabraliście cenny obraz!

– Każda rzecz jest cenna – powiedział nonszalancko Leon, zapalając papierosa. – Swoją drogą rozczarowałeś mnie. Nie sądziłem, że tak cię oburzy zniknięcie tego rodowego dobra. Prawdziwy *petit bourgeois* z ciebie. Powiedziałbym więcej – drobny mieszczanin!

„A więc kradzież naszego obrazu miała być kolejnym etapem sprawdzania mnie” – pomyślałem. Miałem wrażenie, że Leon próbuje prowadzić ze mną jakąś grę. Rozpoczął ją wtedy, w prosektorium Zakładu. Nie wiedziałem, do czego zmierzały te demonstracje, ale zapewne mój kolega czerpał z nich jakąś satysfakcję. Poczulem nagły przypływ wściekłości, ale postanowiłem trzymać nerwy na wodzy.

– To był obraz Turnera – powiedziałem, pomijając milczeniem jego złośliwość. – Macie go natychmiast oddać!

Leon skrzywił się, ale Adam wydawał się poruszony.

– Turner? Mówisz poważnie? Nigdy nie wspominałeś, że macie Turnera...

– Bo nie pytałeś. Zresztą sam nie wiedziałem. Ojciec nigdy o nim nie mówił, nie miałem pojęcia, że jest tak wiele wart... Musicie go zwrócić, bo ojciec wezwie milicję.

Blefowałem, licząc, że się przestraszą, ale oni nie byli bojaźliwi. Byłem głupi, że ich o to podejrzewałem. Kogoś, kto nie zawaha się wejść do cudzego mieszkania, wspiać się na dach i balansować na gzymsie, zapewne nie wystraszą groźby szkolnego kolegi.

– Ojciec wezwie milicję? – spytał ironicznie Leon. – Na pewno władze będą ciekawe, skąd się u was wziął obraz kapitalistycznego zwyrodnialca Turnera! A może zamierzasz nas wyspać? Będiesz kapusiem? Piękna kariera dla syna bojownika z Hiszpanii...

– Leon, daj spokój – mitygował go Adam.

Spojrzałem na niego. I choć nie ufałem obu za grosz, to jednak w Adamie pokładałem większe nadzieje. Miał więcej skrupułów od Leona i łatwiej było w nim wzbudzić poczucie winy.

– Nie możemy oddać obrazu, bo już go nie mamy. Przeszedł w inne ręce – wyjaśnił niespokojnie, oglądając się na Mierzejewskiego, który zadarł wysoko głowę, jakby chciał nam dać do zrozumienia, że nic go to nie obchodzi, i pogwizdywał cicho.

– W czyje? – spytałem, licząc na to, że może uda się jeszcze go odzyskać.

– Jest już w następnym mieszkaniu, z którego wzięliśmy nowy fant – Leon roześmiał się i sięgnął do kieszeni swego kraciastego płaszcza. Wyciągnął dobrze znany mi wisiołek z kłęczącym aniołem.

– To medalion Iwony Horn – powiedziałem zdumiony. – Podrzuciliście nasz obraz Hor-

nom?

Adam i Leon popatrzyli na siebie ze zdziwieniem.

– Nie miałem pojęcia, że tak baczenie obserwujesz dziewczynę swojego kumpla – odparł złośliwie Leon, a mnie pociemniało w oczach. Rzuciłem się na niego, by wyrwać mu z ręki wiśsierek. Udało mi się chwycić za koniec długiego łańcuszka i pociągnąć go do siebie. Leon uskokczył, śmiejąc się wrednie, łańcuszek pękł, a mnie ogarnęła wściekłość. Biegłem za nim z jedną myślą – żeby dać mu nauczkę. Dzisiaj już nie wiem, czy chciałem go dopaść i zlać, czy też pragnąłem go zabić. Nienawiść kipiała we mnie jak rzeka podczas powodzi. Adam ruszył za nami, krzycząc, żebyśmy się opamiętali, ale żaden z nas nie chciał go słuchać. Leon był dobrym biegaczem i uciekał zręcznie, wciąż się śmiejąc. Ale ja byłem wytrwały, powoli dystans między nami się zmniejszał. Dobiegaliśmy już do ulicy Kościuszki i byłem pewien, że go złapię i wyrwę mu medalion, kiedy na drodze pojawił się samochód, czarny citroen, jadący z dużą szybkością od strony zajezdni tramwajowej. Leon nie wahając się ani przez chwilę, rzucił się przed maskę auta, które zahamowało gwałtownie i z piskiem opon. Kierowca, barczysty mężczyzna o wyglądzie zabijaki, wyskoczył na ulicę i wygrażając pięścią, wymyślał Mierzejewskiemu od buców i klarnetów. Zapewne pobiegłby za nim, ale siedzący z tyłu pasażer przywołał go do porządku ostrym i nieprzyjemnym głosem. Kierowca wzruszył ramionami, chwilę jeszcze patrzył za Leonem, który właśnie zniknął w krzakach na Rudawą po drugiej stronie ulicy, i wsiadł do wozu. Samochód odjechał, wzniesając tumany kurzu.

Ja ciągle tkwiłem na brzegu krawężnika jak sparaliżowany, patrząc za Leonem, który najwyraźniej przez ulicę Słoneczną zamierzał bezpiecznie wrócić do domu. Odwróciłem się w kierunku Adama, który także przyglądał się tej scenie przerażonym wzrokiem.

– Idiota – skomentowałem. – Mógł zginąć pod kołami, debil jeden... Nie wiem, co mu strzeliło do głowy...

– Daj spokój – powiedział Adam, kładąc mi rękę na ramieniu.

– Nie wygłupiaj się! – dodał jakiś dziwnym, proszącym tonem, który nie tylko mnie nie uspokoił, ale rozżołościł jeszcze bardziej. Miałem wrażenie, że rozdrażnienie z ostatnich dni, które tkwiło we mnie jak choroba, jak pęczniejący wrzód, w końcu rozlało się szeroko, znajdując ujście. Oto wreszcie odkryłem prawdziwego wroga, przyczynę wszystkich moich nieszczęść i bezsensnych, pełnych poczucia winy nocy. To Leon, wredny i podstępny, a jednocześnie na tyle sprytny, że nie mogłem go do końca rozgryźć. I Adam, dwulicowy zdrajca, który tak naprawdę nigdy nie był moim przyjacielem. Być może spotykał się ze mną wyłącznie po to, by zrealizować swój nędzny i godny pożałowania plan.

– To wy się nie wygłupiajcie! Kompletnie wam obu odbiło – powiedziałem. Porażka, jakiej przed chwilą doznałem, zupełnie mnie zaślepiła. Ciągle byłem wściekły, a teraz doszedł do tego jeszcze gniew upokorzenia. Bo Leon mnie upokorzył – ukradł obraz, zabrał medalion. Nie mogłem pojąć, jak Adam mógł się na to zgodzić. Pozwolił, by Leon wdarł się do domu Hornów, myszkował w pokoju Iwony, przeglądał jej rzeczy. Dotykał tych pięknych ubrań swymi parszewymi rękami, przyglądał się im wzrokiem szaleńca. Przecież Leon zbrukał w ten sposób i zohydził jego dziewczynę!

Nagle zrozumiałem, że Leon ma nad Adamem wielką i niepojętą władzę, byłem bowiem pewny, że włamanie do Hornów to był jego pomysł. Przekroczenie kolejnej granicy, następna próba sił. Szatańskie *qui pro quo* – wejść do naszego mieszkania i zakpić ze mnie, wdrzeć się do Hornów, by zagrać na nerwach Adamowi i poznać granicę jego wytrzymałości. Leon był chory, zły i wynaturzony. Zacisnąłem dłoń w pięści, ale wiedziałem, że go nie dopadnę. Moja złość obróciła się przeciwko Adamowi, głupiemu i słabemu, skoro tak ulegał szalonemu koledze. Strząsnąłem jego dłoń z ramienia. Wydał mi się niewiele wart, kiedy starał się tłumaczyć Leona,

występując tak naprawdę przeciwko Iwonie i przeciwko mnie. Zdradził nas. I to w imię czego? Wariackiego żartu, wyzwania, do którego nakłonił go Mierzejewski? A może jednak kryło się w tym wszystkim coś więcej?

Miałem ochotę go uderzyć. Taki cios, wymierzony pięścią w nos, nazywano u nas „kamprem”. Potrafił odebrać przeciwnikowi oddech, a czasem nawet przytomność na dłuższą chwilę. Choć nie należałem do podwórkowych zabijaków, nieraz brałem udział w bójkach, zwłaszcza tych pomiędzy dzielnicami. Nasi najbardziej zacietrzewieni przeciwnicy wywodzili się właśnie ze Zwierzyńca. Bijatki organizowane były najczęściej w ogródku jordanowskim na ulicy Retoryka, gdzie stała jedyna czynna latarnia. Ogólna walka kończyła się zazwyczaj pojedynkiem prowodyrów, poprzedzonym wyzwaniem: „Solo, solo!”, które oznaczało, że przywódca jednej grupy ma samotnie zmierzyć się z szefem drugiej. Walczono honorowo, ale zaciekle, w ruch szły pięści, a czasami też noże. Cios zwany „kamprem” niejednemu złamał nos. Na poturbowanego nieszczęśnika czekał już w pobliżu motocykl marki „Iż”, do którego koledzy przywiązywali go paskami i odwozili do szpitala.

Ręka sama złożyła mi się do „kampra” i niechybnie Adam by dostał, gdybym nie opanował się w ostatniej chwili. Co by mi dała zemsta? Nic. Opuściłem więc pięść i po prostu odwróciłem się od niego, choć wszystko się we mnie trzęsło i pulsowało gniewem.

– Słuchaj – powiedział pojednawczo. – Spróbujemy odzyskać twój obraz. Hornowie wyjeżdżają na święta i jeżeli go jeszcze nie zauważyli, to odbierzemy go w ciągu kilku dni!

Zastanowiłem się. Był przedświąteczny piątek. Jeżeli rzeczywiście Hornowie się nie zorientowali, co niespodziewanie pojawiło się w ich domu, plan mógł się udać.

– Zawsze wyjeżdżają w Wielki Piątek – powiedział Adam, jakby czytając w moich myślach. – Powiesiliśmy obraz w przedpokoju, przed wyjazdem zawsze jest zamieszanie, na pewno go jeszcze nie widzieli.

– Oby – powiedziałem. – Chcę pójść z wami!

– Daj spokój – przestraszył się Adam, który najwyraźniej myślał, że będę chciał dopaść Leona i zemścić się na nim. – Zrobimy to sami, nie mieszaj się do tego... Nie wiem nawet, czy Leon będzie chciał iść po ten obraz...

– Nie rozumiem, jak mogło ci to wpaść do głowy – powiedziałem. – Myślałem, że się kumplowaliśmy...

Uśmiechnął się złośliwie.

– A ja nie rozumiem, jak tobie mogło wpaść do głowy wyrwanie kartek z moją pracą z ławicy albo kradzież butów przed meczem...

Skamieniałem, wpatrując się w niego z niemądrym wyrazem twarzy.

– Myślałeś, że nie wiem? – szydził. – Oczywiście, że się zorientowałem... Czasem zachowujesz się jak pęta.

Puściłem to mimo uszu.

– A więc rewanż? – spytałem, cedząc wolno słowa. – Chciałeś mi pokazać, co potrafisz? Pokazałeś. Teraz nie chcę mieć z tobą więcej nic wspólnego. Oddajcie tylko obraz.

Adam jakby oprzytomniał, ruszył za mną szybkim krokiem. Kiedy się zrównaliśmy, zaczęła mówić:

– Przestań, nie denerwuj się, dałem się ponieść emocjom. Nic takiego się nie stało. Obraz przecież nie przepadł, wszystko da się odkręcić...

Pomyślałem o ojcu i jego tajemniczych spotkaniach z Gruszewskim, sztylecie Falangi i zagadkowym papierze w biurku.

– Tak ci się tylko wydaje – przyspieszyłem kroku, pozostawiając go na ulicy, tuż przed

skrzyżowaniem z Alejami.

– Filip! – wołał za mną, ale ja nie zwracałem już na to uwagi. Był dla mnie obojętny jak powietrze, liczyło się tylko jedno – odzyskać obraz.

Wślizgnąłem się do mieszkania, by bezszelestnie przemknąć do swego pokoju, ale ojciec mnie usłyszał. Stał na progu gabinetu i kiwał na mnie ręką.

– Co się stało, tato? – zapytałem, by zyskać na czasie. Spodziewałem się wymówek za późny powrót do domu i wiedziałem, że będę musiał wymyślić jakieś kłamstwo.

– Chciałem z tobą porozmawiać – powiedział, a ja poczułem, że jego ton nie wróży nic dobrego. Zacząłem już przygotowywać sobie w głowie jakieś idiotyczne wykrety, ale okazało się to zbędne.

Ojciec wprowadził mnie do gabinetu, zamknął starannie drzwi, po czym z górnej szuflady biurka wyciągnął papierosa. Zaskoczyło mnie to, bo nigdy nie widziałem, żeby palił. Teraz jednak poszukał zapalniczki i po chwili się zaciągnął.

– Widziałem, że byłeś zdziwiony tą sprawą obrazu – zaczął ojciec, rozglądając się za popielniczką. W końcu – co mnie zupełnie wytrąciło z równowagi – wziął popielnicę doktora Gruszeńskiego, która ciągle była u nas w domu, i strzepnął papierosa.

– Nie wiedziałem, że to Turner – powiedziałem szybko. – To chyba bardzo cenny obraz?

– Cenny? – Ojciec zaciągnął się po raz kolejny. – Dla mnie bezcenny. I nie chodzi tu o jego wartość liczoną w pieniądzu, ale o wartość, że tak powiem, duchową...

– Wartość duchową? – nie rozumiałem, a ojciec pokiwał głową.

– Ten obraz przywiozłem z Hiszpanii, jest więc dla mnie ogromnie ważny jako pamiątka, ale też rękojmnia pewnego rodzaju przymierza, jakie zawarłem z moimi przyjaciółmi...

W milczeniu przypatrywałem się ojcu. On zgasił papierosa w popielnicy doktora, a potem wziął ją do ręki i przyjrzał się jej uważnie pod światło.

– To kolejna z tych świętych pamiątek hiszpańskich. Onyksowa popielniczka Jorgego... Wiem, synku, że podsłuchiwałeś pod drzwiami, gdy rozmawiałem z doktorem. Najpierw chciałem cię za to ukarać, ale później pomyślałem sobie, że może dobrze się stało. Jeżeli nam się coś przydarzy, cokolwiek złego, ktoś musi pozostać depozytariuszem naszej tajemnicy...

– Tajemnicy? – spytałem całkiem spieczonymi, suchymi wargami. Ojciec skinął głową.

– Testament Andresa Nina... Tak to nazywaliśmy między sobą. Kiedy w 1937, po zakończeniu Dni Majowych uciekaliśmy z Barcelony, Nin powierzył nam wielką tajemnicę. Skarb, który mógł uratować Republikę... Było to przede wszystkim złoto spakowane w skrzynki, ale też trochę biżuterii i dzieł sztuki. Legendarny skarbiec republikanów, pieniądze na broń i ochotników, którzy nie mieli się już pojawić... Andres nie chciał, by to wszystko wpadło w ręce komunistów, ani tym bardziej Falangi. Czasu mieliśmy mało, a skarbiec znajdował się w niebezpieczeństwie... Miał do mnie zaufanie, byłem sprytny, młody i nie bałem się niczego, a już na pewno nie śmierci. Starsi mówią na to „brawura”, dla mnie zaś był to po prostu styl życia. Nie mówiłem ci tego nigdy, ale wówczas byłem pewien, że zginę w Hiszpanii. Nasza sprawa była stracona, wiedziałem to wyraźnie, i – powiem to szczerze, bo tak właśnie wtedy myślałem – nie miałem zamiaru jej przeżyć. Sprawa skarbcza republikanów sprawiła, że spojrzałem na swoje życie inaczej i odkryłem nową wartość – byłem teraz strażnikiem tajemnicy.

Razem z dwoma przyjaciółmi ukryliśmy wszystko w ruinach pewnego kościoła niedaleko Barcelony. Nie było to łatwe ani bezpieczne, ale jak już mówiłem – żaden z nas się nie bał. Złożyliśmy przysięgę, że nigdy nie wydamy miejsca ukrycia skarbu, chyba że zgłosi się po niego

Nin lub ktoś od niego znający tajny znak i hasło... Każdy z nas wiedział, że jeśli zdradzi, pozostali zemszczą się na nim lub na jego rodzinie. To było jasne od początku. Żeby przypieczętować to przyrzeczenie, każdy z nas wziął ze skarbca jedną małą rzecz...

– Ty wziąłeś ten obrazek – powiedziałem. – Doktor Gruszewski popielniczkę, a co zabrał ten trzeci? I kto to był, tato?

– Nie domyślasz się? – ojciec spojrział na mnie badawczo. – Ignacy Horn przywiózł stamtąd medalion ze srebra przedstawiający świętą Leokadię, jedną z patronek Hiszpanii...

– Dziewczyna z aniołem – szepnąłem cicho, przypominając sobie wisior w ręku znienawidzonego Leona.

– Widziałeś go? – zdziwił się ojciec, a ja skinąłem głową.

– Iwona Horn miała go kiedyś na sobie – powiedziałem, a on nie skomentował tego.

– Każda z tych pamiątek miała znaczenie. Na popielnicy wygrawerowana jest Maria del Pilar, kolejna hiszpańska święta, zaś obraz przedstawia ruiny wieży Dos Santos. Tak też nazywa się miasteczko, w którym ukryliśmy skarb. Dokładną drogę do skrytki pokazuje mapa, którą przechowywał przez lata Gruszewski.

– Dał ci ją tamtego dnia, gdy przyniósł sztylet – powiedziałem po cichu, a ojciec skinął głową.

– Przez pewien czas nasza tajemnica trwała w uśpieniu. Wszystko się zmieniło. Andres Nin został zamordowany, my dostaliśmy się do niewoli. Republika nie potrzebowała skarbu, bo nie było już Republiki. Gruszewski trafił do katowni faszystów na wzgórzu Montjuïc w Barcelonie. Nie pytali go o skarbiec, bo nawet o nim nie wiedzieli... Ja znalazłem się w obozie w Mirandzie. Spotkałem tam Ignacego. Ucieszyłem się na widok starego druha, ale on powiedział mi, jaki zaszedł w nim duchowy przełom. Nasz przyjaciel, jeszcze do niedawna anarchista, stał się zagorzałym stalinistą, wierzącym w te wszystkie brednie o historycznej konieczności i silnej ręce. Rozstaliśmy się w wielkim gniewie. Bałem się, że nowa wiara podszepta mu zdradę naszej tajemnicy. Oczywiście wiedział, że wtedy znajdę go i zabiję albo zrobi to Jorge, gdybym ja zginął. Przypomniałem mu o tym, kiedy się rozstawaliśmy... On tylko roześmiał się dziko, mówiąc, że przysięga wiąże go do śmierci, choć już nie wierzy w naszą naiwną – jak powiedział – sprawę. Ale ja mu nie ufałem.

Ojciec na chwilę przerwał i zamyślił się.

– Wtedy postanowiłem zabezpieczyć skarb. Wiedziałem, że nie uda mi się wywieźć go z Dos Santos, nie miałem na to środków, poza tym każda zmiana miejsca była niebezpieczna, a w tych konkretnych warunkach po prostu niewykonalna. Miałem inny plan. Już w chwili, gdy chowaliśmy wszystko w ruinach, obejrzałem sobie dokładnie całe otoczenie kościoła i znalazłem drugą, zapasową kryjówkę. Wystarczyło tylko wydobyć skarbiec, przenieść go w inne pobliskie miejsce i zastawić kilka pułapek. W tym celu musiałem jednak uciec z obozu w Miranda de Ebro. Jak widzisz, nie byłem wcale głupi, przewidziałem wszystko. Co prawda Jorge mówił mi później, że od początku nie ufał Hornowi i przypuszczał, że prędzej czy później nas zdradzi. Gruszewski, nawet siedząc w więzieniu Montjuïc, cały czas zastanawiał się, jak uciec i zabezpieczyć skarbiec. Twierdził, że tylko to ciągle obmyślanie planów trzymało go przy życiu, gdy faszyci zabierali się do niego w swojej katowni dzień po dniu i noc po nocy... – Ojciec zamilkł na chwilę i zapatrzył się w przestrzeń przed sobą. Wiedziałem, że wróciły do niego wszystkie wspomnienia, jak wilki, które każdej nocy wyją swą głodową pieśń. Przeszedł mnie dreszcz.

Zauważył to i położył mi dłoń na ramieniu.

– To były straszne czasy, synu. Każdy z nas marzył o ucieczce i obu nam się to udało. Zamek na wzgórzu Montjuïc kryje niejedną mroczną historię, w jego fosie dokonywano masowych

egzekucji. Jorge był tak słaby i wyczerpany biciem, że przyniesiono go tam na noszach. Sam nie wiedział, czemu go nie rozstrzelano, tylko porzucono przy stosie trupów. Może ktoś stwierdził, że nie warto marnować kuli? Ja tego nie wiem, i on także nie miał pojęcia. Gdy tylko strzały uci- chły, a pluton egzekucyjny wrócił do twierdzy, Jorge zdołał się wyczołgać spod stosu ciał i zsu- nąć ze zbocza. Pewnie znaleziono by go tak czy inaczej, ale udało mu się wypatrzeć zagłębienie pod korzeniami drzewa, które uczepiło się wzgórza, a później zaczął padać ulewny deszcz. Nikt nie odkrył jego kryjówek, a on ocalał. Przedostał się jakoś do miasta i ukrył u naszych przyjaciół na wzgórzu Tibidabo. „Ze wzgórza na wzgórze” – śmiał się potem Jorge... Ja tymczasem szyko- wałem się do ucieczki z obozu. Nie będę ci opowiadał, synu, o pomysowości więźniów Mirandy w torowaniu sobie drogi na wolność. Kilku z nich wydostało się podkopem spod obozowej kapli- cy, niektórzy zaczęli kopać tunel w baraku. Ja miałem inny pomysł, bo postanowiłem uciekać w pojedynkę. Obozowi strażnicy byli skorumpowani i łatwo ich mogłem przekupić, co też uczy- niłem. Nie ufałem jednak żadnemu, zbyt często zdarzało się bowiem, że strzelali później ucieki- nierom w plecy.

– I co zrobiłeś? – spytałem i wydało mi się, że w oczach ojca dostrzegam jakiś cień.

– Nie zapominaj, że to była wojna. W obozie ludzie ginęli jak muchy – z głodu, chorób, zakatowani na śmierć. Pamiętam te owrzodzone półtrupie pełzające wokół lazaretu, pamiętam wielogodzinne apele, podczas których bito ludzi do nieprzytomności, bo wystarczająco głośno nie krzyczeli: „Viva Franco!” ... Niczego im nie zapomniałem, niczego...

Zerwał się z fotela i zaczął nerwowo chodzić po gabinecie.

– Przekupiłem głupkowatego wartownika, o jeszcze głupszym nazwisku Septiembre. Tak jak ci powiedziałem – nie ufałem mu, bo nie znosił Polaków. To często się zdarzało w Mirandzie – falangiści nienawidzili generała Waltera, a to uczucie przenosiło się na wszystkich Polaków z Brygad, nawet nas, anarchistów, którzy z tym stalinowskim siepaczem nie mieliśmy nic wspólnego. Ale zawarłem z wartownikiem układ, choć wiedziałem, że muszę być bardzo ostrożny, bo zbyt łatwo zgodził się na dostarczenie mi wojskowej kurtki i wyprowadzenie za bramę. Pa- miętam, że było to wieczorem, tuż po suto zakrapianej imprezie, którą w kantynie urządzili sobie żołnierze. Septiembre czekał na mnie przy baraku z kurtką. Szybko się przebrałem i pod osłoną zapadającego mroku wyszliśmy zupełnie bezpiecznie przez bramę. Tak jak się spodziewałem, wartownik postanowił mnie zdradzić, gdy tylko opuściliśmy obóz. Chciał wszcząć alarm i praw- dopodobnie mnie zastrzelić. Ale nie dałem mu szansy...

Ojciec westchnął, przetarł ręką czoło i spojrzał na mnie.

– Skoczyłem na niego i skręciłem mu kark. Nie spodziewał się tego. Nie zdążył nawet wyciągnąć broni. Wrzuciłem jego zwłoki do rowu, a sam wskoczyłem tuż za drutami do rzeczki Bayas. Długo płynąłem z jej nurtem, licząc na to, że psy tropiące zgubią ślad. – Zamyślił się, a ja patrzyłem na niego z przestachem. Wiedziałem, że walczył podczas wojny, nie miałem złu- dzeń, że zabijał wrogów. Ale nie sądziłem, że był zdolny do złamania komuś karku. Do morder- stwa.

Nic jednak nie powiedziałem, a ojciec podjął swoją opowieść:

– Do miasteczka Dos Santos dotarłem po bardzo długiej wędrówce, którą odbyłem jak w malignie, kryjąc się przed każdym napotkanym człowiekiem, nocując w lasach i żywiąc się warzywami kradzionymi z pól. Byłem całkowicie wyczerpany. Przez kilka dni nabierałem sił w ruinach. Pomocy udzieliła mi miejscowa rodzina, przynosząc jedzenie i wodę. Kiedy trochę doszedłem do siebie, wprowadziłem w życie swój plan. Nie muszę ci mówić, jak trudne w moim stanie było przeniesienie skarbcza i ukrycie go w nowym miejscu. Nie wiem sam, co dodawało mi sił, żeby sprostać temu zamierzeniu; pewnie nienawiść, jaką żywiłem do zdrajców Republiki, i strach przed moim dawnym przyjacielem, Ignacym Hornem. Jak się później okazało, Horn opu-

ścił obóz w Mirandzie po kilku miesiącach, dokładnie w momencie, gdy stalinowcy ogłosili, że anarchiści i sympatycy Nina to najwięksi wrogowie Frontu Ludowego, i rozpoczęły się prześladowania w szeregach republikanów. To był ostateczny koniec Republiki, nie miałem już wówczas złudzeń, że nasza sprawa jest przegrana. Przedostałem się wtedy do Francji, licząc, że uda mi się jakoś wrócić do kraju; w Paryżu spotkałem Jorgego, który z tą samą myślą porzucił Katalonię i po wielu przygodach dotarł aż tutaj. Od niego dowiedziałem się, że Horn przeszedł na stronę stalinowców i wstąpił nawet do Frontu Ludowego. Jorge uważał, że Ignacy został moskiewskim szpiegiem, a jego nowi mocodawcy ułatwili mu opuszczenie obozu i przerwali go do Francji. Był też pewien, że skarbcza nie da się uratować. Nie wiem, czy miał rację, ale powiem ci jedno: Ignacy Horn dotrzymał słowa i nigdy nie zdradził naszej tajemnicy. Za to jedno mam do niego szacunek, za całe jego późniejsze życie – pogardzam nim. Na razie jednak nie wiedziałem o tym wszystkim, bo gorączkowo pracowałem w ruinach kościoła w Dos Santos. Byłem owładnięty jedną myślą – że mam mało czasu. Przy pomocy farmera, który mnie uratował od śmierci głodowej, a był bardzo zręcznym mechanikiem, skonstruowałem kilka pomysłowych pułapek. Popatrz!

Ojciec sięgnął do biurka, naciskając zapadkę w najwyższej szufladzie. Uruchomił w ten sposób mechanizm, który otworzył ukrytą skrytkę. Wyjął z niej papier, który widziałem już tamtego wieczoru.

Był to plan wioski Dos Santos z zaznaczonymi ruinami kościoła. Według mapy skarbiec Republiki ukryto gdzieś na tyłach budynku.

Na marginesie zapisano drobnymi literami wiadomość, którą odczytałem z dużym trudem: „Pragnę zstąpić ku studni, gdzie śmierć moją łyk za łykiem wypić mogę. Pragnę mchem moje serce wypełnić, aby ujrzeć zranionego przez wodę”.

Spojrzałem pytająco na ojca, a on roześmiał się triumfalnie.

– To fragment wiersza Lorki. A jednocześnie wskazówka, gdzie znaleźć skrytkę i jak ominąć czyhające pułapki.

– Powiesz mi? – zapytałem, drżąc z podniecenia, bo historia ojca bardzo przypominała opowieści podróżnicze, które uwielbiałem czytać. Już wyobrażałem sobie, że z tą mapą wędruję po bezdrożach Katalonii, odnajduję zapomniane miasteczko i bezcenny skarb.

Ojciec pokręcił przecząco głową.

– Nie. Lepiej, żebyś za dużo nie wiedział. Wielu już przez to zginęło. Mówię ci to wyłącznie dlatego, że kiedyś, gdy mnie już zabraknie, może zgłosić się do ciebie emisariusz po tę mapę. Po testament Andresa Nina.

– Testament Andresa Nina – powtórzyłem zupełnie suchymi wargami, a ojciec skinął głową.

– Człowiek ten, lub ludzie, bo tego nie wiem na pewno, pokaże ci czwarty przedmiot, a jest nim srebrna figura szachowa przedstawiająca wieżę. Poprosisz go wówczas o hasło...

– Jak ono brzmi? – spytałem, trzęsąc się ze strachu, bo wyobraziłem sobie tych emisariuszy: groźnych i budzących trwogę, milczących i nieobliczalnych.

– To także cytat z Lorki. Zapamiętaj go dobrze: „Ujrzałem raz dwa gołębie ciemne lecące”, a ty odpowiesz: „Jeden z nich księżycem był, a drugi był słońcem”.

Powtórzyłem posłusznie te wiersze i – możecie wierzyć lub nie – na zawsze zapadły mi w pamięć.

Ojciec tymczasem złożył ostrożnie mapę, chowając ją do skrytki.

– Mój chłopcze, to niebezpieczna gra o wielką stawkę. Być może nasza tajemnica nie jest już bezpieczna... Ktoś wszedł do mieszkania doktora, podłożył mu sztylet i zabrał popielnicę...

Potem dostał się tutaj i zamienił popielnicę na obraz... Obraz zaniósł na pewno do domu Horna, zabierając medalion... To ostrzeżenie dla naszej trójki... Pętla się zaciska, dlatego zaniosę mapę do muzeum i ukryję ją w magazynie. Postanowiłem przykleić ją na odwrocie portretu Lenina. Płótno jest mocne, przylepię na nim ten arkusz i zabezpieczę papierem. Nikt nie domyśli się, że wódz rewolucji strzeże tak ważnej tajemnicy.

– Tato... – powiedziałem cichym głosem. – A nie myślisz, że to wszystko, no wiesz, to znikanie i pojawianie się przedmiotów, to jakiś głupi żart...?

– Żart? – nie rozumiał ojciec. – Kto mógłby żartować w ten sposób? Chyba tylko ten, kto zna naszą historię... A możesz być pewny, że nie chwaliliśmy się nią nikomu. Jorge i ja – z wierności Republice, a Ignacy – ze strachu. Jak wyglądałoby jego życie w nowej Polsce, gdyby opowiadał o swej karierze anarchisty... Nie, ja tu nie wierzę w żadne żarty...

– No wiesz, może to przypadek... Szczeniacka zabawa... – zacząłem tłumaczyć, przestraszony podejrzeniami ojca, któremu ta absurdalna historia ułożyła się najwyraźniej w niepokojącą całość. – Słyszałem w szkole takie plotki o chłopakach, którzy płątają ludziom różne figle – zabierają coś z jednego domu i przenoszą do drugiego...

Ojciec patrzył na mnie z uwagą. Przestraszyłem się nie na żarty, rozumiejąc, jak straszne wypadki uruchomiła Brygada Światła i Mroku. Byłem gotowy wyznać ojcu wszystko, nawet to, że pragnąłem przyłączyć się do Adama i Leona, by plądrować mieszkania znajomych i odkrywać ich małe, brudne sekrety.

– Bzdura! – powiedział ojciec poirytowany. – Takie przypadki nie istnieją! Rozumiem wygłupy, nawet takie jak podkradanie różnych rzeczy, ale w tym wypadku zabierano bardzo konkretne przedmioty... Gdzie słyszałeś o tych chłopcach? Może ich znam? Jeżeli to oni, to na pewno działali na polecenie kogoś innego... No, powiedz coś!

Znowu obleciał mnie strach. Adam i Leon popełnili po prostu głupstwo... A może jednak nie? Może ojciec miał rację i nie działali sami?

Stchórzyłem. Zacisnąłem zęby i pokręciłem przecząco głową. Ojciec patrzył na mnie chwilę ze zmarszczonymi brwiami, a potem uśmiechnął się.

– W każdym razie Gruszewski odzyska nasz obraz – powiedział, klepiąc mnie po plecach.

– W jaki sposób? – przeraziłem się, ale ojciec ponownie wzruszył tylko ramionami.

– On potrafi znikać i pojawiać się jak duch, nauczył się tego w Hiszpanii. Po prostu zabierze go z ich domu. Nie wiem, kiedy, może podczas wizyty lekarskiej albo w jakiś inny sposób...

Ciarki przeszły mi po plecach. Doktor Gruszewski zapewne także wiedział, że Hornowie wyjeżdżają na święta. A co będzie, jeśli spotka w mieszkaniu Adama albo, co gorsza, Leona? Zwłaszcza ten drugi był nieobliczalny. Sam nie wiedziałem, komu grozi większe niebezpieczeństwo: weteranowi z Hiszpanii czy szalonemu licealiście.

Nie pytając o zgodę, wybiegłem z mieszkania i pędem przemierzyłem ulicę dzielącą mnie od domu Adama. Nie zastałem go jednak. Ponura willa przy Błoniach, w której mieszkał Leon, także wyglądała na opuszczoną i na próżno dobijałem się do drzwi i zaglądałem do okien. W końcu do ogrodu wyrzała zaniepokojona sąsiadka Mierzejewskich, kobieta o zaciętej i surowej twarzy. Podniosłem kołnierz płaszcza i czym prędzej stamtąd uciekłem. Nie chciałem, by ktokolwiek mnie rozpoznał.

Nabiłem sobie głowę myślą, że poszli po obraz do mieszkania Hornów. Wróciłem więc na Batorego i zacząłem przechadzać się pod domem, zerkając w okna mieszkania Iwony.

Światło było wygaszone i w środku panował niezmacony spokój. Nie dochodziły też stamtąd żadne dźwięki. Zresztą, czego ja się spodziewałem? Że usłyszę odgłosy walki?

Kilka razy przeszedłem się pod domem, wzbudzając zainteresowanie milicjanta z posterunku.

– Co się tak włóczysz? – Barczysty kapral wysunął głowę z okna. – Zmiataj mi stąd!

– Już idę, idę – powiedziałem, znikając stamtąd szybko, zwłaszcza że za mną patrzył.

Specjalnie minąłem swój dom i skręciłem w Sobieskiego. Jeszcze chwilę ukrywałem się za rogiem, spoglądając w perspektywę ulicy Batorego. Zmrok zapadał szybko i coraz trudniej było coś dojrzeć.

Wróciłem do domu.

Ta noc nie była jednak spokojna. Dobrze po północy ktoś zaskrobał do drzwi. Nie pukał ani nie dzwonił, lecz właśnie zaskrobał, i powiem szczerze, że ten dźwięk mnie przeraził. Zerwałem się z łóżka i podkradłem do drzwi swego pokoju. W korytarzu usłyszałem szybkie kroki ojca, a potem ciche skrzypnięcie – wpuszczał kogoś do środka. W wąskiej szparze uchylonych drzwi dojrzałem ciemną przygarbioną postać w przeciwdeszczowym płaszczu. Rozpoznałem go dopiero po głosie. Był to doktor Gruszewski.

– Muszę natychmiast wyjechać – powiedział szybko do ojca, wpychając mu do rąk pakunek owinięty w gazetę.

– Co się stało? – zapytał zaniepokojony ojciec.

– Coś poszło nie tak. Myślę, że byli tam przede mną, bo ktoś już zdjął obraz ze ściany. No i dziewczyna nie żyje...

– Co ty mówisz?! – wykrzyknął ojciec, a Gruszewski wzruszył ramionami i postawił kołnierz płaszcza.

– Nie wygłupiaj się. Jestem lekarzem, znam się na tym, widziałem setki trupów. Takie rzeczy niestety się zdarzają. Jakby to powiedział Stalin, duchowy mentor Horna, „gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą” ... Żegnaj, stary, uważam, że spłaciłem swój dług z Hiszpanii, nie zobaczysz mnie już więcej... Salut! – Gruszewski zaśmiał się krótko tym swoim dziwnym śmiechem, od którego przeszywał mnie dreszcz, i wyszedł, zamykając za sobą cicho drzwi.

Oparłem się o ścianę i nie mogłem złapać tchu. „Dziewczyna nie żyje”. Przecież Hornowie mieli wyjechać całą rodziną na święta... To niemożliwe, żeby chodziło o Jolę. Ani tym bardziej o Iwonę. Nie, nie, to zbyt straszne! Może miał na myśli Jasię, służącą Hornów? Tak, na pewno ją – w końcu słowem „dziewczyna” określano w naszym mieście dochodzące pomoce.

I ta straszna myśl. Czy to Gruszewski ją zabił? Przyszedł do mieszkania Hornów po ob-

raz, a zaskoczyła go służąca... Rozpoznałaby go, więc nie pozostawało nic innego, jak ją zabić... Udusić? Pchnąć nożem? Uderzyć w głowę jakimś przedmiotem, który był pod ręką?

Nie miałem wątpliwości – Gruszewski był szalony. Ten jego okropny śmiech... Było w nim coś strasznego, wręcz mrożącego krew w żyłach.

Osunąłem się na podłogę. Przesiedziałem tak do rana, nie mogąc się ruszyć z przerażenia. Ojciec już dawno wrócił do swego pokoju, matka wyszła na poranną mszę do Karmelitów. Gdy zajrzała do mnie koło ósmej, leżałem w łóżku, trzęsąc się z zimna.

– Masz gorączkę – powiedziała z westchnieniem, gdy położyła mi rękę na czole. – Leż spokojnie, przyniosę ci herbaty z sokiem i wezwę doktora Gruszewskiego...

Aż skuliłem się ze strachu.

Matka wyszła z pokoju, a ja zostałem sam z moimi myślami. Po południu przyszedł lekarz z ubezpieczalni. Nie był to oczywiście Gruszewski – matka chodziła do niego na darmo, bo nikogo nie zastała w domu.

– Straszny ruch tu na państwa ulicy – powiedział lekarz do matki, gdy usiadł już przy stole, zabierając się do wypisywania recept.

– Chyba jakiś wypadek – pokiwała głową. – Dużo milicji widziałam...

Znowu zacząłem się trząść, co lekarz i matka zinterpretowali po swojemu.

– Zapalenie płuc – stwierdził doktor. – Dreszcze z wysokiej gorączki. Koniecznie trzeba podać piramidon... No i bańki postawić... Przyślę tu pielęgniarkę.

Matka pokiwała głową i odprowadziła lekarza do drzwi, po czym zaczęła ubierać się do wyjścia, by wykupić recepty.

Wróciła błada po pół godzinie i cicho wsunęła się do mojego pokoju.

– Filipku... – powiedziała miękkim głosem, a mnie włosy stanęły dęba, odwróciłem się do niej i patrzyłem szeroko otwartymi oczami.

– Wydarzył się straszny wypadek – ciągnęła matka. – Iwonka Horn... Biedactwo...

– Nie! Nie! Nie chcę tego słuchać – krzyknąłem, waląc pięściami w poduszkę. – Nie chcę tego słuchać!

Do pokoju wpadł ojciec.

– Co się stało? – zapytał, patrząc z wyczekiwaniem to na mnie, to na matkę.

– Iwona Horn nie żyje – szepnęła mu matka. – Zabił ją jakiś włamywacz...

Ojciec wyprostował się i popatrzył na mnie z góry.

– Włamywacz? – powtórzył nieuważnie.

– Tak – poświadczyła matka. – Aptekarz mówił mi, że Hornowie znaleźli ją po powrocie od krewnych. Leżała w przedpokoju, uduszona poduszką... Miała z nimi wyjechać na święta, biedaczka, ale gorzej się poczuła i została...

Zabrakło mi tchu. Opadłem na łóżko i całkowicie obojętnym wzrokiem wpatrywałem się w sufit.

– Podobno milicja ma już jakiegoś podejrzanego – ciągnęła matka, nieświadoma, jakie wrażenie robi tymi słowami. – Arciszewska mówiła mi, że szukają jakiegoś młodego chłopaka w płaszczu w kratkę... Widziano go, jak kręcił się przy domu Hornów...

– A skąd Arciszewska to wie? – obruszył się ojciec.

Matka odgarnęła z czoła niesforny kosmyk włosów, który zawsze wymykał się jej z misternie ułożonej fryzury.

– No przecież ten sierżant z posterunku jest narzeczonym córki Arciszewskiej! On jej powiedział!

Chłopak w kraciastym płaszczu... Czyżby to był Leon? A może ktoś do niego podobny?

Zrobiło mi się słabo, miałem gorączkę, a wyobraźnia pracowała na najwyższych obrotach. Może to Gruszewski zaskoczył Leona? Leon przyszedł po obraz, może Iwona zauważyła go, a on po prostu ją zabił? Leon uciekł, a wtedy do mieszkania przyszedł Gruszewski? Albo było odwrotnie – i to Gruszewski zamordował dziewczynę, która zorientowała się, że w mieszkaniu jest włamywacz... A może zrobili to razem?

Myśli płątały mi się w głowie. Czuję ogromne napięcie, smutek i żal. Zacząłem płakać, choć nie zdarzało mi się to już od dzieciństwa. Uświadomiłem sobie, że już jej więcej nie zobaczę. Nigdy. Próbowałem sobie przypomnieć jej wygląd – włosy, delikatny zarys oczu pod łukiem czarnych brwi, bladą cerę. Ale im intensywniej wysilałem pamięć, tym bardziej obraz Iwony się rozmywał. Pamiętałem jedynie szczegóły, jak błękitna apaszka, wełniany beret, fantazyjnie przekrzywiony na głowie, medalion z aniołem.

– Dajmy mu spokój – usłyszałem, jak matka tłumaczy coś ojcu. – Przecież siostra Iwony, Jola, jest koleżanką Filipa i Elizy, dla obojga to na pewno straszny szok. A on jeszcze jest chory...

– Tak, tak – powtarzał ojciec, jakby jej nie słuchając. – Przypilnuj go, bo ja muszę wyjść...

Nawet nie musiałem domyślać się, dokąd idzie. Było to dla mnie jasne – chciał ukryć mapę za obrazem w muzeum, tak jak zapowiedział. Na pewno uznał, że śmierć Iwony jest kolejnym ostrzeżeniem.

Z przerażeniem uświadomiłem sobie, że ktokolwiek zabił Iwonę, ja jestem za to odpowiedzialny. Przez swoje tchórzostwo bałem się opowiedzieć ojcu o Brygadzie Światła i Mroku. Może gdybym wyznał, kto zabrał obraz, nie nastąpiłoby najgorsze. Może Iwona wtedy by żyła...

Nie byłem w stanie usnąć, choć męczyła mnie wysoka gorączka. W malignie pojawiały mi się jakieś obrazy, strzępki rozmów, na powrót przeżywałem sytuacje z przeszłości.

„Myślę, że byli tam przede mną, bo ktoś zdjął obraz ze ściany” – usłyszałem nagle przytłumiony głos Gruszewskiego, tak wyraźnie, jakby stał obok mnie. Usiadłem na łóżku. Musiałem chyba zasnąć, bo wokół mnie czerniła się noc i cały dom pogrążony był we śnie.

Skoro Gruszewski zastał obraz przeznaczony do wyniesienia, oznaczało to, że Leon był tam przed nim. I to najprawdopodobniej on zabił Iwonę. Może chciał zdjąć Turnera ze ściany, nie dbając o hałas, jaki czynił, przekonany, że Hornowie wyjechali na święta, a Iwona wyszła do przedpokoju sprawdzić, co się dzieje? Może wynikła jakaś kłótnia? Walka? Może Leon nie potrafił obrócić wszystkiego w żart, może Iwona zagroziła wezwaniem milicji? Może chciała o wszystkim opowiedzieć ojcu? I wtedy Leon ją zabił, ze strachu, że pozostanie świadek... Ale obrazu już nie zabrał, bo spłoszył go Gruszewski... Gdy doktor pakował Turnera, Leon pewnie czaił się w drugim pokoju, czekając, aż wyjdzie...

„Matko Boska!” – pomyślałem wstrząśnięty. „To tak musiało wyglądać”.

Wyczerpany opadłem na łóżko. Nie chciało mi się żyć. Gnębiło mnie poczucie winy, które z każdym kolejnym dniem stawało się coraz silniejsze i przygniatało mnie cięższym brzemieniem.

•

CZEŚĆ DRUGA

W JASNOŚĆ

Błogosławiłem los, który zesłał na mnie chorobę. Trwała wystarczająco długo, bym mógł się z tym wszystkim oswoić. W napięciu śledziłem jednak wszelkie doniesienia prasowe na temat toczącego się dochodzenia. Matka musiała codziennie specjalnie wychodzić z domu, by nie tylko kupić mi „Dziennik Polski”, ale i posłuchać nowych plotek.

Początkowo gazeta i plotkarze byli zgodni. Milicja działała tak intensywnie, że złapanie mordercy wydawało się kwestią kilku dni. Później zaczęły mnożyć się trudności. Iwona najprawdopodobniej sama wpuściła sprawcę, otwierając zabezpieczone łańcuchem drzwi. Najwyraźniej próbowała je później zamknąć, ale napastnik, dużo od niej silniejszy, po prostu pchnął je, wyrwijąc łańcuch. Iwona nie została wcale uduszona, jak mówiła na początku pani Arciszewska. Morderca zabił ją nożem, jednym precyzyjnym pchnięciem, a dopiero potem położył jej na twarzy poduszkę.

„Jakby nie chciał, żeby na niego patrzyła” – opowiadała matce Arciszewska, gdy przyszła pożyczyć herbaty, a tak naprawdę podzielić się najnowszymi plotkami.

„Co też pani opowiada!” – oburzyła się mama, a sąsiadka natychmiast przywołała zdanie owego milicjanta, narzeczonego córki, który uważał, że niewątpliwie Iwona doskonale знаła swego zabójcę.

Z mieszkania nic kompletnie nie zginęło, co zdaniem milicji wykluczało wątek rabunkowy. Morderca zrobił tylko jedną dziwną rzecz – zerwał Iwonie z szyi medalion, ten, który tak lubiła, przedstawiający dziewczynę i anioła. Rozerwany łańcuszek znaleziono tuż przy zwłokach.

„Mówią, proszę pani – tu Arciszewska zniżyła głos – że to zemsta”.

„Jaka zemsta?” – nie rozumiała matka.

„Zemsta za to, co Horn wyczyniał kilka lat temu jako prokurator. To leśni się na nim zemścili”.

Matka pokręciła z niedowierzaniem głową, a ja odetchnąłem nieco. Ustały bowiem poszukiwania chłopaka w kraciastym płaszczu, którego tak naprawdę nikt dobrze nie widział i nie potrafił opisać. Chłopak ów zaczął się wydawać jakąś zjawą, projekcją wyobraźni. Mnie jednak nie dawał spokoju. Podejrzywałem Leona jeszcze bardziej – znalezienie naszyjnika to był kolejny dowód. Miał go, kiedy goniłem go nad Rudawą, więc być może pojawił się w domu Hornów, udając, że chce go zwrócić?

Po kolejnych pięciu dniach nastąpił przełom w śledztwie, o którym zaczęły trąbić wszystkie gazety. Morderca Iwony Horn został schwytyany.

Do zabójstwa dziewczyny przyznał się Jacek Maliszko, brat słynnego „Partyzanta”, dowódcy oddziału leśnych z okolic Zakopanego. Urząd Bezpieczeństwa schwytał „Partyzanta” pod koniec lat 40. na skutek zdrady jednego z członków oddziału. Oskarżycielem w tym procesie był właśnie Horn. Po błyskawicznym przewodzie sądowym „Partyzanta” skazano na karę śmierci, a wyrok wykonano. Jego brat miał wówczas czternaście lat.

O ujęciu mordercy dyskutowano we wszystkich sklepach na naszej ulicy od apteki po pamsanteryjny i mydlarnię. Gazety przedstawiały Maliszkę jako całkowicie zdegenerowanego szaleńca, który dla osobistej zemsty zabił „z chirurgiczną precyzją i całkowicie zimną krwią” córkę szanowanego prokuratora. W artykułach nie szczędzono nam makabrycznych szczegółów. Oto Maliszko, który przez kilka dni obserwował dom Hornów, włamał się do mieszkania, by zabić

swego największego wroga. Uczynił to tuż nad ranem w Wielką Sobotę, by zaskoczyć Horna we śnie. Plan spalił jednak na panewce – w domu była jedynie Iwona. Maliszko owładnięty żądzą zemsty zamordował więc ją, wiedząc, że śmierć dziecka będzie dla rodzica największą tragedią. Tak się istotnie stało – gdy po kilku godzinach Hornowie wrócili do domu, zastali swoją starszą córkę w kałuży krwi i omal nie oszaleli z bólu. Gazety podkreślały jednocześnie okrucieństwo sprawcy i krzywdę rodziny ofiary. Maliszko nie był żadnym mścicielem brata, a zdemoralizowanym zabójcą dziecka, „pięknej, niewinnej istoty”, jak pisano o Iwonie.

Nie rozmawiałem z ojcem na ten temat, nie wspominaliśmy doktora Gruszewskiego, który zniknął. Pamiętam tylko, że ojciec systematycznie czytał wszystkie gazety przyniesione przez matkę, by śledzić doniesienia prasowe. Nie pojmowałem, jak Maliszko mógł zabić Iwonę nad ranem, skoro doktor widział ją już martwą w nocy. Coś tutaj bardzo się nie zgadzało, ale nie mogłem z nikim podzielić się swoimi wątpliwościami.

Wróciłem do szkoły. Nie muszę mówić, że przez cały czas męczył mnie udział w tej sprawie Leona Mierzejewskiego. Postanowiłem się z nim rozmówić, nie zważając na niebezpieczeństwo. Leon jednakże zniknął ze szkoły. Gdy zapytałem wychowawczyni, profesor Butler, która uczyła nas historii, gdzie się podział, odpowiedziała mi, że wyjechał do Warszawy. „Jego matka ciężko zachorowała” – wyjaśniła profesorka. „Tam w szpitalu będzie miała lepszą opiekę”. Cała ta historia była zupełnie nieprawdopodobna – zorganizować wyjazd w ciągu kilku dni? To było naprawdę niesłychane! A jednak. Poszedłem do willi Mierzejewskich i udało mi się nawet wejść do ich mieszkania. Po pustych, ponurych pokojach hulał wiatr. Zabrali wszystko, nie pozostał po nich żaden sprzęt, najmniejszy ślad. Pamiętałem o słynnym laboratorium Leona. Tym, w którym zamierzał przeprowadzać (lub nawet robił!) swe doświadczenia tanatopraktyczne. Zszedłem do piwnicy i odnalazłem drzwi pracowni Leona. Pomieszczenie było tak samo puste, jak wszystkie pokoje na górze. Na środku stał metalowy stół, który równie dobrze mógł być stołem sekcyjnym, jak i warsztatem mechanika. Obejrzałem dokładnie podłogę i ściany, ale nie znalazłem żadnych śladów, choć wypatrywałem najdrobniejszych plamek krwi. W rogu pomieszczenia znajdował się emaliowany stary zlew, do którego nieustannie sączyła się woda z zepsutego kranu. Strużka wody żłobiła w szarawej, niegdyś białej emalii brunatne zacieki. Miałem wrażenie, iż wraca mi gorączka, skronie pulsowały straszliwym bólem głowy, który dopadł mnie nagle z taką intensywnością, że aż zatoczyłem się na ścianę. Po chwili, gdy wrócił mi normalny oddech, odkręciłem kran przy zlewie i zanurzywszy ręce w chłodnej wodzie, przemyłem sobie twarz. Poczulem chwilową ulgę, ale po chwili wszystkie czarne myśli dopadły mnie jak rój niespokojnych owadów. Wróciłem do rzeczywistości, w której była przede wszystkim śmierć Iwony Horn, ale i tajemnicze zniknięcie całej rodziny Leona.

Gdy przygnębiony i słaby wracałem do domu, zatrzymał mnie na schodach Jakub Sommer. Wyglądał tak, jakby specjalnie tam czekał. Zaciągnął mnie we wnękę przy oknie i zaczął mówić szybkim, gorączkowym głosem:

– Wiem, kto zabił tę dziewczynę! Tę córkę Horna!

Spojrzałem na niego uważnie, zastanawiając się, czy rzeczywiście może coś wiedzieć.

– Wszyscy wiedzą! – powiedziałem ostrożnie. – Milicja złapała tego Maliszkę, brata „Partyzanta”. To on ją zabił. Zemścił się za brata!

Sommer zaśmiał się krótkim, nerwowym śmiechem. Po chwili zakrztusił się, zaczął kaszleć i położywszy palec na ustach, wyszeptał:

– Nie wierz temu, co mówi milicja... Oni kłamią, zapewniam cię! Ja wiem... Maliszko to kozioł ofiarny, może ma coś na sumieniu, ale na pewno nie tę dziewczynę... Morderca to ktoś zupełnie inny...

– I pan go zna?

Zrobił niejasny ruch ręką, jakby chciał odepchnąć moje natrętnie słowa i podejrzenia. Spojrzał na mnie z bliska, a ja wstrzymałem oddech, wpatrując się w jego bladą, a jednocześnie rozgorączkowaną twarz, w dzikie oczy o zaczerwienionych powiekach. „To wariat – tłumaczyłem sobie – co on może wiedzieć”. A jednak zimny dreszcz przeszedł mi po plecach. Jeżeli to nie Maliszko jest mordercą? Uświadomiłem sobie, że prawda o śmierci Iwony Horn może być o wiele bardziej przerażająca, niż mogłem się spodziewać.

– Pracuję w zakładzie fotograficznym braci Zadurskich – powiedział, a ja skinąłem głową. – Musisz tam przyjść po południu, pokażę ci... – Położył palec na ustach i pokręcił przecząco głową, gdy próbowałem zadać mu jakieś pytanie. Ścisnął mi tylko rękę swoją suchą, kościstą dłonią i zniknął na schodach.

Ledwie dowlokłem się do domu, gdzie od razu musiałem się położyć. Głowa znowu bolała mnie rozpaczliwie, jak prawie codziennie od czasu gdy zachorowałem. Zaniepokojona matka kilkakrotnie wzywała lekarza z ubezpieczalni, ale on to zbagatelizował. „Zwykła migrena” – mówił. „Na to nie ma lekarstwa, musi pani po prostu wykupić silniejsze proszki”. Matka przyniosła jakieś apteczne lekarstwo w białym opłatku, które co prawda przynosiło chwilową ulgę, ale jednocześnie sprawiało, że umysł miałem ociężały i traciłem jasność myślenia. Nie chciałem więc go brać, nie wierząc zresztą, że dolega mi migrena czy cokolwiek innego. Doszedłem do wniosku, że zaczynam po prostu wariować. Myśli mąciły mi się tak często, łudząc mnie dziwnymi omamami, w których Iwona żyła i grała w szkolnym przedstawieniu, że praktycznie przestałem zwracać na to uwagę. Ciągle tkwiłem w szczególnym rodzaju maligny, nie dopuszczając do siebie rzeczywistego świata, który był zły, okrutny i napełniał mnie lękiem.

I tym razem, gdy matka weszła do pokoju ze szklanką wody i tabletką w ręce, odwróciłem się do ściany i udałem, że śpię. Westchnęła ciężko, postąpiła chwilę w progu pokoju, aż w końcu przymknąwszy drzwi, wyszła po cichu do kuchni.

Leżałem tak w milczeniu dobre pół godziny, a przez głowę przebiegały mi różne myśli. Iwona Horn nie żyła, a Leon przepadł. Założmy przez chwilę, że Maliszko nie jest prawdziwym sprawcą – w końcu nie tylko Jakub Sommer uważał, że w tej historii coś nie pasuje. Miałem wszelkie powody, by podejrzewać Mierzejewskiego. W końcu ktoś widział na schodach chłopaka

w kraciastym płaszczu. Czy Adam także był zamieszany w całą tę historię? Czy coś wiedział? Od dwóch dni bezskutecznie próbowałem z nim porozmawiać, ale wyraźnie mnie unikał. W szkole nigdy nie mogłem złapać go na przerwie, bo natychmiast po dzwonku znikał, po lekcjach także było to niemożliwe. Kilka razy poszedłem nawet do jego domu, ale matka najwyraźniej nie chciała mnie wpuścić, bo tylko rozkładała bezradnie ręce, gdy pytałem o kolegę. Tak czy inaczej musiałem z nim pomówić. Jednocześnie bałem się odpowiedzi, które zaczęły wyłaniać się z mroku.

Moje myśli wróciły do dziwnego zachowania Jakuba Sommera, który kazał mi przyjść do zakładu fotograficznego. Zegar u Zmartwychwstańców zaczął wybijać czwartą, kiedy wstałem z łóżka i cicho wymknąłem się z domu.

Atelier braci Zadurskich, w którym pracował Jakub Sommer, mieściło się na końcu ulicy Karmelickiej, tuż przy Placu Wolności. Założono je kilka miesięcy wcześniej w oficynie starej czynszowej kamienicy, która – podobnie jak nasza – pamiętała lepsze czasy i zapewne lepszych lokatorów. Teraz była po prostu komunalnym mrowiskiem, zbieraniną najróżniejszych typów ludzkich. Podwórko oficyny nie zachwycało, choć ścianę domu znacznie upiększało dzięki wino, które bujnie rozkrzewiło się na tynku. Niestety, przedwiosenna pora roku sprawiała, że i ta ozdoba nie robiła zbyt imponującego wrażenia – bezlistne łodygi, poskręcane i brązowe, zwisały wszędzie jak suche liany.

Jakub Sommer pracował jako pomocnik fotografa. Zajmował się wywoływaniem i suszeniem zdjęć, prowadził ewidencję klientów, czyli jak to się mówiło przed wojną, „pilnował interesu”. Nie wiem, szczerze mówiąc, jaką satysfakcję znajdował w tym zajęciu były muzyk, ale nie pytałem go o to. Po pierwsze przez delikatność, a po drugie dlatego, że nie obchodziło mnie to za bardzo. W moich oczach Jakub Sommer był po prostu starym zniszczonym człowiekiem, w dodatku nieco szalonym.

Gdy nacisnąłem klamkę, od razu zadzwonił dzwonek umieszczony na długim elastycznym drucie nad futryną. Sommer wychylił głowę ze swego kantorka i zaczął mi dawać znaki, że bym wchodził, ale się nie odzywał.

W atelier znajdowało się dwoje ludzi. Fotograf był mężczyzną po czterdziestce, o pobrużdżonej twarzy i niezdrowym kolorze cery. Gdybym miał wówczas większe doświadczenie życiowe lub bardziej interesował się dziewiętnastowieczną sztuką, powiedziałbym od razu, że jest to twarz syfilityczna. Rzeczywiście nosiła wszystkie cechy tabes – przedwcześnie postarzała skóra miała lekko zielonkawy odcień, a poprzecinane zmarszczkami czoło i opadająca powieka lewego oka nadawały twarzy smutny wyraz. Mężczyzna poruszał się charakterystycznym kaczko-watym chodem, dziwnie pochylając głowę. Jego klientką była podstarzała pani, dama, jak się to mówiło, „w pretensjach”. Świadczyły o nich nie tylko jej strój i fryzura, ale dość wyrazisty makijaż, który łatwo byłoby określić jako wyzywający, ale dla mnie, szesnastoletniego chłopaka, mało było wyzywających rzeczy. Dama, ubrana w krótki żakiet zapinany na duży, perłowy i błyszczący guzik oraz długą wąską spódnicę przechylała się wdzięcznie to w jedną, to w drugą stronę, zalotnie kręcąc torebką i pozując do aparatu. Syfilityczny fotografik uwijał się przy niej jak fryga, zerkając w obiektyw i korygując ustawienia owej damulki, która co chwilę wybuchała perlistym śmiechem gimnazjalistki i poprawiała urękawiczoną dłonią burzę loczków otaczających twarz. Mojej uwadze nie umknęło, że mężczyzna raz po raz niby to przypadkiem dotykał swej klientki, a to ściskając jej rękę, a to wygładzając jakąś wyimaginowaną fałdkę na ramieniu.

Ani fotograf – w którym domyśliłem się jednego z właścicieli, braci Zadurskich, ani tym bardziej jego modelka nie zwrócili na mnie najmniejszej uwagi. Przemknąłem więc cicho do kantorka Sommera, który oglądając się wystraszonego wzrokiem na swego pryncypała, popchnął mnie lekko w kierunku krzesła ustawionego w najdalszym rogu pomieszczenia, tuż pod wycho-

dzącym na podwórko zakratowanym okienkiem.

– To Albin Zadurski – wyjaśnił mi Sommer, wskazując ręką na kotarę, za którą fotografik udzielał wskazówek damie szczebioczącej coś słowiczym głosem. – Artysta! – dodał jeszcze z przekąsem, sięgając po metalowy czajnik, który bulgotał na prymusie stojącym na podłodze.

Uśmiechnąłem się, a Sommer znacząco położył palec na ustach.

– Cicho! Jest co prawda tak zajęty panią Dolabenową, że nie zauważy nawet, jakby wybuchła tu bomba, ale lepiej uważać...

– Na co? – nie rozumiałem, bo cała ta konspiracja wydawała mi się bardzo dziwna.

Poruszył chudymi jak u świerszcza ramionami i nerwowo potarł czoło.

– Na wszystko. Już ci wtedy mówiłem... Byłeś na dachu, wiem o tym, bo cię słyszałem. Masz charakterystyczny chód, jak wszyscy zresztą...

– Charakterystyczny chód? – zdziwiłem się, a on poświadczył ze zniecierpliwieniem.

– Mam dobry słuch. Kroki są dla mnie jak muzyka, rodzaj partytury. Każdy chodzi inaczej, to jest charakterystyczna cecha, jak odciski palców. Ty chodzisz ostrożnie, ślizgając się po powierzchni, jakbyś bał się odważnie poruszyć stopami... – zaśmiał się chrapliwie i nalał wody do dwóch przygotowanych wcześniej szklanek, a ja zmarszczyłem brwi. Chodzę ostrożnie? Ślizgam się? Zdenerwowały mnie te brednie.

– Tak, tak – to pasjonujące obserwacje, możesz mi wierzyć. Ty się ślizgasz, twój ojciec robi równe drobne kroczyki, wybijając zdecydowanie rytm lewą nogą, twoja matka chodzi z kolei tak, jakby miała ischias – nie opiera się w ogóle na pięcie, tylko zawsze porusza się na palcach. Twoja siostra... – westchnął, mieszając energicznie łyżką w szklance. – Sam wiesz, co dolega twojej siostrze...

– A ten tam? – wskazałem w stronę kotary, gdzie pryncypał Jakuba Sommera ustawił już wreszcie swoją klientkę przed obiektywem i zaczął robić zdjęcia, bo ustał zarówno perlisty śmiech kobiety, jak i sznapsbaryton fotografa.

Sommer wzruszył ramionami.

– Kaczy, chwiejny chód, charakterystyczny dla późnego stadium trypra. Zresztą nieważne... – machnął pogardliwie ręką, a ja pomyślałem, że chyba popełniłem błąd, oceniając pochopnie mego rozmówcę. Do tej pory miałem Sommera wyłącznie za wariata i paranoika, teraz obudzili we mnie niepokój. Może rzeczywiście coś wiedział? Nie tracąc czasu, zapytałem go o to.

– Mówił pan o Iwonie Horn – zacząłem, a on od razu zmienił się na twarzy, która przyjęła drapieżny wyraz czujności. Rozejrzał się po swojej klitce, chwilę nasłuchiwał odgłosów z atelier, po czym zbliżył się do mnie i zaczął szeptać.

– Chyba wiem, kto zabił twoją koleżankę – powiedział, a ja odskoczyłem gwałtownie. Sommer uspokajająco pokiwał dłonią i sięgnął do dużego pudła, stojącego pod stołem i wypełnionego po brzegi rozmaitym barachłem. W pierwszej chwili myślałem nawet, że był to rodzaj prowizorycznego pojemnika na śmiecie, bo z pudła wystawały jakieś połamane sprężyny, kawałki drewna i ogromna ilość papieru, ale gdy Sommer zanurzył rękę w jego wnętrzu, zrozumiałem, że jest to skrytka. Poszperał chwilę i wy dobył teczkę w zatłuszczonej oprawie z materiału. Kiedyś była zapewne brązowa, ale teraz przybrała kolor brunatnoszary, miejscami wpadający nawet w czerń. Chwilę mocował się, by rozsupłać tasiemki, które zamykały teczkę, a potem pokazał mi jej zawartość.

Aż krzyknąłem z wrażenia. Jakub położył mi dłoń na ustach, ale było już za późno. Do kantorka wpadł Albin Zadurski, na którego twarzy malowała się wściekłość. Najwyraźniej pani Dolabenowa pozwoliła sobie włożyć rękę pod spódnicę, a ja przerwałem to radosne tête-à-tête.

– Co tu się dzieje? – zapytał piskliwym głosem, który od razu skojarzył mi się z paniem małego kogucika. – Panie Sommer, kim jest ten chłopak?

Jakub Sommer zręcznym ruchem prestidigitatora wrzucił brunatną teczkę do pudła ze szpejami i kopnął je głęboko pod stół.

– Panie Zadurski, to jeden z tej szkoły poligraficznej na Podwalu. Bardzo się chce nauczyć fotografii, więc pozwoliłem mu przyjść, zapytać... – Nie rozumiałem wtedy, dlaczego tak kłamał, ale później byłem mu ogromnie wdzięczny, że nie stracił zimnej krwi.

Albin Zadurski spojrzał na mnie z niechęcią.

– Uczeń na praktykę... Nie przyjmujemy, nie potrzeba! – powiedział, wymachując chudymi ramionami. – Niech pan tu nikogo nie sprowadza, panie Sommer, już panu mówiłem! Inaczej zwolnię, wyrzucę na pysk!

Popatrzyłem na Jakuba Sommera, który bez słowa znosił te ordynarne odzywki swego pryncypała, schował głowę w ramionach i cały jakby zapadł się w sobie. Poczułem nagłą złość i pewnie bym odszczeknął coś Zadurskiemu, ale kotara ponownie się uniosła i do kantorka zaszła pani Dolabenowa. Zdążyła już doprowadzić do porządku swoją kreację i tylko mocno wygnieciona przy gorsiej bluzce świadczyła o tym, że sesja fotograficzna była czymś więcej niż tylko spotkaniem na planie artystycznym.

– Panie Albinie, ja czekam! – powiedziała zalotnie, a Zadurski odwrócił się ku niej z cukierkowym uśmiechem.

– Już idę, idę, pani Todziu!

– No to szybko – rzuciła „pani Todzia”, patrząc na mnie i Jakuba Sommera z góry. Najwyraźniej nasza obecność nie przypadła jej do gustu, bo skrzywiła się wymownie i wycofała do studia. Zza kotary pisnęła jeszcze kapryśnie: – Nie mam całego dnia!

– Wynocha! – syknął do mnie Zadurski i chwyciwszy za ramię, wyprowadził z kantorka. W korytarzu otworzył drzwi swego atelier i po prostu wyrzucił mnie na podwórko, dodając tym swoim kogucim głosem: – Żebyś cię tu więcej nie widział, łachudro!

– Sam jesteś łachudrą, zbrojeńcu! – krzyknąłem i jak najszybciej wzięłem nogi za pas, przekonany, że będzie mnie gonił. Na szczęście miał lepsze rzeczy do roboty niż ściganie po ulicach złośliwego licealisty. Ochłonałem przy najbliższej przecznicy, gdy przekonałem się, że za mną nie biegnie. Zatrzymałem się, próbując uspokoić oddech. Żał mi się zrobiło biednego Sommera, którego ten człowiek poniżał i traktował gorzej niż psa. Były muzyk najwyraźniej znosił to wszystko z jakiegoś powodu, zręcznie udając wariata. Poczułem pewnego rodzaju podziw dla niego, choć nadal budził we mnie obawę. Kim właściwie był ten człowiek?

Wzdrygnąłem się na wspomnienie zawartości teczek. Choć spojrzałem pobieżnie i widziałem ją tylko przez chwilę, trudno było mieć jakiegokolwiek wątpliwości względem fotografa Zadurskiego. Teczka pełna była pornograficznych zdjęć młodych kobiet. Wszystkie w wyzywających pozach, leżące na kanapie z obscenicznie rozłożonymi nogami, czasem tylko mające wykadrowane podbrzusza, co kojarzyło mi się raczej z fotografiami z podręcznika ginekologii, który kiedyś ukradkiem przejrzałem u doktora Gruszewskiego, niż z dziełami artystycznymi. Dziwna rzecz. Choć byłem wówczas młodym chłopcem, a hormony we mnie aż się gotowały, te fotografie wcale mnie nie podniecały, wręcz przeciwnie, wywoływały coś w rodzaju strachu. Dziewczyny miały niesamowite twarze o dziwnie stężonych rysach i męczeńskim wyrazie. Wyglądały bardziej na ofiary sadysty niż modelki pozujące do aktów. Wśród zdjęć była również fotografia Iwony. Musiała zostać zrobiona podczas tamtej pamiętnej sesji w stroju odaliski, która skończyła się zawieszeniem jej w prawach uczennicy. Gdyby nie tamte zdjęcia, pewnie bym jej nie rozpoznał – miała twarz zasłoniętą kwefem i widać było tylko jej niesamowite oczy, w których czaiło się ja-

kieś szaleństwo. Samo zdjęcie było równie obrzydliwe jak fotografie pozostałych dziewcząt. Ordynarne, bo obnażało jej największe sekrety, zabierając wszystko i nie dając nic w zamian.

Poczułem, że znowu pulsuje mi w skroniach. Musiałem przytrzymać się ręką ściany, bo omal się nie przewróciłem. Jakaś przechodząca obok damulka odskoczyła z piskiem – najwyraźniej pomyślała, że jestem pijany. To mnie otrzeźwiło. Nie mogłem sobie pozwolić, by ktoś zobaczył mnie w stanie takiego wzburzenia. Bałem się wrócić do domu, więc poszedłem do szkoły. Miałem nawet dosyć dobry pretekst – dyrektor obiecał dzisiaj ogłosić, co dalej z przedstawieniem, które jak widać, nie miało szczęścia od początku, przerwane najpierw szkolną awanturą, a potem śmiercią Iwony Horn.

Kiedy wszedłem do auli, dyskusja już trwała. Dyrektor najwyraźniej chciał zrezygnować z przedstawienia, z czym nie zgadzała się część mniej wrażliwych społecznie aktorów. Szczególną zajadłość wykazywała Irena Nowakowska. Dowodziła, że sztuka jest już właściwie opracowana i wyćwiczona, więc rezygnacja z przedstawienia byłaby wielką szkodą. Dodatkowo, przewracając obłudnie oczami, stwierdziła, że mógłby to być rodzaj „hołdu dla Iwonki”. Zrobiło mi się słabo. Na szczęście w ogólnym podnieceniu i rozdrażnieniu nikt nie zwracał na mnie uwagi, co pozwoliło mi się uspokoić i zebrać myśli. Dyskusja skupiła się teraz na tym, kto zastąpi Iwonę, przy czym Irena była zdania, że powinna wrócić do roli Salomei Bécu. Obejrzała się nawet na mnie, bo to mojemu podpowiadaniu w kluczowych scenach zawdzięczała powodzenie swego występu. Skinałem głową, że jej pomogę, więc ze zdwojoną siłą zaczęła przekonywać dyrektora. Nasz stary oczywiście zmiękł. Przede wszystkim żał mu było własnego tekstu, który w innym wypadku by się zmarnował. Po drugie, rozpierała go duma, że młodzież wykazała się dojrzałością „w obliczu próby”. Postanowiono więc oddać Irenie rolę Salomei, a dawnej partii Iwony, czyli anioła Eloë, w ogóle nie obsadzać – dyrektor zobowiązał się przerobić tę scenę tak, żeby Anhelli mówił sam do siebie, co dałoby bardziej wstrząsający efekt.

Ja tymczasem dostrzegłem Adama Milicza – stał w rogu sceny, przy kurtynie, i patrząc na mnie, nie odzywał się. Próbowałem dawać mu jakieś znaki, precyzyjnie się w jego kierunku przez rozgorączkowany tłum, otaczający dyrektora, ale zniknął. Wiedziałem, dokąd poszedł. Za sceną znajdowała się niewielka, ciasna garderoba, w której przygotowaliśmy się do występu. Jej drzwi prowadziły na boczny korytarz i schody, którymi można było zejść na parter do biblioteki i rekwizytorni. Tam też, tuż za rekwizytornią i magazynem kostiumów było małe, prawie całkowicie zapomniane wyjście na podwórko od strony klasztoru. Kapucynów. Byłem pewny, że Adam poszedł właśnie tamtędy, by dyskretnie opuścić szkołę. Postanowiłem mu to udaremnić. Nie trać czasu na pościg – zanim udałoby mi się precyzyjnie do sceny, on już dawno byłby na dole albo nawet poza budynkiem. Rzuciłem się więc do głównych drzwi auli, licząc na to, że schodami znajdę się na parterze na tyle szybko, by odciąć mu drogę. Nie wierzyłem przy tym, że boczne, nieużywane drzwi będą akurat otwarte. Niestety. Udało mi się zbiec tylko na pierwsze piętro, gdy zatrzymał mnie nauczyciel fizyki, ze względu na niemiecko brzmiące nazwisko zwany Hermanem, na którego wpadłem z całym impetem, omal go nie przewracając.

– A cóż ty robisz, ty dziiiiiki konju! – zaciągnął nauczyciel, który mimo germańskiego *nomen* pochodził ze wschodnich kresów i tak naprawdę był wojennym uciekinierem ze Lwowa.

– Przepraszam najuprzejmiej pana profesora – zgiałem się w przepisowym ukłonie. – Bardzo się spieszę, panie profesorze, dyrektor kazał mi dogonić Adama Milicza, który właśnie wychodzi ze szkoły...

– Milicza? – zastanowił się Herman i podrapał po głowie. – Dziwną historię ty mi opowiadasz, chłopcze. Stoję tu od dziesięciu minut i nikogo nie widziałem...

Nie liczyłem zbyt wiele na powodzenie swego kłamstwa, ale na poczekaniu nie byłem w stanie wymyślić nic innego. Wyrząłem przez poręcz schodów. Adama na dole nie było.

– Może minął pana profesora, a pan profesor nie zauważył? – podrzuciłem chytrze, a Herman niespodziewanie się ze mną zgodził.

– Może tak być... Byłem bardzo zajęty tym, co tutaj zobaczyłem. Tą grozą i ohydą. Ima-

ginuj sobie, kawalerze – znowu ktoś dorysował Pegazowi pracę!

Spojrzałem na ścianę i wybuchnąłem śmiechem. Była to prawda. Kolorowa podobizna Pegaza zrywającego się do lotu od pewnego czasu ozdabiała podest pierwszego piętra. Dyrektor kazał go namalować nauczycielowi plastyki, bo schody prowadziły do auli, gdzie mieścił się teatr. Dyrektor uważał więc, że Pegaz, symbol sztuki i natchnienia, powinien znaleźć się właśnie tu. Skrzydlaty koń w swoim oryginalnym kształcie nie wytrzymał zbyt długo. Już po trzech dniach ktoś dowcipny domalował mu okazały atrybut męskości. Zawiadomiony przez woźnego stary wpadł w szal. Groził, że wszystkich zawiesi w prawach ucznia, jeśli sprawca się nie przyzna bądź nie zostanie wykryty. Oczywiście nikt się nie zgłosił, nie złożono też żadnego donosu, co świadczyło o tym, że malarz amator dobrze się ukrywał lub miał wiernych przyjaciół. Wezwany do pomocy woźny starł pracowicie ścierką niechciany dodatek, pozostawiając przy okazji na ścianie brudną i wielce wymowną plamę. Nauczyciel rysunków rwał włosy z głowy na tę profanację swego dzieła. Sprawa przycichła, ale już po tygodniu Pegaz ponownie został wyposażony w jeszcze bardziej imponujący organ. Zabawy w malowanie i ścieranie trwały przez cały poprzedni rok, prawie do wakacji. W końcu ściana, a co za tym idzie i sam Pegaz, przybrały opłakany wygląd. Gdzieś pod koniec maja te szaleństwa ustały i doszedłem do wniosku, że nasz malarz aktów męskich po prostu zdał maturę. Ale najwyraźniej nie miałem racji, bo na szaro-czarnej plamie, która rozciągała się już pod prawie całym brzuchem Pegaza, znowu widniał wiadomy rysunek.

Nauczyciel fizyki przyglądał mu się nieodgadnionym wzrokiem. Potem spojrzał na mnie i zapytał:

– Dyrektor jest w auli?

– Tak, panie profesorze! – poświadczyłem gorliwie, licząc na to, że pójdzie na górę, a ja będę się mógł ulotnić. Nic z tego, Herman postanowił zabrać mnie ze sobą. Gdy weszliśmy na salę, wciąż trwała tam dyskusja o przedstawieniu. Nauczyciel fizyki nawet nie zamierzał przeciskać się w kierunku dyrektora, tylko zawołał od drzwi swym tubalnym głosem:

– Panie dyrektorze! Znowu miała miejsce profanacja Pegaza! Ktoś ponownie dorysował mu *membrum virile!* – Herman użył tej łacińskiej nazwy zapewne po to, by nie gorszyć uszu zgromadzonych pań. Dyrektor spojrzał ponad głowami otaczającej go młodzieży i błyskawicznie zmienił się na twarzy. Poczzerwieniał z wściekłości i obawiałem się, że może dostać wylewu, który w bardziej eleganckich czasach nazywano apopleksją.

– To jest ordynarne barbarzyństwo! – wykrzyknął i wybiegł z auli, a za nim popędził Herman i grono akolitów dyrektora. Pegaz stanowił oczko w głowie starego i pohańbienie tego malowidła było dlań osobistą zniewagą.

Zrezygnowałem ze ścigania Adama Milicza, wiedząc, że teraz już go nie odnajdę. Z westchnieniem zacząłem zbierać swoje rzeczy, kiedy za moimi plecami stanęła Irena.

– Więc pomożesz mi podczas przedstawienia? – spytała, a ja skinąłem głową, bo co właściwie miałem powiedzieć?

– Dziękuję ci – odrzekła ona tonem udzielnej księżnej, co mnie rozśmieszyło. Irena patrzyła na mnie jednak z powagą.

– Ty to jesteś jednak porządny chłopak – powiedziała, a ja tego nie skomentowałem. – Nie rozumiem zupełnie, co ci się podobało w tej głupiej Iwonie...

– Iwona nie była głupia – syknąłem i pochyliłem się nad swoją torbą, udając, że coś w niej porządkuję, by nie zobaczyła mojej twarzy.

Irena skrzywiła się wymownie.

– Moim zdaniem, jeżeli chcesz wiedzieć, to była bardzo zła dziewczyna...

– Nie chcę – powiedziałem, bo wezbrała we mnie gwałtowna niechęć do Ireny.

– I tak ci powiem. Ona nie była uczciwa ani wobec ciebie, ani wobec Adama... Myśmy ją widziały, jak spotykała się z różnymi mężczyznami, starszymi... Mówię ci, to była zwykła puszczańska... Naprawdę!

Irena mówiła to pełnym przejęcia głosem, w sposób tak zaangażowany, że nagle dotarła do mnie groteskowość sytuacji. Ona chciała mnie w ten sposób pocieszyć! Dowodząc, że moja miłość była dziwką, chciała mi osłodzić gorycz utraty. Popatrzyłem na nią w zdumieniu, ale odebrała to po swojemu. Nachyliła się do mnie i powiedziała konfidencjonalnym szeptem:

– Ja myślę, że to któryś z tych facetów ją zabił...

– Jakich facetów? Wiesz coś o nich? – dopytywałem się gorączkowo, ale ona chyba się przestraszyła.

– Nieee, nic nie wiem... Jeden taki przychodził po nią pod szkołę. Strasznie stary był, miał chyba ze czterdzieści lat, bo nogą powłóczył... Ceśka ją widziała z jeszcze zupełnie innym w kawiarni... Mówiła, że ten był młody, przystojny...

Popatrzyłem na Irenę uważnie. Chyba nie kłamała. Poprawiła włosy i zaczęła wkładać brązowy szkolny płaszcz.

– Opowiadałam o tym ojcu, ale mnie wyśmiał – powiedziała jeszcze, przerzucając sobie torbę przez ramię. – Oni uważają chyba, że to jakaś szpiegowska robota...

– Oni? – nie rozumiałem i patrzyłem na nią z wyczekiwaniem.

– Tak, oni. Tam na Placu – rzuciła mi od drzwi i zniknęła.

Uderzyłem się dłonią w czoło. Przy zamykającej Plac Wolności ulicy 18 Stycznia mieściła się siedziba Służby Bezpieczeństwa, w której ojciec Ireny był majorem. Plotki głosiły, że na wewnętrznym podwórku pomiędzy budynkami pochowano „Ognia”, zabitego na Podhalu pod koniec lutego 1947, ale być może nie była to prawda. W każdym razie to miejsce budziło grozę. Wcześniej Urząd Bezpieczeństwa znajdował się niewiele dalej, przy ulicy Pomorskiej, gdyż przejął dawną katownię gestapo, prowadząc w tym budynku bardzo podobną działalność. Ale teraz ponoć czasy były już inne, o czym świadczyła choćby przeprowadzka całej krakowskiej bezpieki na ulicę 18 Stycznia 4. Tam właśnie urzędował major Nowakowski. Widywałem go czasami, gdy szedł Karmelicką do pracy, zawsze sprężystym krokiem zawodowego wojskowego, z przerażającym, zaciętym obliczem gestapowca. Innym razem widziałem go, jak wysiadał ze służbowego auta – był to czarny citroen – i mrozącym krew w żyłach głosem rugał kierowcę. Nie wiedziałem, czym się naprawdę zajmował, ponoć prowadził jakąś kancelarię. Na mnie jednak robił odpychające wrażenie – fanatycznego politruka o spojrzeniu sadysty.

Słowa Ireny mnie przeraziły. Teoretycznie dochodzenie prowadziła milicja i zostało zamknięte. Jacek Maliszko przyznał się i teraz siedział w więzieniu, czekając na proces. Służba Bezpieczeństwa już nie powinna się raczej interesować tą sprawą. Ofiara była co prawda córką prokuratora, a morderstwa dokonano na tle politycznym – jak ciągle rozpisywały się gazety – ale wydawało się, że w sprawie tej nie ma już niewiadomych. Co powiedziała Irena? „Szpiegowska robota”? Maliszko nie był szpiegiem, a w każdym razie taki wątek nie pojawiał się w artykułach prasowych. Co się w takim razie działo? Czyżby śledztwo, tym razem prowadzone przez urząd, toczyło się nadal, w jakimś innym kierunku? Czyżby aresztowanie Maliszki było tylko zasłoną dymną? W każdym razie wiadomość o zainteresowaniu Placu tym morderstwem mnie poruszyła; musiałem tym bardziej mieć się na baczności.

Miałem mętlik w głowie. Bezpieka, tajemniczy chłopak widziany przed domem, faceci, z którymi podobno spotykała się Iwona... Wreszcie ten obleśny fotograf i obsceniczne zdjęcia... Tak naprawdę nic nie wiedziałem o tej dziewczynie. Jakub Sommer powiedział, że zna jej mor-

dercę... Czyżby miał na myśli swego pryncypała?

Zastanowiłem się nad tym przez chwilę. Powiedzmy, że Albin Zadurski specjalizował się w rozbieranych zdjęciach młodych kobiet. Być może kolekcjonował je lub sprzedawał dalej, innym, podobnym do siebie amatorom zielonych jabłek, jak się to oględnie nazywało. W jaki sposób skłaniał te dziewczęta, by mu pozowały, czym je kusił? Byłem pewien, że nie działał tu na pewno urok osobisty fotografa, który mógł być atrakcyjny wyłącznie dla kogoś takiego jak pani Dolabenowa. Przekupywał je? Szantażował? I jeśli tak, to czym? I wreszcie czy ktoś taki – erotoman i podglądacz – byłby w stanie kogoś zabić?

Nie znałem odpowiedzi na większość tych pytań. Ale czy Jakub Sommer będzie mi ich chciał udzielić? Bo że je znał, byłem pewien.

Wracając do domu, nie wszedłem do naszego mieszkania, a skręciłem na prawo, tam gdzie lokal zajmowali Arciszewscy. Pani Kalina, zwalista kobieta, odziana zawsze w dopasowane i świetne gatunkowo suknie, otworzyła mi drzwi, wycierając potężne ręce w kuchenną ściereczkę. Najwyraźniej zjawilem się w porze kolacji, czyli niezbyt szczęśliwej.

– Czy zastałem pana Sommera? – zapytałem, kłaniając się sztywno i po uczniowsku, a sąsiadka przecząco pokręciła głową.

– Nie wrócił jeszcze – powiedziała, oglądając się w kierunku małego pokoiku, który zajmował były muzyk. – On rzadko wraca do domu przed jedenastą.

– A czegoś ty, chłopcze, chcesz od tego Żydka? – usłyszałem nieznamy głos z salonu, a po chwili ujrzałem w korytarzu jego właściciela. Był to ów sierżant milicji, narzeczony córki Arciszewskiej. O ile mogłem sobie przypomnieć, nazywał się Artur Kulesza i pochodził z jakiejś małej podkrakowskiej wioski. Sądząc po wyglądzie, była to prawda. Miał pyzate oblicze i jasne słomiane włosy parobka, a gdy się rozgniewał lub zanadto wzruszył, na twarzy występowały mu czerwone plamy, zdradzające przysze problemy z ciśnieniem. Teraz ów chłop, awansowany dzięki naszemu wspianemu ustrojowi na funkcjonariusza, przyglądał mi się z wyczekiwaniem i surowo, wetknawszy kciuki za swój służbowy pas.

– Chodzi mi o nuty – powiedziałem, specjalnie zwracając się do Arciszewskiej i ignorując obecność milicjanta. – Pan Sommer obiecał pożyczyć... Do szkolnego przedstawienia...

– Może do tego, co ta Horn miała występować? – zainteresował się milicjant. Nie mogłem go już dłużej nie zauważać.

– Tak, proszę pana – powiedziałem więc, ale w moim głosie nie było pokory, na którą wyraźnie liczył, posyłając mi groźne spojrzenia.

– Tak jest, panie sierżancie – huknął gromko. – Szarży nie rozpoznajesz, smarkaczu?

– Rozpoznaję... Panie sierżancie – powiedziałem pojednawczo, choć wszystko się we mnie gotowało. Zatarg z milicjantem to była jednak ostatnia rzecz, jakiej potrzebowałem.

– Ty też grasz w tej sztuce? – zapytał parobek z zadowoleniem w głosie, widząc uznawszy, że wystarczająco zaakcentował swoją rangę.

– Tak jest, panie sierżancie – powiedziałem posłusznie, cofając się do drzwi. Chciałem jak najszybciej opuścić ten dom.

– Znałeś dobrze tę dziewczynę? – zapytał jeszcze, a ja nie miałem najmniejszej ochoty odpowiadać na to pytanie. Położyłem już dłoń na klamce, ale on szarpnął mnie za ramię.

– No, do ciebie mówię, smarku, czemu nie odpowiadasz?

– Nie znałem jej za dobrze, panie sierżancie... Tylko tyle, co na próbach... Ja jestem suflerem w tej sztuce...

– Kim? – nie rozumiał. Najwyraźniej w szkole milicyjnej nie przykładano zbyt dużej wagi do literackiego wykształcenia słuchaczy.

– Siedzę w takiej budce na scenie i podpowiadam, jak ktoś zapomni tekstu – wyjaśniłem mu przystępnie, a on skinął głową na znak, że rozumie.

– No, patrzcie państwo – powiedział, śmiejąc się rubasznie do Arciszewskiej. – A ja zawsze myślałem, że oni w tych teatrach to wszystko z głowy mówią... A to jedno wielkie oszustwo! – tu z wielkiej radości zaczął uderzać się otwartą dłonią po udzie i śmiać prostacko. Popatrzyłem spod oka na panią Kalinę, która skurczyła się ze wstydu.

– Mogę już iść? – spytałem, a sierżant skinął głową, dalej śmiejąc się na cały głos.

– Idź, idź. I nie martw się. A ten Maliszko to czapę na zicher dostanie... I Rada Państwa na pewno go nie ulaskawi...

– Skąd pan wie? – zainteresowałem się, ale on położył palec na ustach.

– Jaka cwana glapa i ciekawa! To jest przecież służbowa tajemnica, chłopcze! I nie zawracaj sobie głowy tą dziewczyną! Lekka była w prowadzeniu... Oj, niejeden się tam koło panny prokuratorówny kręcił, niejeden... I powiem ci, mały, że i w tej sprawie rola dla suflera by się znalazła... – zaśmiał się jeszcze głośniejszym głosem i wykrzywił tak, że jego puczułowata twarz nabrała idiotycznego wyrazu.

Przestraszony trzasnąłem obcasami na pożegnanie i wypadłem na korytarz. Prawie bez tchu dotarłem do naszego mieszkania i zaszyłem się w swoim pokoju.

Nic nie rozumiałem. Nie wiedziałem, od czego powinienem zacząć. Wszystkie te historie zawirowały mi głowie jak japoński wachlarz, lecz nie ułożyły się w żaden zrozumiały obraz. Miałem przy tym wrażenie, że umknęło mi dzisiaj coś bardzo ważnego, lecz co to było – nie potrafiłem sobie przypomnieć.

Znalazłem się w dosyć trudnej sytuacji, nie mogąc skontaktować się z Jakubem Sommerem – nie chciałem chodzić do Arciszewskich, by nie narazić się na spotkanie z sierżantem o twarzy parobka, a na wizytę w zakładzie fotograficznym braci Zadurskich po prostu nie miałem odwagi.

Okazało się, że sprawy znacznie się skomplikowały, gdyż na trzeci dzień matka oznajmiła mi przy śniadaniu, że Sommer zaginął.

– Arciszewska mówiła, że od kilku dni nie pojawił się w domu, nie chodzi też do pracy. Weszli nawet do jego pokoju, ale nic nie znaleźli.

– Może wyjechał? – zasugerowałem ze ściśniętym gardłem, przypominając sobie rozmowę z milicjantem. A jeśli zaczną podejrzewać, że miałem coś wspólnego z zaginięciem Sommera? W końcu tego samego dnia byłem w atelier i Zadurski na pewno mnie zapamiętał... Zrobiło mi się słabo.

– On podobno nigdy nie wyjeżdża, bo nie ma żadnej rodziny – powiedziała matka, zbierając talerze. – Arciszewska mówi, że chcą zgłosić zaginięcie na milicję, ale ten sierżant, narzeczonny córki, im odradza, mówi, że Sommer na pewno sam się znajdzie...

Trochę mi ulżyło. Najwyraźniej milicja nie przywiązywała do tego zniknięcia zbyt dużej wagi. Zresztą, czy to rzeczywiście było tak ważne? Sommer powiedział co prawda, że wie, kto zabił Iwonę Horn, ale przecież nie podał żadnych szczegółów, nie próbował nawet się ze mną spotkać. Może tak naprawdę nic nie wiedział?

Poszedłem do szkoły. Dręczyły mnie bardzo te niewyjaśnione sprawy, niedopowiedzenia. Bałem się.

Lekcje wlokły się swoim rytmem, ospale i bez niespodzianek. Gdy matematyk skończył odpytywanie i podyktował temat nowego wykładu, wypisując równocześnie na tablicy jakieś skomplikowane równanie, spojrzałem w kierunku Adama Milicza, który siedział dwa rzędy za mną pod oknem.

Adam patrzył na mnie i gdy napotkał mój wzrok, pokręcił głową. Wzruszyłem ramionami. Od tygodni nie chciał ze mną rozmawiać, unikał mnie, a teraz nagle... O co mu właściwie chodziło? Spojrzałem pytająco, a Adam pokazał mi trzy palce. Zrozumiałem, numerem 3 oznaczona była teatralna rekwizytoria, w której czasami spotykaliśmy się z Leonem. Poszedłem tam po dzwonku. Adam siedział na jakimś zdezelowanym stole i palił papierosa.

– Czymże sobie zasłużyłem na ten zaszczyt? – powiedziałem kpiąco, robiąc aluzję do jego zachowania. Zareagował bardzo nerwowo.

– Przestań. Muszę ci coś powiedzieć, to ważne. Wydaje mi się, że Leon wcale nie wyjechał, i się tego boję...

Nie rozumiałem, o co mu chodzi. Skąd wiedział, że Leon nie wyjechał? Byłem kilka razy pod jego domem i stara willa przy Błoniach wyglądała na całkowicie wymarłą; nigdy nie paliło się tam światło, mieszkanie było opuszczone.

Spytałem go o to. Zaciągnął się papierosem.

– Ta sprawa z Pegazem. To robota Leona. On się tak bawił przez cały ubiegły rok.

– Żartujesz! – zdumiałem się. Choć to było akurat do Leona podobne, bo tylko jego stać było na taki upór i konsekwencję. Czulem podziw dla jego sprytu. Nawet przez myśl mi nie przeszło, że to mógł być on. Samo przeprowadzenie tej akcji nie należało do łatwych zadań, malowidło umieszczono wysoko i bez stołka lub drabiny trudno było się do niego zbliżyć, poza tym korytarza na piętrze ciągle ktoś pilnował. Bez dwóch zdań, Leonowi musiał ktoś pomagać, choćby w pilnowaniu, czy droga wolna. Najwyraźniej był to Adam, skoro tak dobrze znał poczynania swego kolegi.

Adam popatrzył na mnie przez chwilę, milcząc, skrzywił się, a potem rzekł:

– Mówię ci, że to on... Powiedział, że wyjeżdża, i myślałem, że mówi prawdę, a teraz znowu to...

– Ale o co ci chodzi? – nie rozumiałem, choć zaczynało mi kiełkować w głowie pewne straszne podejrzenie.

– Wiesz, o co – odparł Adam, a ręka, w której trzymał papierosa, drżała. – O morderstwo Iwony...

Spojrzałem na niego wyczekująco, a po chwili milczenia rzuciłem, udając obojętność:

– Ale to już jest zamknięta sprawa, prawda? Mordercę dawno aresztowano... Chyba że wiesz coś, o czym nie ma pojęcia milicja...

Adam zwiesił głowę i nerwowo zaprzeczył. Nie rozumiałem zupełnie, o co mu chodzi. Najwyraźniej coś strasznie go dręczyło. Widać to było w jego spojrzeniu i umęczonej twarzy. Miał cienie pod oczami i zapewne niewiele sypiał.

– Powiedz mi – zażądałem. – Wiem, że coś ukrywasz!

Teraz on mierzył mnie wzrokiem w milczeniu. Jakby podejmował jakąś ważną decyzję.

– Nie – zdecydował po chwili. – Nic ci nie mogę powiedzieć. Nic nie wiem. Myślałem, że

ty... Kiedy złapali tego Maliszkę, a Leon wyjechał, byłem pewien, że to już koniec, ale teraz, kiedy wrócił... Nie wiem, nie wiem...

Zrozumiałem. Adam ukrywał jakąś tajemnicę. Na pewno widział coś niepokojącego w dniu, gdy zginęła Iwona, ale nie ufał mi na tyle, by powiedzieć prawdę. Wyczuwałem, że w tym wszystkim najważniejszą postacią jest Mierzejewski.

Tak. Ja też podejrzewałem Leona. Może tydzień, może dwa tygodnie wcześniej. Ale od tego czasu tak wiele się zdarzyło, tyle się stało. Spiętrzyły się zagadki, narosły tajemnice, i nic nie było już takie jak dawniej.

Milczałem.

Adam zrozumiał to po swoim i poruszył się nerwowo.

– No powiedz coś! – rzekł rozkazującym tonem.

Przygryzłem wargi. Nie ufał mi. Jak więc miałem mu opowiedzieć o nocnej wizycie doktora Gruszewskiego i rewelacjach Jakuba Sommera?

Chwilę siedzieliśmy w pełnym napięcia milczeniu, jakby ważąc nasze racje. Obawa jednak zwyciężyła. Ja wciąż miałem w pamięci naszą rozmowę nad Rudawą, gdy Leon uciekał z medalionem. Nagromadziło się tyle uraz, tak wiele niedopowiedzeń. Adam trzymał sztamę z Leonem przeciwko mnie, pozwolił mu włamać się do naszego mieszkania i do Hornów. A potem zginęła Iwona i cała sprawa jeszcze bardziej się zagmatwała. Irena i ten milicjant sugerowali wyraźnie, że nasza koleżanka nie była wcale taka święta... W końcu sam widziałem te okropne zdjęcia... Czy Adam o tym wiedział? Czy robił jej jakieś wyrzuty? Może to było przyczyną ich kłótni, którą kiedyś widziałem podczas próby? A jeśli tak, to może właśnie on namówił Leona na włamanie do domu Hornów, by zagrać Iwonie na nosie lub przeszukać jej pokój i sprawdzić swoje podejrzenia?

Tak mogło być, ale nie musiało. I choć te wszystkie myśli wirowały mi w głowie jak szalone, nie zadałem żadnego pytania, nie wypowiedziałem ani słowa. Byłem przekonany, że w gęstniejącej atmosferze nieufności i podejrzeń i tak nie otrzymam żadnej odpowiedzi.

Tymczasem Adam, nie rzuciwszy mi nawet słowa na pożegnanie, otworzył drzwi na korytarz, rozejrzał się po pustym holu i szybkim krokiem opuścił rekwizytornię. Zostałem sam w tym dusznym, przesyconym zapachem kurzu i zetłanych materiałów pomieszczeniu.

I obleciał mnie strach.

Nie poszedłem już tego dnia do klasy, zwagarowałem. Przez kilka godzin włóczyłem się bez celu po ulicach, nie mogąc wrócić do domu. Matka i siostra znały zbyt dobrze mój plan lekcji.

Myślałem o drobiazgach. Ważne były drobne kłamstwa, przemilczenia, pomyłki. Byłem bardziej niż pewny, że coś mi umknęło. Dlaczego Adam tak bał się powrotu Leona do Krakowa, czy byli współnikami i zawarli jakiś pakt? I w ogóle na jakiej podstawie uważał, że Leon wrócił? Bo ktoś ponownie oszpecił malowidło na ścianie? Brednia – aż uśmiechnąłem się do siebie. To mógł zrobić każdy, nawet ja, gdybym nie był takim tchórzem. Dobry żart tynfa wart, a taki psikus na pewno znalazł chętnych naśladowców... Moment też był wybrany idealnie – po lekcjach, szkoła była pusta, tylko na piętrze odbywała się próba. Woźny dyżurował na dole, mnóstwo obcych osób wchodziło i wychodziło... To naprawdę mógł zrobić prawie każdy obecny wówczas w budynku.

Ta ostatnia myśl mnie uderzyła.

Może był w tym wszystkim ktoś, o kim nie pomyślałem?

Zakręciło mi się w głowie i poczułem zbliżającą się migrenę. Zacisnąłem na chwilę powieki, żeby nie widzieć mroczków przed oczami, które pojawiały się zawsze, gdy tylko zaczynała boleć mnie głowa. Miałem mdłości. Przystanąłem i oparłem się ręką o ścianę. Przez chwilę

czułem, jak wszystko wokół mnie wiruje, a w narastającej mgle usłyszałem nagle głos tego głupiego sierżanta od Arciszewskich: „I w tej sprawie rola suflera by się znalazła!”, a potem dziwny dziki śmiech, który przypominał mi wycie wilka.

– Czy tobie słabo? Może jakoś pomóc? – zainteresowała się z troską długowłosa dziewczyna, która właśnie mnie mijala.

– Nie, dziękuję, nic mi nie jest – powiedziałem z wysiłkiem, a ona kiwnęła głową na znak, że rozumie, i ściskając pod pachą szkolną teczkę, poszła w swoją stronę. Chwilę za nią patrzyłem, bo była bardzo ładna. Zazdrościłem jej, że nie musi zmagać się z koszmarami, które mnie dręczyły każdego dnia; że nie ma pojęcia, w jak mroczną otchłań można zejść, popelniając jeden mały błąd... Błąd, który pociągnął za sobą lawinę tragicznych zdarzeń.

Wziąłem się w garść i ruszyłem do domu. Tylko myśl o tym, że za chwilę znajdę się w swoim pokoju i położę do łóżka, trzymała na mnie na nogach. Dziwna rzecz – moje napady migreny były ściśle związane ze śmiercią Iwony Horn. Stały się pamiątką po tamtej strasznej nocy, która miała mi towarzyszyć przez całe życie.

Kiedy z wysiłkiem otworzyłem drzwi i zrzuciłem płaszcz, nie zawracając sobie głowy wieszaniem go w ściennej szafie w przedpokoju, na spotkanie wyszła mi Eliza.

– Źle się czujesz? – stwierdziła bardziej, niż zapytała, podnosząc z wysiłkiem porzucone okrycie, a mnie zrobiło się głupio, że kaleka siostra musi po mnie sprzątać.

– Daj – wyjąłem jej płaszcz z ręki i odwiesiłem na miejsce.

– Przyszedł list do ciebie – powiedziała Eliza i wzrokiem wskazała kuchnię. To rzeczywiście było wydarzenie, bo listy przychodziły do nas rzadko, a do mnie to już wcale.

– Ze szkoły? – przestraszyłem się, bo czasami zdarzało się, że o jakimś poważnym wykroczeniu dyrekcja informowała na piśmie. No ale wtedy list byłby zapewne zaadresowany do rodziców.

Eliza pokręciła głową.

– W ogóle nie ma nadawcy na kopercie. To jakiś dziwny list. Brudny, wymiętoszony, ktoś go wetknął do skrzynki w drzwiach, a znaczek ma sprzed dwóch miesięcy...

– Skąd wiesz? – zdziwiłem się. Wzruszyła ramionami.

– Ja go wyjmowałam ze skrzynki, a wcześniej słyszałam, jak ktoś go wrzucał, ale bałam się podejść do drzwi, bo byłam sama, mamusia wyszła na zakupy. Obejrzałam dokładnie kopertę. Jest cała wyplamiona... I ten znaczek... Ktoś go chyba odkleił z innego listu.

Zaintrygowany wszedłem do kuchni. List rzeczywiście był w oplakany stan. Tak jak mówiła Eliza, koperta, zaplamiona i wymięta, wyglądała tak, jakby ktoś podniósł ją z ulicy i wepchnął do naszej skrzynki. Ale wyraźnie napisano moje imię i nazwisko oraz adres. Nadawcy brakowało, a znaczek istotnie był sprzed dwóch miesięcy. Obejrzałem list dokładnie, nawet spojrzałem na niego pod światło, ale nic nie mogłem dostrzec. Rozerwałem kopertę.

W środku znajdowała się niewielka kartka, tym razem czysta, na której kaligraficznym okrągłym charakterem napisano jedno zdanie: „Korona, korona, złoty krzyż; powiedz panno, gdzie ty śpisz?”

– To jakaś bzdura! – powiedziałem, odczytawszy dziwną wiadomość na głos. – Kompletnie nie wiem, o co chodzi! Co to za krzyż i panna? – zmiąłem kartkę i kopertę, wrzucając je do wiadra pod piecem. Eliza pokręciła głową z dezaprobatą.

– Nie pamiętasz takiej wyliczanki z dzieciństwa? „Korona, korona, złoty krzyż; powiedz panno, gdzie ty śpisz? Śpię na górze na figurze, tam gdzie rosną złote róże”.

Patrzyłem na nią z wyczekiwaniem.

– No i co? – spytałem, a ona wzruszyła ramionami.

– Nie wiem, co. Lepiej ty się zastanów, dlaczego ktoś wysłał ci ten list...

Wygrzebałem kopertę ze śmietnika i przyjrzałem się jej raz jeszcze. Poza tym, że była brudna, nie wyróżniała się niczym szczególnym. Spojrzałem na znaczek – najwyraźniej ktoś go odkleił z jakiegoś innego listu, bo był mocno obszarpany. Przedstawiał obraz Józefa Chełmońskiego *Babie lato* – w tym roku poczta wypuściła taką serię z malarstwem, wiedziałem, bo w klasie było kilku zapalonych filatelistów. Wszystkim zresztą najbardziej podobał się znaczek z Malczewskim.

Chwilę wpatrywałem się w kartkę i w kopertę, aż w końcu z westchnieniem włożyłem obie do kieszeni.

– Może to jakiś dowcip – powiedziałem ostrożnie. Eliza zdawała się kompletnie nie interesować tą sprawą. Postawiła na kuchni czajnik i zabrała się do przygotowywania herbaty.

– Tatusz zaraz wróci – stwierdziła, spoglądając na mnie znacząco, więc postanowiłem natychmiast iść do swego pokoju. Nawet głowa przestała mi dokuczać, ale tajemnicza informacja nie dawała mi spokoju. „Gdyby to była powieść przygodowa – rozmyślałem, przypatrując się ponownie dziewczynie ze znaczka, leniwie leżącej na ziemi z nicią babiego lata w dłoni – taki list stanowiłby zaszyfrowaną wskazówkę”. Nawet jeżeli tak właśnie było, nie potrafiłem rozwikłać zagadki, od kogo ten sygnał i czego miał dotyczyć. Dziecinna wyliczanka zawierała zapewne jakąś informację, ale o czym, na Boga?

Przyjrzałem się ponownie kształtnym literom. Napisał to ktoś o bardzo wyrobionym piśmie. Tak kaligrafowały bibliotekarki, nauczycielki, niektóre urzędniczki. Moja matka pisała równie ładnie, nauczyła się tego przed wojną w szkole handlowej. Ale to nie był oczywiście charakter pisma mojej matki. Jeszcze raz przeczytałem tekst wyliczanki i popatrzyłem na pierwsze litery. Nie układały się w żadną tajną wiadomość. Być może szyfr był bardziej skomplikowany, a ja za głupi, by go złamać, lub bardzo prosty, a ja zbyt niedomyślny.

Westchnąłem i odłożyłem kopertę do książki. W domu słychać było szybkie kroki, co oznaczało, że ojciec już wrócił i matka szykowała kolację.

Powłokłem się do jadalni, bo naprawdę nie czułem się najlepiej. Zupełnie rozkojarzyły mnie wydarzenia tego dnia – rozmowa z Adamem, a potem ten niezwykle list.

Ojciec jednakże miał dla nas kolejną rewelację.

– Doktor Gruszewski się pojawił – rzucił niedbale, a ja zastygłem z widelcem w dłoni i wpatrzyłem się w niego pytająco.

– Ciekawe, gdzie się podziewał – powiedziała matka z tonem przygany w głosie. – Byłam kilka razy w ubezpieczalni, żeby zasięgnąć rady w sprawie Filipa, i mówili, że wyjechał.

– Tak. Pojechał w odwiedziny do krewnych – odparł ojciec, patrząc na mnie badawczo. – W góry...

– Piękna wycieczka, teraz na wiosnę – uznała matka. – Ale dziwię mu się, że wybrał się w góry, sam wielokrotnie powtarzał, że ma słabe serce. Jak on w ogóle mógł zasnąć na takiej wysokości!

– Może nie mógł i dlatego wrócił – powiedział ojciec i uznając rozmowę za zakończoną, zaczął jeść. Zatopiłem się w myślach. Z pewnością Gruszewski zamierzał opuścić kraj po śmierci Iwony Horn. Bez względu na to, co wydarzyło się w mieszkaniu na Batorego, był w to zamieszany. Wyjechał w góry... Może próbował przekroczyć granicę i mu się nie udało? Najprawdopodobniej tak się stało! Mogłem to sobie nawet wyobrazić. Pewnie chciał się przedostać jakimś górskim szlakiem, ale teraz nie było to już takie łatwe jak kiedyś. Granicy, także tej w górach, dobrze pilnowano. Może wrócił zachęcony wynikami śledztwa? W końcu Jacek Maliszko siedział już od pewnego czasu i sprawa została – przynajmniej oficjalnie – zamknięta. Pochyliłem się nad

talerzem. Adam i jego niejasne słowa, zniknięcie Leona i Jakuba Sommera, a teraz – nagle pojawienie się doktora Gruszewskiego, człowieka, który znalazł się w tamtym domu tuż po śmierci Iwony i zabrał obraz. To wszystko było zastanawiające. Czułem, że te historie splatają się jakoś ze sobą i gdybym tylko wiedział, w którym miejscu się łączą, mógłby zobaczyć całość. Niestety, nic nie potrafiłem zrozumieć. Czułem się jak człowiek, który brnie przerażony przez gęstą mgłę, wiedząc, że otaczają go znane miejsca, lecz nie może ich rozpoznać. Nawołuje, a odpowiadają mu jedynie głosy, których nie umie rozróżnić. Błąka się więc po omacku z obawą, że nigdy nie trafi do domu.

Wymówiłem się bólem głowy i poszedłem do swego pokoju. Przez chwilę wyglądałem oknem na nasze podwórze, usiłując dostrzec światło w mieszkaniu doktora. Nic jednak nie było widać. Potem z westchnieniem położyłem się na łóżku. „Korona, korona, złoty krzyż; powiedz panno, gdzie ty śpisz?” – usłyszałem nagle w myślach słowa wyliczanki. Jak to dalej leciało? Nie mogłem sobie przypomnieć, więc sięgnąłem po gramatykę niemiecką, w której schowałem list. Mój wzrok padł na tytuł jednej z czytanek, *Der Sommer im Garten*. „Lato w ogrodzie” – uśmiechnąłem się do siebie i aż krzyknąłem. Obraz Chełmońskiego *Babie lato* na znaczku! A więc to Jakub Sommer przesłał mi tę wiadomość.

– Jakub Sommer – powiedziałem do siebie. Ale dlaczego? Po co? I co właściwie chciał mi powiedzieć. Korona i krzyż – to mogło oznaczać jakąś figurę w kościele. Ale którym? Najbliżej naszego domu znajdował się kościół Zmartwychwstańców oraz Karmelitów na Piasku. Oczywiście, były w nich rozmaite figury świętych panien. Czy któraś z nich miała na głowie złotą koronę, a w ręku krzyż? Tego nie wiedziałem.

Postanowiłem, że muszę to sprawdzić nazajutrz. Zacznę od kościoła na Piasku. Jest duży i zawsze modli się w nim kilka osób, będę mógł dobrze go obejrzeć, niezauważony.

Następnego dnia tuż po lekcjach wybrałem się do Karmelitów. Wszedłem do kościoła i od razu uderzyło mnie niezwykle światło sączące się z witrażowych okien. Rzadko tu przychodziłem, bo to wewnątrz napełniało mnie dziwnym niepokojem. Promienie słońca przefiltrowane przez kolorowe szybki sprawiały, że kościół ten sprawiał zupełnie niesamowite wrażenie.

Przy ołtarzu modliły się jakieś babcie z różańcami, które nie zwróciły na mnie uwagi. Skierowałem się na prawo do kaplicy Matki Boskiej Piaskowej. Była prawdziwym dziełem sztuki. Obraz namalowano na ścianie, ale otaczające go kolumny wykonano z czarnego marmuru. Nad wizerunkiem wzniesiono ozdobną kaplicę zwieńczoną latarnią i figurą Matki Boskiej z kwiatami.

Nawet jeśli by to była owa „panna na figurze”, zupełnie nie wyobrażałem sobie, jak mógłbym się do niej dostać, a tym bardziej jak dostałby się tam Jakub Sommer, bo umieszczono ją do dobrych kilkanaście metrów nad ziemią.

Nie, ten trop był błędny.

Obszedłem dokładnie kaplicę, przyglądając się wszystkim ewentualnym skrytkom. Gdyby Sommer chciał, mógłby ukryć coś choćby w skrzynce na datki czy pod dywanem okrywającym schody do kaplicy. Mógł przykleić to wewnątrz kłęcznika, wsunąć do którejś z piszczalek organów. Całe to kręcenie się po kaplicy było beznadziejne. Denerwowała mnie własna niedomyślność i niekonkretne sformułowanie wskazówki. Podobnego zawodu doznałem w kościelne Zmartwychwstańców. Co prawda była tam figura świętej Barbary, ukoronowana i z krzyżem w dłoni, ale róż próżno było szukać na tym drewnianym wizerunku patronki górników. Nawet w wazonie, który jakaś litościwa dusza postawiła przed rzeźbą, zgromadzono wyłącznie suche badyle jakichś traw.

Wyszedłem z kościoła z nosem zwieszonym na kwintę. Miałem się zawsze za dobrego obserwatora i łatwo – jak mi się zdawało – rozgryzałem książkowe szarady. No tak, ale życie

to nie powieść przygodowa.

Tuż za progiem zderzyłem się z wysokim przygarbionym mężczyzną. Odskokczyłem gwałtownie, przepaszając go, a on podniósł wzrok i rozpoznałem doktora Gruszewskiego.

Nie wiem, kto był bardziej zaskoczony – ja, że zobaczyłem zjawę z moich koszmarów, czy on, widząc mnie wychodzącego z kościoła.

– Co tu robisz? – zapytał zdziwiony. – Nie wiedziałem, że jesteś religijny. To dla mnie prawdziwe zaskoczenie!

– Nie jestem – powiedziałem bezradnie, a ponieważ patrzył na mnie surowo i uważnie, uznałem, że muszę to jakoś wyjaśnić.

– Sprawdzałem jedną rzecz... – powiedziałem więc enigmatycznie, nie wiedząc, jak się z tego wywinąć, i od razu pożałowałem. Trzeba było szybko coś skłamać. Bo ja wiem – że badam architekturę sakralną albo zainteresowałem się malarstwem w starych kościołach.

– Jaką rzecz? – drażył Gruszewski ze zmarszczonymi brwiami, a ja wiłem się jak piskorz pod jego wzrokiem.

– Dzień dobry, panie doktorze – usłyszałem naraz piskliwy głos z boku. Aż się skurczyłem, bo wpadłem z deszczu pod rynnę. W poprzek ulicy Łobzowskiej zdążył ku nam fotograf Zadurski. Ponieważ na ucieczkę nie miałem żadnych szans, schyliłem się, udając, że but mi się rozsnurował. Na szczęście Zadurski nie zauważył mnie w ogóle, zajęty doktorem.

– O, dzień dobry, panie Zadurski – rzekł Gruszewski z dużą rezerwą, obserwując jednocześnie moje zmagania z obuwem.

– Dawno pana nie widziałem – powiedział tymczasem fotograf, a doktor się skrzywił.

– Wyjeżdżałem na kilka dni.

– Tak niespodziewanie? – dopytywał się natarczywie Zadurski, a ja wyczułem w jego głosie jakieś pełne napięcia wyczekiwanie.

– Bo ja wiem, czy niespodziewanie? Po prostu trafiła się okazja odpoczynku w górach, to skorzystałem...

– Tak, tak – odrzekł skwapliwie fotograf. – Kto by nie skorzystał? Słyszałem, że był pan w Szczawnicy. Piękne miejsce, pamiętam jeszcze sprzed wojny, jakie tam sanatoria były... Stadnicy cudnie prowadzili „Modrzewie” ... – i najwyraźniej dalej zamierzał się chwalić swymi sanacyjnymi znajomościami, ale Gruszewski zmarszczył tylko brwi i osadził go w miejscu.

– A kto to panu powiedział? – jego głos zabrzmiał tak ostro, że nawet ja się przestraszyłem, a co dopiero Zadurski, pęta i tchórz.

– No nie pamiętam dokładnie... Chyba ktoś w ubezpieczalni... Ale czemu się pan tak denerwuje, doktorze? – powiedział przymilnie, a Gruszewski ponownie wzruszył ramionami.

– Nieważne. Niech pan przyjdzie na wizytę, bo widzę, że z pańskim kręgosłupem o wiele gorzej – wysyczał, a fotograf – zgodnie z przewidywaniem – skrzywił się tylko i żegnając go z wielką rewerencją, błyskawicznie zniknął za rogiem Batorego.

– Możesz już wstać – powiedział do mnie życzliwie lekarz, a ja podniosłem się, otrzepując kanty spodni. Było mi niewymownie głupio.

– Żigolak dla ubogich – powiedział z uśmiechem Gruszewski. – Nie cierpię tego jego głosu ociekającego obłudą... Chodźmy. Na pewno już poszedł sobie.

Szliśmy chwilę w milczeniu, aż on zatrzymał się i spojrzał na mnie uważnie.

– Czy ty się czegoś boisz, Filipie? Jeżeli uważasz mnie za swojego wroga, popełniasz ogromny błąd. Weź pod uwagę, że przyjaźnię się z twoim ojcem, i już choćby dlatego powinienes mi zaufać... Tak jak ja ufam tobie. Nie myśl, że nie wiem, iż podsłuchiwałaś tamtej nocy w przedpokoju. Jestem weteranem z Hiszpanii i jak widzisz, udało mi się przeżyć, a to nie byle

co, nawet dostałem za to medal! – zaśmiał się tym swoim strasznym śmiechem, od którego dreszcze przebiegały mi po plecach.

– Myślisz, że mam coś wspólnego ze śmiercią Iwony Horn? – powiedział po chwili, a ja aż poderwałem głowę do góry. – Nie mam. Zabiłem w swoim życiu wiele osób, ale naprawdę nie miałem powodu mordować siedemnastolatki za pomocą wojskowego noża, jak udało mi się zauważyć w pośpiechu...

– Ja myślałem... – zacząłem się płatać. – Ja nie myślałem... – poprawiłem się, a on spojrział na mnie z ojcowskim ciepłem.

– Widziałem, jak zareagowałaś na pojawienie się tego Zadurskiego. Nikt nie boi się bez powodu. Wiem, że coś się tutaj dzieje, i mogę ci pomóc...

Przez chwilę rozważałem usłyszane słowa. Myśl, żeby powierzyć komuś swoje wątpliwości, była bardzo kusząca. Opowiedzieć. Wyrzucić to z siebie. I zadać kilka pytań.

– Dobrze – odparłem z westchnieniem. – Powiem panu, bo mam kompletny mętlik w głowie...

Uśmiechnął się.

– Powiesz mi, ale nie tutaj. Zapraszam na herbatę, moje mieszkanie jest bezpieczne. – Przypomniałem sobie, co opowiadał wtedy ojcu o pułapkach, i ponownie poczułem ciarki na plecach.

Gruszewski mieszkał – jak już to mówiłem – w oficynie sąsiadującej z naszą, na czwartym piętrze. Miał maleńkie, ale samodzielne mieszkanie, składające się z dwóch niewielkich pomieszczeń, kuchni i mikroskopijnej łazienki przerobionej ze spiżarni, która pierwotnie mieściła się przy kuchni. Pokoje były w amfiladzie. Ten dalszy spełniał funkcję sypialni doktora, zaś ten bliżej holu był rodzajem saloniku i gabinetu, w którym Gruszewski przyjmował pacjentów. Zazwyczaj sam przychodził do domu chorego, ale czasem „w nagłych wypadkach” ktoś odwiedzał jego. Teoretycznie nie prowadził praktyki prywatnej i cały dzień spędzał w ubezpieczalni, ale mieszkańcy naszych kilku ulic tak się przyzwyczaili do „domowego doktora”, że praktycznie nie było dnia, by ktoś tu nie zjawiał się w sprawie porady. Gruszewski nie miał telefonu, co do pewnego stopnia ratowało go przed natarczywością pacjentów.

Pokój, w którym się znaleźliśmy, choć mały, dosłownie zawałony był książkami i różnymi szpargalami zbieranymi przez doktora. Wszystkie cztery ściany, łącznie z tą, na której znajdowało się okno, mieściły regały zarzucone literaturą. Gruszewski był namiętym czytelnikiem. Pochłaniał wszystkie książki zupełnie bez wyboru, co stanowiło najwyraźniej jego nałóg. Pamiętam jakieś wielkie sprzątanie na strychu, gdy wyrzucono z niego tony śmieci, w tym całe hałdy niemieckich książek. Gruszewski kilka godzin grzebał w tych rupiecicach, wyciągnawszy na przykład niemieckie tłumaczenie *Przeminęło z wiatrem*, z którego posiadania był później bardzo dumny.

Teraz wszedł do pokoju, niosąc ostrożnie dwie wyszczerbione filiżanki z herbatą. Postawił je na niewielkim stoliczku, który wciśnięty między regał, okno i wąską kanapę, służył zazwyczaj spotkaniom z pacjentami. Pamiętam, że siadywałem tu kilkakrotnie, gdy ojciec przyprowdzał mnie na konsultacje. Sam zajął miejsce w fotelu pod oknem i spojrzał na mnie uważnie.

– Matka mówiła mi, że często boli cię głowa...

Przytaknąłem.

– To podobno migrena. Czasami czuję taki ból, że aż tracę równowagę. Pierwszy raz głowa tak mnie rozboleła, gdy dowiedziałem się o śmierci Iwony – powiedziałem cicho.

Skinął głową.

– Tak. To możliwe, często się tak zdarza. Na pewno już wiesz, że nie ma na to skutecznego lekarstwa...

Opowiedział mi, że miał przyjaciela, który przeszedł przez sowiecki łagier, wypuścili go dopiero po pakcie Sikorski – Majski i wówczas dołączył do armii Andersa. Ten kolega cierpiał na straszliwe migreny, na które nie było w obozie żadnych leków. Nauczył się radzić sobie z bólem dzięki medytacjom i ćwiczeniom oddechowym, na wzór fakirów. Doktora bardzo interesowała ta technika i kolega mu ją pokazał; teraz i ja powinienem skorzystać z doświadczeń łagiernika.

Podziękowałem mu za radę, bo z trudem wytrzymałem ten ból. Doktor machnął jednak ręką, jakby myślał już o czymś innym. Odłożył filiżankę i z szuflady stolika wyciągnął paczkę papierosów, zapalił i przez chwilę obaj wpatrywaliśmy się w sine kółka dymu.

– Po rozmowie z twoim ojcem chciałem uciec z kraju – powiedział niespodziewanie. – Wyjechałem do Szczawnicy do znajomego, który mógł mi załatwić przerzut. To przejście jest łatwiejsze niż granica w Zakopanem... Gór się nie boję – sam pokonałem podczas wojny Pirene-

je... Ale nie udało się...

– Dlaczego? – spytałem.

Wzruszył ramionami, zaciągając się papierosem.

– Trafiłem na patrol. Bardzo pechowa wycieczka. Grunt jest teraz rozmoknięty, wszędzie widać ślady. Gorzej chodzi się tylko po śniegu. Ledwo im uciekłem, dobrze, że nie mieli ze sobą psów. Ukryłem się w baczce, nie znaleźli mnie. Drugi raz nie miałem ochoty próbować... Zresztą tutaj ucichło... Niepotrzebnie się martwiłem, bezpieka zawsze znajdzie jakiegoś kozła ofiarnego...

Wiedziałem, co miał na myśli. Aresztowanie Maliszki oddalało podejrzenia od niego, ode mnie, od wszystkich, których brałem pod uwagę.

– Panie doktorze – powiedziałem powoli, starając się jak najstaranniej dobierać słowa. – Ja nie wiem, kto zabił Iwonę Horn...

– Ja także nie – odparł. – Jeżeli podejrzewałeś mnie, bardzo się pomyliłeś. Tak jak mówiłem twojemu ojcu – gdy wszedłem do mieszkania po obraz, ona już tam leżała...

– Z poduszką na twarzy? – zapytałem, a on przecząco pokręcił głową.

– Nie. I tego nie rozumiem. Niczego nie ruszałem, byłem bardzo ostrożny. Sprawdziłem tylko, czy naprawdę nie żyje... Wiesz, mogła być nieprzytomna, nie zostawiłbym jej na pewną śmierć. Ale nie żyła już, nie wyczułem tętna, na pewno nie oddychała. Ktoś musiał ją zabić niedługo wcześniej, bo ciało nie zdążyło jeszcze stężeć...

– Ale oni mówili, że zginęła o świcie, w sobotę – powiedziałem.

– Bzdura! – zerwał się z fotela i podszedł do okna. – Zginęła w nocy, w piątek, tego jestem akurat pewien. Sam widzisz, jak kłamią!

– Ale ta poduszka – nie rezygnowałem. – Skąd się wzięła?

Gruszewski wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia. Tylko jedno wytłumaczenie przychodzi mi do głowy: albo przyszedł tam jeszcze ktoś, albo – i to wydaje mi się bardziej oczywiste – morderca był wówczas w mieszkaniu...

Strach mnie obleciał.

– Był tam?

Doktor zamyślił się.

– To całkiem prawdopodobne, już od dawna o tym myślę. Być może spłoszyłem zabójcę, który ukrył się gdzieś w środku... Gdy wyszedłem, nakrył jej twarz poduszką.

– Ale dlaczego? – nie mogłem zrozumieć.

Popatrzył na mnie uważnie.

– Widać, że nie miałeś nigdy do czynienia ze zmarłymi i ofiarami morderstw. Jeżeli ofiara zna swego zabójcę, on często zasłania jej twarz, by na niego nie patrzyła, gdy plądruje mieszkanie. Osobiście kompletnie tego nie rozumiem, bo zmarłemu jest już chyba wszystko jedno.

Co miało się stać najgorszego, to już go spotkało. – Chwilę palił w milczeniu. – Pewnie domyślasz się, jakie to wszystko może mieć konsekwencje? – Nie odpowiedziałem, więc dokończył: – Skoro morderca znał Iwonę Horn, mógł znać i mnie. Wtedy naprawdę grozi mi niebezpieczeństwo, chyba że i on ma interes w tym, by milczeć. W końcu wrobili tego biednego Maliszkę...

– Pan nie wierzy w jego winę, prawda?

Doktor roześmiał się.

– Zastanawiam się, czy ktokolwiek wierzy. Moim zdaniem ten chłopak jest niespełna rozum, można mu wmówić wszystko. W gazetach przedstawiają go jako jakiegoś demona zła, a on gada wyuczonymi zdaniem, jak z milicyjnego raportu. Podejrzewam, że ktoś mu wkłada te

zeznania w usta, a on je tylko powtarza. Szczerze wątpię, czy byłby w stanie zaplanować taką zemstę. Widziałem jego zdjęcie w „Dzienniku” – ma wygląd półgłówka, nie cynicznego zabójcy. I dziewczyna samotnie spędzająca wieczór w domu wpuszcza kogoś takiego do środka? A on ją po prostu zabija jednym ciosem, bo przecież nie było żadnych śladów walki? Nie, kochany, ja wierzę, że wiele rzeczy można zrobić z zemsty czy w akcie szaleństwa, lecz to...

– Ale milicja zamknęła już śledztwo – powiedziałem cicho. – Za chwilę zaczną proces, sprawa jest zakończona...

– Może tak, może nie – powiedział, gasząc papierosa. – Zobaczymy. Powiedz mi lepiej, co cię tak dręczy? Co się stało?

Westchnąłem głęboko.

– Ja też nie wierzę w winę Maliszki, to wygląda na szyte zbyt grubymi nićmi. Boję się, czy to nie jeden z moich kolegów – powiedziałem wreszcie, bo naprawdę nie wiedziałem, od czego zacząć. Widziałem jego zdziwienie.

– Twoich kolegów? Dlaczego mieliby ją mordować? Jakaś zawiedziona miłość? Wypadek?

Pokręciłem przecząco głową i zacząłem opowiadać. Niespodziewanie poczułem ulgę. Choć ta historia powierzona weteranowi z Hiszpanii w niczym nie zmieniała mej sytuacji, nie przybliżała do odkrycia prawdy, czułem, że z każdą chwilą opuszcza mnie to bolesne napięcie, z którym żyłem od tygodni. Gdy mówiłem o Brygadzie Światła i Mroku, zerwał się z fotela i zaczął krążyć po pokoju, posyłając mi pełne przygany spojrzenia. Nie musiał nic mówić. Wiedziałem sam od dawna, jaki popełniłem błąd, nie wyznając ojcu prawdy. Ale Gruszewski nie robił mi wyrzutów. Sam zbyt długo ukrywał swe życie przed innymi, by teraz winić mnie, że trzymałem język za zębami. „Scire, tacere” – powiedział tylko, a ja znałem te słowa, nazywane złotą regułą przetrwania. „Wiedzieć i milczeć”. Milczałem, to prawda, ale czy tak naprawdę cokolwiek wiedziałem? Tego zupełnie nie byłem pewien. Gdy opowiadałem mu o Leonie i Adamie, zorientowałem się, że wszystkie moje podejrzania i cała ta sprawa nie układają się w logiczną całość. Co z tego, że intuicja mówiła mi, iż obaj mają coś z tym wspólnego? Przecież nie wierzyłem w to, że Leon zabił Iwonę, by potem zakonserwować jej zwłoki. A może? Może wykorzystał nadarzącą się okazję, a doktor swoją nocną wizytą go spłoszył? Może Adam mu w tym pomagał? Wszak już po wizycie w prosektorium mówił, że potrzebuje pomocnika. Może Adam zniechęcił Iwonę, gdy dowiedział się, że spotykała się z innymi, starszymi mężczyznami? Zabił ją z zazdrości? Albo ten fotograf Zadurski. Szantażował młode dziewczęta, którym wcześniej podstępem robił kompromitujące zdjęcia. Może odwiedził wtedy Iwonę, wiedział, że będzie sama, a gdy ona nie chciała mu ulec, zabił ją ze złości?

Spojrzałem wyczekująco na doktora. Dopił herbatę, sięgnął do szuflady i tym razem nie wyciągnął papierosów, a do połowy opróżnioną butelkę wódki. Poszedł do kuchni, przyniósł dwa niewielkie, porysowane kieliszki i nalał do pełna.

– Bzdury! – powiedział, wręczając mi kieliszek. – Napij się! – wyrzekł te słowa rozkazującym tonem, a ja przypomniałem sobie kurację tranową, którą przeszedłem pod jego kierunkiem kilka lat wcześniej. Słowem: „Wypij to!” towarzyszyło podanie łyżki wstrętnej oleistej i śmierdzącej rybim tłuszczem ciecchy. Teraz też posłusznie przechyliłem kieliszek. Wódka błyskawicznie rozeszła mi się miłym ciepłem w żołądku.

– Za dużo tego „może” – powiedział po chwili, gdy także opróżnił kieliszek. – Musimy skupić się na sprawach ważnych, oddzielić je od tych nieistotnych. To nie *Morderstwo w Orient Ekspresie*, nie zabili jej wszyscy... Ktoś wszedł do mieszkania, ktoś, komu sama otwarła i wpuszczała go, kto potem dźgnął ją wojskowym nożem w pierś. Nie sądzę, żeby to był mężczyzna, któ-

remu się opierała – nie zabijałby jej w przedpokoju, tylko raczej na kanapie w salonie. No chyba, że rzucił się na już w drzwiach, a ona stawiała opór... Nie, ten trop to ślepa uliczka...

– Czy ja wiem... – powiedziałem niepewnie. – Nie widział pan jeszcze tego – wyciągnąłem list Sommera z kieszeni i opowiedziałem mu o bezowocnych poszukiwaniach panny śpiącej na figurze.

– A, to dlatego spotkałem cię pod kościołem – pokiwał głową. – Dziwię się twojej bezmyślności – stwierdził, a mnie zrobiło się nieprzyjemnie. Zauważył to. Wzruszył ramionami i nalał jeszcze po kieliszku. – Wybacz, że tak mówię, ale ponieważ łączy nas wspólna tajemnica, zacząłem cię traktować jak kolegę z oddziału. Wtedy nigdy nie bawiliśmy się w ozdobniki i gładkie słówka, bo od szczerości mogło zależeć czyjeś życie. Rozumiesz?

Kiwnąłem głową.

– Mówię, że jesteś bezmyślny, bo nie wiem, jak mogłeś przypuszczać, że Sommer ukrył coś w kościele. Nigdy w nich nie bywał, i to nie dlatego, że jest Żydem. Jakub Sommer ma wielki żal do Boga za to, co zrobił w czasie wojny, i to nie tylko z jego rodakami.

– Bóg zrobił? – nie mogłem zrozumieć. – To Hitler zrobił, a nie Bóg! Co Bóg ma z tym wspólnego?

Doktor zakręcił kieliszkiem tak, że płyn zawirował, prawie wylewając się z krysztalu.

– On uważa, że ma. Bo nie zapobiegł temu nieszczęściu. Ale zostawmy Jakuba i jego religijne wątpliwości i pomówmy dalej o twojej niedomyślności. Sommer przecenił, jak widzę, twoją inteligencję, bo rozwiązanie miałeś pod nosem, a biegałeś cały dzień po kaplicach.

– Pod nosem? – powiedziałem bezradnie, a Gruszewski wstał i wskazał na okno.

– Popatrz na wasz dom, na dach. Co widzisz? – spojrzałem w tym kierunku. Tak jak już wspominałem, z oficyny Gruszewskiego dosyć dobrze było widać szklaną budkę na dachu oraz wystającą zza niej ozdobę, która upiększała nasz dom od strony ulicy Karmelickiej.

– No właśnie! – powiedział doktor triumfalnie. – A co zwiędza to zdobienie? Zszarzały i obtłuczony posąg kobiety z koszem kwiatów! Nie wiem, czy ona kiedykolwiek miała koronę, czy nosiła krzyż, ale na pewno ma rękach koszyk z różami! To o ten posąg chodziło Sommerowi!

Jak mogłem być taki głupi! Gruszewski miał rację. Nie wiem, co mnie zaślepiło, by szukać rozwiązania daleko, podczas gdy było tak blisko. Teraz, gdy je już znałem, cała moja dedukcja wydała mi się śmieszna. Oczywiście było, że Sommer ukrył wskazówkę gdzieś w dobrze znanym miejscu... Przecież nie włóczyłby się po kościołach, wtykając coś pod ołtarzowe dywany czy skacząc na drabinie pod sklepieniem. Zacząłem podejrzewać, że podobnie jest z rozwiązaniem zagadki śmierci Iwony – było gdzieś blisko, w zasięgu wzroku, tylko ja nie potrafiłem go dostrzec i właściwie odczytać.

– Potrafisz dostać się na dach? – zapytał mnie doktor, a ja kiwnąłem głową. Opowiedziałem mu o przejściu wskazanym przez Sommera w zsybie na ostatnim piętrze.

– Tylko uważaj. I nie chodź tam w dzień. Sommer miał rację, że tu wszyscy patrzą. Ta stróżka z parteru na przykład. Wielokrotnie widziałem, jak podgląda zza firanki lub czai się w cieniu korytarza. Nie wiadomo, komu ta zacna wdowa służy. A właściwie – dokładnie wiadomo.

Nie musiał mi mówić. Sam wiedziałem, że trzeba uważać. I zamierzałem być bardzo ostrożny.

– Może to, co zostawił ci Sommer, rozwiąże naszą zagadkę, a może nie. Chciałbym porozmawiać z twoim kolegą, tym Adamem Miliczem – powiedział Gruszewski, gdy już szykowałem się do wyjścia. Po dwóch kieliszkach wódki nieźle szumiało mi w głowie, a w perspektywie wieczoru miałem jeszcze wyprawę na dach.

– Jak mam to zrobić? – spytałem, bo Adam przecież nie chciał na ten temat rozmawiać.

Doktor położył mi dłoń na ramieniu i powiedział spokojnie:

– Po prostu przyprowadź go tutaj. Powiedz, że ktoś, kto zna tę sprawę, chce z nim porozmawiać i coś wyjaśnić. Jestem pewien, że się zgodzi...

– Dlaczego?

Doktor się roześmiał.

– Bo jest tym bardziej udręczony niż ty... Od kilku tygodni żyje w piekle, a ja pozwolę mu to piekło opuścić...

Nic nie rozumiałem, ale obiecałem Gruszewskiemu, że przyprowadzę Adama. Myślałem jednak, że wcale do tego nie dojdzie. Byłem pewien, że wiadomość, którą zostawił mi Jakub Sommer, wyjaśni zagadkę śmierci Iwony. Sprawa zostanie rozwikłana, a ja odzyskam spokój.

I nigdy już nie wrócę do tych wspomnień.

Mylłem się. Jak zwykle.

Kiedy wszyscy już zasnęli, wziąłem małą latarkę, która służyła mi podczas biwaków, i przez kuchenne okno wymknąłem się na balkon. Od razu przeszył mnie chłód wiosennej nocy, powietrze było zimne i wilgotne, choć czuło się już w nim zapach ziemi – ten cudowny aromat wiosny. Postawiłem kołnierz płaszcza i przemknąłem na schody. Bardzo się bałem, by ktoś mnie nie dostrzegł – stróżka z parteru lub jakiś wścibski sąsiad z któregoś z okien. Wszyscy byli mi teraz wrogami, podglądali, śledzili, próbowali wyrwać tajemnicę. Zrozumiałem, że zaczynam się zachowywać jak Jakub Sommer, tracę rozsądek i panowanie nad sobą. Schodami, w mroku i zachowując największą ostrożność, przedostałem się do zsypu. Dopiero tutaj odważyłem się użyć latarki; ściągnąłem drabinkę i szybko wspiąłem się do wjazdu na dach. Gdy wszedłem na górę, natychmiast zgasilem latarkę. Popatrzyłem w kierunku mieszkania doktora Gruszewskiego – tak jak przypuszczałem, stał w oknie i obserwował mnie. Skinął uspokajająco ręką, jakby chciał mi dać do zrozumienia, że czuwa nad moim bezpieczeństwem. Było to miłe i bardzo mnie pokrzepiło. Schylony wpół, by nie popełnić błędu, chodząc po dachu i prezentując się w całej okazałości, przemknąłem w kierunku krawędzi budynku od ulicy Karmelickiej. To tutaj właśnie wzniesiono owo ozdobne zwieńczenie, które miało najwyraźniej nadawać naszej przysadzistej kamienicy lekkości, a tak naprawdę uczyniło ją jeszcze bardziej zwalistą. Na jego szczycie znajdował się kamienny posąg kobiety. Mogła to być rzeczywiście jakaś święta lub może postać historyczna. Trudno to było w tej chwili ocenić. Zawierucha wojenna obeszła się z nią nieoględnie. Kamiennej pannie brakowało połowy głowy oraz jednej nogi. W wyszczerbionych dłoniach trzymała jednak koszyk, a w nim – marmurowe, niezniszczalne róże.

Zapaliłem latarkę i zacząłem starannie oglądać cokolik z figurą. Początkowo nie zauważyłem nic szczególnego – dach był w tym miejscu dosyć nierówny, a nasmołowane pokrycie odrywało się w różnych miejscach, ukazując szarawe wyrwy. Wreszcie w jednym z takich miejsc dostrzegłem skrytkę. Nie była zbyt dobrze zamaskowana, ale kto by ją wypatrzył? Może co najwyżej kominiarz lub dekarz smołujący dach. Sięgnąłem w dziurę i po chwili miałem już w ręku tę zabrudzoną teczkę z fotografiami, którą widziałem w atelier braci Zadurskich. Poczułem rozczarowanie. Miałem nadzieję, że Jakub Sommer podsunie mi rozwiązanie zagadki, a nie pornograficzne zdjęcia. W skrytce nie było jednak nic więcej. Wsunąłem teczkę pod sweter i szybko zszedłem z dachu. Znowu, cicho jak kot, przemknąłem schodami na balkon naszego piętra i wsunąłem się przez okno do kuchni. Już w domu, ściągając buty w moim pokoju, uświadomiłem sobie, że nie pomyślałem o doktorze Gruszewskim. Miałem nadzieję, że widział ze swego okna, jak bezpiecznie opuszczam dach naszego domu. Powinienem był mu dać jakiś znak, choćby mrugnięciem latarki, ale było już na to za późno. Teczkę Jakuba Sommera wsunąłem głęboko pod materac w łóżku i zmęczony zasnąłem kamiennym snem. O dziwo, tej nocy nie męczył mnie żaden koszmar. Nie bolała mnie nawet głowa, choć rankiem nie obudziłem się wypoczęty. Znowu zaczął mnie przygniatać dobrze znany ciężar.

Poszedłem do szkoły. W jej progu przywitał mnie starannie wykaligrafowany plakat, który ogłaszał wreszcie premierę Siły fatalnej. Stałem chwilę, wpatrując się w kształtne litery, i czułem rozpacz. Kiedy zaczynaliśmy próby, wszystko było jeszcze dobrze, Adam Milicz zachowywał się normalnie, Iwona Horn żyła, także ja byłem zupełnie innym człowiekiem.

– No to gramy za dwa tygodnie! – usłyszałem za sobą wesoły głos, który należał do Mi-

chała Webera, kolegi grającego Juliusza Słowackiego.

– Tak – powiedziałem, choć wcale nie czułem radości.

Michał spojrział na mnie ze współczuciem.

– Wiem, że nie chciałeś, byśmy dalej próbowali po śmierci Iwony, ale uwierz mi, tak jest lepiej... Moim zdaniem byłaby zadowolona, że nie przerwaliśmy przygotowań...

„Akurat!” – pomyślałem i spojrzałem na niego z niechęcią. Ten chłopak był naprawdę dobrym aktorem, obok Adama Milicza najlepszym, ale był też bezbrzeżnie głupi. Z dzisiejszej perspektywy powiedziałbym, że miał zadatki na prawdziwego gwiazdora – myślał wyłącznie o sobie. Jak ujął to jeden z moich późniejszych przyjaciół, ludzi takich jak on cechował „kryształowy egoizm”. Michała nie obchodził fakt, że Iwona była zadowolona, iż dyrektor zawiesił sztukę po pamiętnej awanturze z Ireną. Pamiętałem doskonale, że cieszyła ją ruina naszego przedsięwzięcia. Ale Michał nie wiedział lub nie chciał wiedzieć, jak było naprawdę.

– Mówię ci, zrobimy tym przedstawieniem furorę – mówił dalej, a oczy mu się zapaliły. – Moja matka zna się z jednym redaktorem z „Dziennika”, może przyślą jakiegoś recenzenta – aż zatarł ręce z uciechy. – Wtedy byłoby o nas głośno! Może wystąpilibyśmy gdzieś jeszcze, w jakimś domu kultury czy świetlicy zakładowej...

Wiedziałem, że Weber marzył o szkole teatralnej. Sukces amatorskiego przedstawienia, recenzja w poważnej gazecie, to mógł być jego atut.

Czułem niesmak. Życie – wiadomo – ma swoje prawa i toczy się dalej. Ale przecież Iwona... Zdałem sobie w tym momencie sprawę, że Iwony Horn tak naprawdę nikt nie znał i właściwie nikt nie lubił. Koleżanki zazdrościły jej urody i obgadywały, chłopcy mieli za złe to, że wielu dała kosza. Chyba tylko ja jeden...

Michał Weber zinterpretował moje milczenie po swojemu, bo klepnął mnie przyjacielsko w ramię.

– A wiesz? Ten znajomy redaktor mówił matce, że milicja coś ciekawego znalazła w sprawie Iwony... – zniżył głos. – Podobno puszczała się za pieniądze! Dasz wiarę? – zaniósł się śmiechem, a ja miałem ochotę uderzyć go w twarz. Ale nauczony doświadczeniem ze starcia z Leonem uspokoiłem się na tyle, by udąć obojętność.

– Ludzie dużo gadają – powiedziałem więc, krzywiąc się wymownie.

Michał Weber popatrzył na mnie z taką miną, jakby znał wszystkie tajemnice.

– Mówią, że któryś z tych facetów ją zabił, jakiś sadysta, co lubił się ostro zabawiać...

– Nie wiesz, że milicja złapała zabójcę? – powiedziałem stanowczo. – To Jacek Maliszko, brat „Partyzanta”. Nie słyszałeś, że zabił ją z zemsty?

– Może tak, może nie... – stwierdził powątpiewająco Michał, któremu najwyraźniej przestała się podobać ta rozmowa. Uznał widać, że powiedział zdecydowanie za dużo.

– Różne rzeczy się słyszy, wiesz... Podobno na proces Maliszki ma przyjechać kilku korespondentów, także z Warszawy... – i nie oglądając się już na mnie, pomknął na piętro, wzywany przez natarczywie dzwoniący dzwonek.

Zamyśliłem się. Wciąż powracała ta sprawa podejrzanych znajomości Iwony Horn. Nie tylko Irena i Michał o tym mówili, lecz nawet ten parobkowaty milicjant, narzeczony córki Arciszewskiej. Ale prostytutka? Tego nie mogłem w żaden sposób zrozumieć. Nie widziałem ani jednego powodu, który zmuszałby córkę znanego prokuratora do oddawania się za pieniądze. Aż przeszedł mnie dreszcz, gdy o tym pomyślałem, bo znaczyło to, że znałem Iwonę jeszcze mniej, niż mi się wydawało.

Oszołomiony wszedłem do klasy, nie zauważywszy, że rozpoczęła się lekcja, a Herman wyszukuje w swoim notatniku jakąś ofiarę. Na szczęście nie wyrwał mnie, więc mogłem pogra-

żyć się w myślach. Nie były wesołe. Podobnie jak prawda o Iwonie Horn, która prowadziła się w sposób niekonwencjonalny – jak by ujęła to moja elegancka matka, która chyba nigdy w życiu nie powiedziała niczego otwartym tekstem.

A więc te spotkania Iwony w kawiarniach, te spacery... Być może nie były tylko kaprysem zepsutej dziewczyny, może chodziło w tym o coś więcej. Wciąż nie potrafiłem uwierzyć, że mogła być tak cyniczna i zakłamana. Lecz jeśli to było prawdą, jeśli Iwona miała kochanków... Aż wzdrygnąłem się na tę myśl, przypominając sobie zdjęcia Zadurskiego. Ci mężczyźni, którzy dla mnie nie mieli twarzy, a tylko zamazane, podobne do siebie sylwetki, dotykali jej, szeptali namiętne słowa, całowali ją, a wreszcie być może kochali się z nią... To było trudne do zniesienia... Gdyby oddawała się dla pieniędzy z biedy, jak jakaś bohaterka naturalistycznych francuskich powieści, może umiałbym to zrozumieć. Ale dla kaprysu, zabawy? Nie, to było nie do pojęcia...

Nagle uświadomiłem sobie coś z przerażającą jasnością. Tak, to było to, co przeczuwałem do dawna. Nie tylko któryś z kochanków mógł ją zabić. Mógł to też zrobić Adam. Mistrz Szekspir nauczył mnie tego, że zazdrość jest wielką siłą, której nic nie zdoła pohamować. Jeśli Adam wiedział o innych mężczyznach, jeśli coś zobaczył lub sama mu powiedziała... W końcu kłócili się w ostatnim okresie życia Iwony bardzo często...

Przypomniałem sobie swoją nienawiść do Leona, gdy mi pokazał wisior i zaczął z nim uciekać. Adam mógł tak nienawidzić Iwony...

Wiedziałem, że nie ma na co czekać, musiałem go zaprowadzić do doktora Gruszewskiego i zmusić do wyznania prawdy. Wierzyłem, że weteran hiszpańskiej wojny potrafi wyciągnąć z niego, co trzeba.

Udało mi się złapać Adama po lekcji i namówić na wspólną wyprawę do domu. Wyłuma- czyłem mu, że Gruszewski, którego Milicz znał tak samo dobrze jak my wszyscy, znalazł coś ciekawego na temat śmierci Iwony. Nowy ślad, nową poszlakę. Dałem mu do zrozumienia, choć sam nie podejrzewałem się nawet o taką przewrotność, że może to mieć coś wspólnego z Leonem.

Złapał haczyk, a ja doprowadziłem go do mieszkania doktora. Kiedy szliśmy w milczeniu ulicą, miałem wrażenie, że idziemy na egzekucję, a przynajmniej rozprawę sądową. Byłem pewien, że rozwiązanie zagadki jest blisko.

Doktor przyjął nas w swoim gabinecie z wyliniałymi fotelami. Zaparzył herbatę, a potem długo przyglądał się Adamowi, który aż skurczył się pod tym spojrzeniem. Nie był jednak tchórzem, więc zebrał się w sobie i zapytał Gruszewskiego o Iwonę. Dodał, że słyszał ode mnie o jakichś nowych śladach.

– Liczyłem na to, że ty mi coś powiesz – doktor patrzył na niego świdrującym wzrokiem, a Adamowi zaczęły się tak trząść ręce, że o mały włos wypuściłby wyszczerbioną filiżankę. Najwyraźniej żałował, że tu przyszedł.

– Ja, ja nic nie wiem, panie doktorze... Naprawdę...

– Czyżby? – spytał lekarz zimno. – Jestem pewien, że jest inaczej. I że powiesz nam, jak było...

– Nie rozumiem, o co panu chodzi – bronił się Adam, który najpewniej zamierzał zerwać się z fotela i uciekać czym prędzej, ale doktor przejrzał go w lot i udaremnił ten pomysł.

– Drogi chłopcze. Uwierz mi. Nie jestem twoim wrogiem, bardzo chcę ci pomóc. Nie myśl, że nasze czyny nie pozostawiają śladów. Każdy pozostawia. Nie jesteś duchem ani mrówką, czy małą latającą ważką, żeby przemknąć niezauważenie. Tamtej nocy ktoś cię widział, Adamie.

Obaj podnieśliśmy gwałtownie wzrok, a ja aż krzyknąłem z przerażenia i szybko zakryłem ręką usta. A więc jednak! Nie pomyliłem się, to Adam zabił Iwonę z zazdrości.

Mój kolega blady i przerażony kręcił głową, jakby zaprzeczając wszystkiemu. Ręce nadal tak mu się trzęsły, że doktor ojcowskim ruchem wyjął mu z nich filiżankę; a w końcu Adam zaczął płakać.

Zrobiło mi się go żal. Jeśli rzeczywiście zabił Iwonę, dokonał strasznego czynu, ale do pewnego stopnia mogłem go zrozumieć, bo była to naprawdę zła istota, zepsuta i przewrotna. Jeszcze raz wspomniałem zdjęcia Zadurskiego i popatrzyłem na kolegę ze współczuciem.

Pochwylił mój wzrok, ale zinterpretował to inaczej, bo nagle powiedział z żarem w głosie:

– Ja jej nie zabiłem, panie doktorze, Filipie! Uwierzcie mi!

– Ależ wierzymy! – powiedział doktor. – Gdy wszedłeś do mieszkania, by odzyskać to, co umieściła tam wcześniej Brygada Światła i Mroku, Iwona Horn już nie żyła, prawda?

Adam spojrział na niego w zdumieniu.

– Skąd pan wie?

Doktor wzruszył ramionami i położył mu rękę na ramieniu.

– Ja ci wierzę, ale Filip nie wygląda na przekonanego. Opowiedz zatem tę historię od momentu, gdy rozstaliście się na Salwatorze. Pamiętasz, był wtedy Wielki Piątek, późne popołudnie.

Adam wzdrygnął się, jakby samo wspomnienie o tej sprawie sprawiało mu ból. Chwilę milczał, zbierając myśli, a potem zaczął opowiadać:

– Tamtego dnia od razu pobiegłem do mieszkania Mierzejewskich. Leon był wzburzony i wściekły, że Filip go gonił. Wrzeszczał coś o zemście: „Zabiję go!”, „Zginie marnie jak pies!” i tym podobne bzdury. Nie mogłem na niego liczyć, a w każdym razie nie w tym stanie, to było jasne. Leon się rozsierdził i zaczął wyśmiewać się ze mnie, że jestem tchórzem i pętakiem podobnym do Filipa. Jego zdaniem na takich jak my nie warto marnować czasu, bo jesteśmy fałszy-

wym pomiotem i tak dalej. On miał się chyba za jakiegoś nadczłowieka, który żyje poza dobrem i złem, kreując rzeczywistość na własną modłę.

Teraz myślę o tym wybuchu jako o objawie choroby psychicznej, wtedy, krańcowo rozdrażniony i zły na niego, postanowiłem się zemścić. Proszę nie pytać, dlaczego. Udzieliły mi się tak silne emocje, że chciałem mu dać nauczkę za jego pychę i arogancję.

Gdy tak miotał się w swoim pokoju, ja cicho wymknąłem się na korytarz i wziąłem z wieszaka jego płaszcz, ten w charakterystyczną jasną kratkę. Włożyłem go na siebie na schodach i uciekłem z mieszkania.

Tej nocy w płaszczu Leona udałem się do mieszkania Hornów. Miałem przy sobie medalion Iwony, którym Leon rzucił we mnie w gniewie, a ja go włożyłem do kieszeni. Otwarłem drzwi dorobionym kluczem. W mieszkaniu było cicho, nie paliło się żadne światło, co oznaczało dla mnie, że Hornowie wyjechali na święta, zgodnie z zapowiedzią. Ostrożnie wszedłem do holu i przy pomocy małej latarki znalazłem ścianę z obrazem. Miniatura była dokładnie w tym miejscu, gdzie ją powiesiliśmy, nawet nieznacznie ukryta za rzędem płaszczy na wieszaku. Zdjąłem obrazek i zacząłem rozglądać się za jakąś gazetą czy torbą, w którą mógłbym go owinąć. Przeklinałem siebie, że wyszedłem z domu nieprzygotowany. Snop światła z latarki omiótł podłogę i wtedy zobaczyłem Iwonę. Leżała na wznak, a na piersi miała wielką ciemną plamę. Nie miałem wątpliwości, że nie żyje – żaden człowiek nie mógł leżeć w ten sposób, gdyby był ranny. Stłumiłem gwałtowny okrzyk, bo w sekundzie zdałem sobie sprawę ze swego położenia. Zostawiłem obraz i rzuciłem się do drzwi. W tym momencie ktoś ostrożnie nacisnął klamkę od zewnątrz. Miałem tylko tyle czasu, by przeskoczywszy nad ciałem Iwony, ukryć się w jej pokoju. Drzwi były przecież otwarte, nie zamykałem ich dla bezpieczeństwa i by móc szybciej opuścić mieszkanie.

Mężczyzna, który wszedł do domu, był wysoki, choć przygarbiony, nosił obszerny przeciwdeszczowy płaszcz. Nie widziałem jego twarzy, bo zasłaniał ją wysoko postawiony kołnierz i naciągnięty na czoło kapelusz.

Podobnie jak ja miał latarkę. Tylko że on zauważył ciało od razu. Zaklął pod nosem w obcym języku, co zdziwiło mnie niepomniernie, po czym zbliżył się do Iwony i sprawdził jej puls. Oczywiście było, że dziewczyna nie żyje, a on tylko się upewnia. Robił to zresztą zdecydowanie, z dużą wprawą, tak jakby się na tym znał.

Podniósł się i zaczął się rozglądać po mieszkaniu. Nie szukał długo, bo od razu zauważył porzucony na podłodze obraz. Wyciągnął z kieszeni papier pakunkowy i owinął weń miniaturę. Zrobił dosłownie dwa kroki do drzwi i zniknął.

Odetchnąłem z ulgą, że mnie nie zauważył. Przerazające było to, że poruszał się bezszelestnie i zniknął jak duch. Nie miałem pojęcia, kim był. Jednego byłem pewien – przyszedł po obraz. Wiedział, że Turner tu jest, i szukał go. Nie interesowało go nic innego, zabrał płótno i odszedł.

Nogi kompletnie mi zdrętwiały, ale próbowałem równie bezszelestnie wydostać się z mieszkania. Kiedy przechodziłem koło ciała Iwony, spojrzałem na nią ostatni raz. Nie mogłem znieść widoku jej zimnych, pustych oczu. Miałem wrażenie, że patrzyła na mnie z wyrzutem, jakby mówiła: „Dlaczego mi nie pomogłeś?”. Tknięty impulsem wszedłem do salonu i po minucie przyniosłem stamtąd poduszkę, jedną z tych, które ozdabiały kanapę. Położyłem ją na twarzy Iwony, a jej szept, który ciągle słyszałem w głowie – ucichł. Wyjąłem z kieszeni medalion, starannie wytarłem go chusteczką do nosa, by nie zostawiać śladów, i położyłem obok jej dłoni. Pamiętałem jeszcze, że trzeba wytrzeć klamkę i skrzydło drzwi, którego dotykałem.

Wydawało mi się, że nikt mnie nie widział, gdy zbiegałem po schodach na ulicę. Potem wolnym krokiem wyszedłem na Karmelicką i chwilę krążyłem pobliskimi uliczkami, zanim wró-

ciłem do domu.

Dopiero tam, w moim zimnym pokoiku na poddaszu zrozumiałem, co się stało. A właściwie nic nie rozumiałem, ale próbowałem sobie to wszystko ułożyć w głowie.

Iwona Horn nie żyła. Ktoś ją zabił, gdy była sama w domu.

Być może padła ofiarą włamywacza, choć mieszkanie – na ile mogłem to ocenić – nie wyglądało na splądrowane.

Może więc to ja spłoszyłem mordercę? W końcu nawet nie dotknąłem jej ciała, by sprawdzić, jak długo nie żyje.

Przeszedł mnie dreszcz przerażenia. Jeśli spłoszyłem mordercę, to może ukrył się, podobnie jak ja, w którymś z pokoiów? Może w tym samym co ja? Czaił się więc w mroku, gdy przyglądałem się dziwnemu mężczyźnie, który zabrał obraz.

Dlaczego zatem mnie nie zabił? Wystarczyło, gdyby uderzył niepożądanego świadka czymś ciężkim w głowę lub wbił nóż w plecy...

Uświadomiłem sobie, że morderca, o ile oczywiście tam był, widział, co robię. Może zatem zorientował się, kim jestem?

I kim był ten drugi? Skąd wiedział, że obraz jest u Hornów, a że wiedział, to było pewne, przecież przyszedł specjalnie po tę miniaturę.

Od razu zacząłem podejrzewać ciebie, Filipie. Może to był ktoś od was? Może się wygadałeś? Może to był twój ojciec, którego nie znałem i nigdy nie widziałem... Pewny byłem tylko jednego – to na pewno nie byłeś ty, wysoki i szczupły, ale dużo młodszy.

Przez moją głowę przemknęło tysiąc podobnych myśli, zanim uświadomiłem sobie, że Iwona nie żyje.

Jakiegolwiek groziło mi niebezpieczeństwo i co się miało stać później – ona nie żyła. Leżała samotnie w korytarzu swego mieszkania, z twarzą nakrytą poduszką, a ja, tchórz – nie miałem odwagi zadzwonić na milicję i powiedzieć o tym.

Ta noc była straszna. Nie wiedziałem, co ze sobą zrobić. Chyba ze sto razy wstawałem z łóżka, żeby iść pod jej dom, i tyleż razy rezygnowałem z tego pomysłu. Ze zdenerwowania gryzłem palce do krwi i wrywałem włosy z głowy. Nigdy później nie czułem takiego wzburzenia, rozpacz i strachu.

Były to tak silne uczucia, że nad ranem, prawie majacząc, zastanawiałem się nad tym, czy nie popełnić samobójstwa.

Ciało Iwony znalazła jej rodzina następnego dnia po południu. Ulżyło mi, bo myśl, że leżała tam, w tym pustym i ciemnym korytarzu, napełniała mnie przerażeniem.

Potem ludzie zaczęli mówić o chłopaku w kraciastym płaszczu, a ja poczułem strach. Może jednak ktoś mnie widział? Może rozpoznał? Każdego dnia spodziewałem się wizyty milicji i na serio zacząłem obawiać się aresztowania.

Zamiast milicji zjawił się Leon. „Wynoszę się stąd” – powiedział bez wstępów. „Ta cała historia śmierdzi i nie zamierzam dać za nią głowy”. Ponieważ patrzyłem na niego chyba dosyć niemądrze, wzruszył ramionami i ciągnął: „Nie obchodzi mnie to, czy zabiłeś tę swoją drewnianą lalę. Bardziej martwi mnie to, że byłeś tam w moim płaszczu. Ale nie mam ci tego za złe. Wręcz przeciwnie, bracie, jestem z ciebie dumny, że potrafiłeś wznieść się ponad swoje ograniczenia. Zawsze byłem zdania, że Mann wiedział, co mówi, pisząc: »Dwie są drogi, które wiodą do życia: jedna to zwykła droga, prosta i prawa. Druga jest zła, wiedzie przez śmierć, i to jest genialna droga!«. Chętnie poszedłbym tą genialną drogą, ale raczej nie teraz i nie jako zabójca Iwony Horn. Wyjeżdżam ze starymi do Warszawy, ojciec chyba wreszcie wsadzi matkę do Tworek. Adieu, mon ami!”.

I tyle go widziałem. Płaszcz spaliłem, choć nie bez trudu, w naszym piecu.

Filip był chory, zresztą bałem się z nim rozmawiać. Po dwóch tygodniach morderca został schwytany. Nie sposób wyrazić tego, jak mi ulżyło.

To było jasne – Iwonę zamordował jakiś wróg jej ojca, miał oczywisty motyw. Poczułem się bezpiecznie. Odetchnąłem z ulgą, wróciłem do szkoły, do której nie chodziłem od śmierci Iwony.

Potem pojawił się Filip ze swoimi niejasnymi podejrzeniami i niedopowiedzeniami. Przeraziłem się. Filip z pewnością wiedział coś, o czym ja nie miałem pojęcia. Wróciły wątpliwości – w końcu ktoś zabrał obraz i byłem pewny, że to ktoś od niego, bo komu mogło na tym zależeć? Teraz pan mówi – tu Adam zwrócił się do Gruszewskiego – że widziano mnie tam... Zupełnie nie wiem, co robić... Boję się... Ale to naprawdę nie ja, ona leżała już martwa, gdy wszedłem, przysięgam! Przecież nawet milicja jest pewna, że to ten Maliszko!

Adam przerwał i popatrzył na nas bezradnie. Doktor miał wciąż zasepiony wzrok, a ja kręciłem się nerwowo na swoim fotelu.

– Wierzycie mi? – spytał. Żarliwie pokiwałem głową. W oczach Adama odmalowała się wielka ulga.

– Chłopcze – powiedział doktor cichym głosem. – Wierzymy ci obaj, a zwłaszcza ja, bo wiem, że mówiłeś prawdę. To ja przyszedłem wtedy do mieszkania Hornów i zabrałem obraz, to mnie widziałeś w korytarzu, gdy sprawdzałem puls Iwonie...

– Pan? – wykrzyknął zdumiony Adam i aż zerwał się w fotela. – Miałem rację! – powiedział po chwili i zwrócił się do mnie: – Cały czas cię podejrzewałem. Nie o morderstwo, rzecz jasna, ale o zdradę. Byłem pewien, że puściłeś farbę i wyznałeś komuś, najpewniej swemu ojcu, prawdę o Brygadzie Światła i Mroku. To logiczne. Zginął wam cenny obraz, ty znałeś sprawców. Pokłóciliśmy się, padło między nami wiele gorzkich słów, dochodził do tego element zemsty. Być może wzburzony tamtego dnia dałeś z siebie wyciągnąć tajemnicę. Tylko dlaczego odbieraliście obraz w taki sposób? – spojrzał na doktora pytająco. – Przecież był pan znajomym Hornów, mógł pan przyjść do nich, wyjaśnić wszystko, a nawet w ostateczności, po cichu, podczas wizyty zabrać miniaturę?

Doktor pokręcił głową.

– Nic nie rozumiesz... Filip nie powiedział o tym nikomu. Za bardzo się bał, o co zresztą mam do niego wielkie pretensje, bo może gdyby wcześniej się zdecydował coś wyznać, Iwona Horn by żyła...

Spuściłem głowę. Nie musiał nic mówić, sam wiedziałem, jaki popełniłem błąd. To wszystko było teraz widoczne jak na dłoni, zwłaszcza w obliczu tego, co usłyszeliśmy od Adama.

– Nie rozumiem – dobiegł mnie głos kolegi. – Skoro to nie Filip, to skąd pan o tym wiedział?

Doktor Gruszewski westchnął cicho, a potem zaczął mówić. Oczy Adama otwierały się coraz szerzej i szerzej. Rozumiałem jego reakcję, hiszpańska historia była naprawdę nieprawdopodobna.

– To dlatego nie wszczął pan alarmu – powiedział wreszcie cichym głosem. – Zastanawiałem się, czemu nikt choćby anonimowo nie zadzwonił na milicję... Tak się bałem...

Gruszewski miał rację, widać było, jak Adamowi spada z serca ogromny ciężar. Czulem natłok myśli – Adam wyraźnie się mnie bał, podejrzewał, że ja za tym wszystkim stoję, unikał kontaktów, wiedząc, iż nie jestem wobec niego szczerzy. Wszyscy zatem grali w jakiegoś gry. Zupełnie bezsensowne, ponieważ Iwonie to nie mogło zwrócić życia, a naszych sumień nie uspokajało.

Doktor znowu popatrzył na nas uważnym wzrokiem.

– Panowie. To wszystko, co sobie tutaj powiedzieliśmy, nie wyjaśnia sprawy śmierci Iwony. Ktoś ją przecież zabił, zanim obaj weszliśmy do tego mieszkania... Jestem pewien, że tym człowiekiem nie był Jacek Maliszko, szczególnie po tym, co właśnie usłyszeliśmy. Maliszko jest umyślowo chory. Jestem skłonny uwierzyć, że mógłby zastrzelić Horna na ulicy, ale przychodzić do jego domu, sztyletować córkę – to zupełnie nieprawdopodobne. Według milicji przez kilka dni obserwował dom na Batorego, a ja się dowiedziałem, że dopiero co wypuszczono go ze szpitala. Trudno zrozumieć, skąd miał adres prokuratora, jak się tam w ogóle znalazł i najważniejsze, jak opuścił mieszkanie. W końcu kiedy Adam przyszedł do Hornów, drzwi były zamknięte na klucz, którego przecież Maliszko nie miał... Opowiada przy tym jakieś niestworzone historie, że głosy kazały mu zabić Horna. Poza tym jak on wygląda – istny szaleniec! Wyobrażacie sobie, że samotna dziewczyna otwiera komuś takiemu drzwi? A on wyciąga wielki nóż i wbija jej go w pierś, nawet nie zadając żadnego pytania, bo wszystko toczy się w korytarzu? Nie...

– A potem być może ukrywa się i obserwuje nas – powiedział cicho Adam, a mnie przeszedł dreszcz. Doktor pokiwał głową.

– Tak, widzi nas w tym mieszkaniu i nikomu o tym nie mówi, nawet milicji, żeby się bronić... Już samo to wyklucza Maliszkę z grona podejrzanych! Nie, panowie, to nie on zabił Iwonę Horn, choć zapewne zostanie skazany za to morderstwo... My powinniśmy się martwić prawdziwym zabójcą. Jeżeli był tam jeszcze ktoś, być może rozpoznał nas obydwo. Byłoby to bardzo złe, bo miałyby nas w rękę, a nie wiadomo, co to za człowiek i do czego się może posunąć...

Kiwnąłem głową, uświadamiając sobie, że i tak zbyt wiele osób zna naszą tajemnicę. Co gorsza, znał ją zapewne i morderca Iwony... Straszne...

– Ja podejrzewam Leona – powiedział Adam i od razu, jakby naprawdę bał się tego, co powiedział, ukrył twarz w dłoniach. – On jest tak szalony, że mógł to zrobić...

– Ja sądzę, że to Zadurski – powiedziałem, bo ta myśl nie dawała mi spokoju od dawna. Adam podniósł głowę i popatrzył na mnie pytająco. Opowiedziałem mu bardzo oględnie o zdjęciach, pomijając milczeniem rolę Jakuba Sommera w całej tej sprawie.

Doktor wyciągnął papierosa i zapalił. Chwilę delektował się dymem, wypuszczając równe kółeczka.

– Obejrzałem jeszcze raz te zdjęcia – powiedział wolno i z namysłem. – Moim zdaniem on narkotyzował te dziewczyny...

– Narkotyzował? – nie rozumiałem, a Gruszewski skinął głową.

– W swojej karierze napatrzyłem się na ofiary narkotyków, a musicie wiedzieć, że szczególnie wiele było ich w czasie wojny. Gestapo z niejednego narkomana zrobiło kapusia, bo dostęp do morfiny był wówczas trudny... Te dziewczyny na zdjęciach... Filip zwrócił uwagę, że wszystkie miały podobny umęczony wyraz twarzy, taką dziwną i przerażającą pustkę w oczach. Tak właśnie wyglądają osoby odurzone narkotykiem... Od razu to zauważyłem, gdy spokojnie przejrzałem zdjęcia... To wiele by wyjaśniało...

– Co by wyjaśniało? Nie rozumiem... – spytał bezradnie Adam, a mnie znowu zrobiło się go żal. Najwyraźniej nie kojarzył tych faktów z plotkami, które krążyły o Iwonie. Biedny chłopak... Ja natomiast w lot zrozumiałem to, co chciał powiedzieć doktor. Jeżeli Iwona była uzależniona od narkotyków, być może właśnie prostytutką zarabiała na kolejne dawki. Bo że pieniądze na narkotyki nie dawali jej rodzice, było dla mnie więcej niż pewne. To nie są sumy równe kieszonkowemu...

– Mogła mieć znajomego lekarza, który wypisywał jej recepty – powiedziałem, bo nagle uświadomiłem sobie i taką możliwość.

Doktor skinął głową.

– Mogła. Sam znam kilku łapiduchów, którzy wypisałiby tak ładnej dziewczynie receptę na wszystko... Ona mogła zresztą zdobywać narkotyki w różny sposób... Czy ty, Adamie, nie uważałeś w jej zachowaniu niczego dziwnego?

Adam zastanowił się.

– Ona zawsze zachowywała się dziwnie – powiedział z bladym uśmiechem. – Chyba łatwiej byłoby mi odpowiedzieć na pytanie, czy nie zauważyłem, aby kiedyś zachowywała się normalnie...

– Łatwo wpadała w gniew – dodałem. – Czasami wydawała mi się wręcz agresywna, jak wtedy, gdy popchnęła Irenę podczas próby...

Adam skinął głową.

– Bardzo często nic jej się nie chciało, wszystko ją nudziło, drażniło. Ogólnie bywała bardzo rozdrażniona, czasami płakała bez powodu albo ze złości...

Spojrzałem na niego zdziwiony, a on czując na sobie mój wzrok, potwierdził:

– Tak było! Ostatnio bardzo często się kłóciliśmy... Ją wszystko denerwowało, każda uwaga, którą robiłem, była dobrym powodem... Czasami mam wrażenie, że ja jej wcale nie znałem... Nie miałem pojęcia, gdzie chodziła popołudniami, gdy nie musiała już być na próbach, z kim się spotykała... – zamilknął i pogрузzył się w niewesołych myślach. Współczułem mu. Na pewno z wielu rzeczy nie zdawał sobie sprawy, ale przecież nie był głupi... Nagle poczułem wielką ulgę, że moja miłość do Iwony była czysto platoniczna. Oczywiście cierpiałem, ponieważ nie zwracała na mnie uwagi, przeżywałem swoją porażkę, ale te cierpienia były niczym wobec bólu, jaki mogła zadać moim uczuciom i dumie. Tym bardziej żał mi się zrobiło Adama, który w tej właśnie chwili przeżywał gorycz zawodu, której mnie oszczędzono. Iwona nie żyła, co stanowiło już wystarczający cios, ale odkrycie jej prawdziwej natury naprawdę trudno było znieść.

Patrzyłem na niego ze smutkiem, a on w milczeniu przeżywał swoją rozpacz i rozczarowanie.

Doktor zgasił tymczasem papierosa energicznym ruchem.

– Sami widzicie. To są bardzo klarowne symptomy – zmienność nastrojów, impulsywność, kaprysy. Iwona brała narkotyki, a ktoś jej ich dostarczał lub dawał pieniądze. I możliwe, że to właśnie było powodem jej śmierci. Może miała się z kimś spotkać wtedy w domu? Wywiązała się kłótnia, szarpanina, bo na przykład brakło jej pieniędzy na zapłacenie jakiegoś długu? To są na razie domysły... Filip ma rację, powinniśmy się przyjrzeć panu Zadurskiemu...

– Tak – powiedziałem, bo dla mnie osobiście oblesny fotograf był najbardziej podejrzany.

– Tylko że ja wolę się tam nie pokazywać, a pana, doktorze, on świetnie zna...

Gruszewski skinął głową.

– Oczywiście. Dlatego panem Albinem zainteresuje się Adam...

Mój kolega poderwał głowę do góry i spojrzał na nas nieprzytomnie.

– Ja nie chcę się bawić w żadne śledztwa, od tego jest milicja, zresztą oni mają już tego Maliszkę...

Doktor roześmiał się tym swoim niepokojącym śmiechem.

– Milicja... Naprawdę dziwi mnie twoja naiwność... Ja chciałbym poznać mordercę Iwony, zanim stanie się moim zabójcą... Pamiętaj, że być może widział cię tamtej nocy.

Wyszliśmy z mieszkania doktora w nie najlepszych humorach.

Adam ciągle nic nie mówił, aż wreszcie, gdy już dochodziliśmy do bramy, zatrzymał się i powiedział, marszcząc brwi:

– Ja tam ciągle podejrzewam Leona...

– Daj spokój. Leon wyjechał do Warszawy, i tak go nie znajdziemy.

– To, że wyjechał, tylko świadczy przeciwko niemu – stwierdził Adam. – Zresztą, mówiłem ci – mnie się wydaje, że on wrócił...

Wzruszyłem ramionami. Adam chwycił mnie za łokieć.

– Zobacz, to wszystko pasuje! Jeżeli doktor ma rację, Leon mógł jej załatwić narkotyki! Ma ojca lekarza, sam brał przecież eter...

Miał rację. Zupełnie o tym nie pomyślałem. Poza tym Leon kręcił się tu wieczorami. Ciekawe, dlaczego? Może obserwował Iwonę? Adam niekoniecznie musi się mylić...

Nic się nie wyjaśniło, a domysłów miałem coraz więcej.

Niedługo później rozpoczął się proces Jacka Maliszki. Sprawa znowu wróciła na pierwsze strony gazet i stała się głośna. Chciałem iść na salę sądową, ale doktor uważał, że to nierozsądne, sam jednak nie zamierzał opuścić żadnej rozprawy.

Ze względu na ogromne zainteresowanie publiczności proces przeniesiono do dużej sali widowiskowej Zakładów Tytoniowych. Relacjonowała go Polska Kronika Filmowa, a dwie stołeczne gazety „Świat” i „Express Wieczorny” przysłały swoich komentatorów.

Doktor Gruszewski załatwił sobie – przez jednego ze swoich pacjentów, pracownika sądu – stałą wejściówkę i każdego dnia przysłuchiwał się obradom.

Jego zdaniem proces ten od początku zakrawał na farsę, a zeznania oskarżonego były nie logiczne i niewiarygodne. Maliszko twierdził, że przez kilka lat myślał o zemście na prokuratorze, który skazał mu brata, i zbierał wiadomości na jego temat. Kto mu je dostarczał do szpitala psychiatrycznego – tego nie potrafił wyjaśnić. W końcu, gdy udało mu się wyjść na świąteczną przepustkę, poszedł do kamienicy na Batorego i włamał się do mieszkania za pomocą łomu.

To ostatnie wydało się Gruszewskiemu szczególnie bzdurne, gdyż po pierwsze, na framudze drzwi nie stwierdzono żadnych śladów, a po drugie, najwcześniejsze doniesienia milicji mówiły coś zupełnie innego.

Dalsze tłumaczenia oskarżonego, że Iwona krzyczała i nie chciała powiedzieć, gdzie jest ojciec, także brzmiały nieprzekonująco. Jak również opis zabójstwa dokonanego przyniesionym przez Maliszkę nożem kuchennym. Gruszewski szczerze wątpił, czy jakkolwiek morderca, a nawet wariat pokroju Maliszki, wpadłby na taki pomysł.

Doktor kręcił się niespokojnie w ławce, ciekawy, jak zareaguje obrońca, znany krakowski adwokat. Mecenas Pluta wziął tę sprawę z urzędu, bo oczywiście rodziny Maliszki nie stać było na obrońcę, ale nie wykazał nawet minimum zaangażowania, by wydobyć swego klienta z oparów. Nie wystąpił nawet o badanie poczytalności Maliszki, który już na pierwszy rzut oka wydawał się niezrównoważony psychicznie – zapadał w długie momenty letargu, potem nagle podnosił głowę i błyszczącym wzrokiem rozglądał się po sali. Mecenas dowodził tylko, że Maliszko to typ kryminogeny, o morderczych skłonnościach, paranoik, który musi zabijać.

Gdy adwokat zakończył tak osobliwie rozumianą obronę, człowiek siedzący koło doktora prychnął. Był to młody mężczyzna, bardzo wysoki, w typie sportowca. Miał długie nogi szybko-biegacza i niesforną fryzurę; ubrany był gustownie w zagraniczne rzeczy, które w tamtym czasie można było dostać wyłącznie „na ciuchach”, jak nazywano miejskie i podmiejskie bazary. Nosił rozpiętą marynarkę z aksamitnymi kłapami i fryzurę à la zmarły niedawno Buddy Holly. Zresztą i okulary w kościanej ciemnej oprawie przypominały te, które nosił amerykański piosenkarz.

„Buddy Holly” już kolejny dzień zasiadał na tej samej ławce obok doktora i wypełniał niewielki zeszyt niezliczoną ilością notatek.

Gruszewski zainteresował się nim, słusznie podejrzewając, że to jeden z komentatorów prasowych procesu. Młody człowiek nazywał się Marek Wojna i jego ambicją była kariera pisarza lub przynajmniej podróżującego po świecie reportażysty, a nie sprawozdawcy sądowego.

– Ale jak się nie ma, co się lubi... – powiedział sentencjonalnie, gdy w przewie procesu wyskoczyli z Gruszewskim na piwo, bo jak się okazało, Wojna poznał już doskonale wszystkie okoliczne sklepiki i pijalnie, gdzie można było dostać ten trunek.

– A pan co? – zainteresował się. – Nudzi się panu w domu, że pan tutaj przychodzi?

Gruszewski udął obojętność i powiedział, że obserwuje proces z ciekawości. Zmarła dziewczyna była jego pacjentką, jedną z wielu zresztą, bo pracuje w ubezpieczalni, gdzie leczy sporą grupę młodzieży szkolnej.

– Jest pan lekarzem? – zainteresował się Wojna, popijając duży łyk swego piwa prosto z butelki, bo siedzieli w jednym z tak zwanych ogródków, czyli małych piwiarni, które przycupnęły nad Wisłą. – To może mi pan wyjaśni jedną rzecz. – Wyciągnął swój notatnik i oglądając się dokładnie na wszystkie strony, spomiędzy jego kartek wydobyl odblask, która bez wątpienia była milicyjnym zdjęciem z oględzin zwłok. Gruszewski pochylił się nad tym starannym powiększeniem tułowia Iwony z doskonale widoczną raną po nożu.

– Skąd pan to ma? – zainteresował się doktor, a dziennikarz szybko schował fotografię pomiędzy kartki notatnika.

– Nieważne, skąd mam – powiedział cicho. – Chodzi mi o to, czy uważa pan, że osoba praworęczna mogła zadać cios pod takim kątem.

Gruszewski jeszcze raz poprosił o fotografię i obejrzał ją dokładnie. Istotnie kąt wbicia ostrza w ciało był taki, że praworęcznemu sprawcy byłoby bardzo trudno tego dokonać.

Wojna pokiwał głową.

– No i widzi pan. A Maliszko nie jest mańkutem. Dobrze go obserwowałem podczas rozprawy. A skoro tak, to albo on jest niezwykle przebiegły i dla zmylenia śledztwa zadał cios lewą ręką, albo mają nie tego człowieka...

– Zwrócił pan na to uwagę jego adwokatowi? – zapytał Gruszewski, a Wojna pokręcił głową i znowu upił duży łyk piwa.

– Robiłem z nim wywiad. Nie wiem, kto jest bardziej szalony, on czy jego klient. Przedstawił mi tę swoją teorię o morderczych skłonnościach. Z godzinę opowiadał o koncepcji „zeza widlastego”. On zdaje się jakąś pracę naukową o tym napisał. Pożal się Boże specjalista psychologii sądowej. Na koniec było najlepsze: pytam go o różne nieścisłości tego śledztwa, na przykład skąd wzięła się ta poduszka na twarzy dziewczyny i dlaczego zerwał jej medalion z aniołem, a ten cały Pluta wpatruje się we mnie z coraz większym przerażeniem...

– I co? – zainteresował się Gruszewski, który poczuł do młodego dziennikarza nieoczekiwaną sympatię.

Wojna pociągnął jeszcze łyk piwa i odstawił pustą butelkę na ocynkowany stolik.

– Nagle on mi mówi: „Proszę pana, ja z panem nie mogę rozmawiać, bo pan też ma zeza widlastego”. I niech pan sobie wyobrazi, zerwał się od stołu i tyle go widziałem... Moim zdaniem to oni powinni przebadać psychiatrycznie i klienta, i jego adwokata, bo obaj są niespełna rozumu... – roześmiał się i poszedł do lady kupić jeszcze jedno piwo.

– A o samej sprawie co pan sądzi? – zapytał go cicho doktor, gdy Wojna wrócił z kolejną butelką.

Dziennikarz pokręcił głową.

– Moim zdaniem on tego nie zrobił. Pewnie i miał motyw, ale możliwości żadnych. Taka piękna dziewczyna nie wpuściłaby faceta o wyglądzie psychopaty do mieszkania, żeby ją zabił. Nie, to zrobił ktoś inny, ale milicja chce mieć szybko sprawcę, bo zginęła córka prokuratora i jeszcze przy okazji zrobi się z tego sprawę polityczną... A pan co myśli? Znał ją pan...

Doktor popatrzył na młodego człowieka z uwagą.

– Jestem lekarzem – powiedział po chwili. – Nie sędzią śledczym. Ten człowiek, Maliszko, przypomina mi chorych na psychozę maniakalno-depresyjną. On powinien siedzieć w Kobierzynie, a nie na ławie oskarżonych...

– Kobierzyn to takie tutejsze Tworki? – upewnił się Wojna. – Ja też się z tym zgadzam. Proces jest wyłącznie poszlakowy, ale coś mi zdaje, że na podstawie tych poszlak facet dostanie czapę, panie doktorze.

– Przyznał się – odparł Gruszewski, wpatrując się w przepływający Wisłą stateczek wycieczkowy. Jakież dzieci w chustach zawiązanych wokół szyi śpiewały na cały głos piosenkę pionierów.

– Tak, przyznał się – rzucił dziennikarz, także patrząc na statek i dzieci. – Ale nie ciekawi pana, kto ją naprawdę zabił?

„Nawet nie wiesz, jak bardzo” – pomyślał Gruszewski, ale powiedział co innego:

– Wątpię, żeby to się udało ustalić, w końcu milicja przeprowadziła śledztwo i doszła właśnie do takich wniosków, że zabójcą jest Maliszko...

– Milicja, milicja – roześmiał się Wojna. – Zadaniem milicji jest złapanie tego, kto jest najwygodniejszym sprawcą dla władzy. A tu najwygodniejszym był brat straconego partyzanta, bandyty, przedstawiciela reakcyjnego podziemia. Ja się zastanawiam cały czas, co mi w tej sprawie tak śmierdzi...

– A śmierdzi? – podchwycił doktor, a dziennikarz spojrzał na niego bystro i znowu się roześmiał.

– Panie doktorze, pan wygląda na porządnego człowieka, u nas mówią na takich „przedwojenny”, od razu widziałem, że z nudów pan na tę salę nie chodzi... Zwłaszcza że znał pan tę dziewczynę... Panu też w tym wszystkim coś nie pasuje... Nie wiem, może ktoś ją z zazdrości zabił, taka była przecież ładna... A może rzeczywiście z zemsty...

– Co pan ma na myśli? – zainteresował się doktor, ale Wojna nie chciał już odpowiadać, machnął tylko ręką, schował notatnik i wymownie popatrzył na zegarek. Przerwa już się dawno skończyła i trzeba było wracać do sądu.

– Ja już mam dosyć na dzisiaj – pożegnał się z nim Gruszewski. – Po południu dyżuruję w ubezpieczalni, dosyć już widziałem na jeden raz.

– Jak pan chce – Wojna uścisnął podaną rękę. – Ja idę posłuchać tych bredni Pluty. Muszę dzisiaj wysmażyć jakiś artykuł dla „Expressu” i szczerze mówiąc, zupełnie nie mam z czego.

Gruszewski roześmiał się, ale cały czas myślał o tym, co powiedział mu nowy znajomy.

Uczestniczenie w rozprawach okazało się nad wyraz pożyteczne. Następnego dnia doktor przyszedł do nas do domu i pod pretekstem, że potrzebuje pomocy w porządkowaniu biblioteki, wywołał mnie do siebie. Ja także miałem mu coś do powiedzenia.

– Adam śledził dzisiaj Zadurskiego – powiedziałem bardzo poruszony, gdy tylko dotarliśmy do mieszkania lekarza.

– I co? – zainteresował się, jak zwykle znikając w swej mikroskopijnej kuchence, by zrobić herbatę.

– Urwał się z lekcji o 11.00, kiedy otwierają zakład – relacjonowałem. – Pan Albin przyszedł punktualnie, otworzył budę, przez godzinę miał kilku klientów. I teraz coś naprawdę dziwnego – około południa zamknął zakład na cztery spusty i poszedł na spacer.

– Na spacer? – zdziwił się doktor, wręczając mi wyszczerbioną filiżankę. Skinąłem głową.

– Tak to wyglądało. Wybrał się do Parku Krakowskiego i przez trzy kwadransy siedział na ławce koło sadzawki.

– I co robił?

Wzruszyłem ramionami.

– O to chodzi, że nic. Po prostu siedział, nawet gazety nie wyjął, żeby poczytać. Przed pierwszą po prostu wstał z ławki i wrócił do zakładu. Adam mówi, że najpewniej dalej tam jest, bo od razu miał klientów i zajął się pracą.

– I z nikim się nie spotkał w tym parku? – upewniał się jeszcze doktor, a ja przytaknąłem. Adam nie rozumiał kompletnie zachowania Zadurskiego, który nie dość, że wcale nie wyglądał, jakby na kogoś czekał, bo wcale się nie niecierpliwił, to jeszcze tkwił tak długo w parku w bardzo nieprzyjemną pogodę.

– Do południa siąpił kapuśniaczek i okropnie wiało – relacjonowałem. – Adam cały czas chodził po parku, bo bał się, że Zadurski go zauważy, tak mało było ludzi.

– Ciekawe – powiedział doktor, ale najwyraźniej to nie rozterki Adama czy brzydka pogoda w parku tak go zainteresowały. Sięgnął na najniższą półkę szafy z książkami i spod sterty starych magazynów wyciągnął teczkę Jakuba Sommera.

– Od początku coś mnie w tej tezcze zastanowiło – powiedział. – Obejrzałem ją bardzo dokładnie i nie chodziło tylko o zdjęcia. Popatrz.

Spojrzałem na podsuniętą mi wewnętrzną stronę okładki. Była zapisana drobnym ołówkowym piśmem, niezbyt wyraźnym, tak jakby znaki stawiano w pośpiechu.

Były to ciągi cyfr i liter. Początkowo niewiele mi mówiły, później domyśliłem się, że oznaczają daty. Doktor potwierdził moje podejrzenia.

– Popatrz na te z końca marca – postukał palcem w okładkę. – 24.03.59 PK, 27.03.59 PK, dwie daty z Wielkiego Tygodnia, wtorek i piątek, dzień, w którym zabito Iwonę Horn.

– PK? – zapytałem, a on skinął głową.

– Park Krakowski. Albin Zadurski wychodził w te dni i spotykał się z kimś w parku, tak jak to dzisiaj zaobserwował Adam.

– Ale on się właśnie z nikim nie spotkał! – zaprotestowałem, oglądając dokładnie notatkę.

Co ciekawe, w marcu zaznaczono tylko te dwie daty, zaś pod piątkiem 3 kwietnia widniała notatka „PA”.

– Nie spotykał się, ale może odbierał lub zostawiał jakąś wiadomość. Albo czekał na jakiś sygnał.

– Jaki?

Doktor się zirytował.

– Skąd mogę to wiedzieć? Mógł czekać na kontakt albo obserwować punkt, z którego miał wziąć wiadomość lub zostawić swoją... Jakub Sommer nic na ten temat nie pisze, notuje tylko daty, gdy jego pryncypał wychodził, i miejsca spotkań.

– Śledził go? – spytałem, bo notatki były prowadzone w sposób wzorowy.

– Być może, ale pewnie obserwował, w którą stronę idzie. Dwa oznaczenia powtarzają się nieustannie. PK to Park Krakowski, a PA to Plac Axentowicza – dwa miejsca po dwóch stronach Placu Wolności, swoją drogą bardzo blisko centrali – roześmiał się tym swoim wilczym śmiechem.

Podерwałem głowę do góry i spojrzałem na niego z niedowierzaniem.

– Myśli pan, że Zadurski to konfident bezpieki?

Doktor wzruszył ramionami i spojrzał na mnie jak na małe ograniczone dziecko.

– Nie mów, że ty tak nie uważasz, bo będę miał cię za durnia. A myślisz, że w jaki sposób mógł tak długo pozostawać bezkarny?

– Mówi pan o śmierci Iwony Horn? – aż zadrzałem.

– Nie – w jego głosie znów usłyszałem irytację. – Mówię o tych zdjęciach. Uważasz, że taki zboczeniec faszerujący młode kobiety narkotykami uszedłby uwadze bezpieki? Szczerze wątpię! Jedna rzecz jest teraz ważna – musisz powiedzieć Adamowi, żeby przestał interesować się Zadurskim, bo to może być zbyt niebezpieczne.

Zerwałem się od stołu, by zaraz pobiec do kolegi, ale w tym momencie ktoś cichutko zastukał do drzwi. Popatrzyłem zaniepokojony na mego gospodarza, który jednak uspokoił mnie ruchem dłoni.

– Czekaj – powiedział i ruszył do maleńkiego przedpokoju, by otworzyć.

– Dzień dobry, panie doktorze – usłyszałem głos należący chyba do jakiegoś dziecka. – Pan doktor Janicki kazał to panu oddać.

– Dziękuję – powiedział Gruszewski i po niedługiej chwili wrócił do pokoju. W ręce trzymał kopertę, którą rozdarł w pośpiechu i chwilę czytał ze zmarszczonymi brwiami.

– To wiadomość od mojego przyjaciela, który pracuje w Zakładzie Medycyny Sądowej. Prosiłem go, by mnie zawiadomił, jak przywiozą mu zwłoki...

– Jakie zwłoki? – przeraziłem się i od razu przeleciały mi przez głowę podejrzenia związane z Leonem.

– Niezidentyfikowane zwłoki mężczyzny koło pięćdziesiątki – wyjaśnił spokojnie doktor, nakładając płaszcz i biorąc do ręki swój wysłużony kapelusz. – Idziesz? – rzucił jeszcze do mnie, a ja natychmiast zerwałem się z fotela i pobiegłem za nim.

– Dlaczego interesują pana niezidentyfikowane zwłoki? – szeptałem, gdy zamykał drzwi. Wiedziałem, że nie powinniśmy prowadzić tej rozmowy na klatce schodowej, ale byłem całkowicie wytrącony z równowagi tym, co powiedział, i nie liczyłem się z niczym, zapominając nawet o podstawowych zasadach bezpieczeństwa.

Doktor spokojnie zamknął drzwi na klucz, flegmatycznie nacisnął klamkę, sprawdzając, czy zamek dobrze trzyma, i wolno zszedł po schodach, a ja dreptałem za nim. W bramie odwrócił się i spojrzał na mnie surowo.

– Uważaj na to, co gadasz i gdzie! Nie interesują mnie każde niezidentyfikowane zwłoki. Mnie interesują mężczyźni w konkretnym typie: szczupli o ciemnych włosach. Chodzi o ciało Jakuba Sommera!

O mało nie krzyknąłem z wrażenia, ale w porę zakryłem sobie usta ręką. Doktor z jakichś powodów podejrzewał, że Jakub Sommer nie żyje. Tak, było to nawet logiczne – zniknął już ponad dwa tygodnie temu, nikt go nie widział, nie dał znaku życia (poza listem do mnie, ale trudno go było uznać za dowód, że nic mu się nie stało), nie zabrał nawet swoich rzeczy z mieszkania. Rzecz jasna w dobie wędrówek ludów, jakie ciągle miały miejsce w tym czasie, czy ucieczek na Zachód takie zniknięcie niekoniecznie musiało oznaczać najgorsze. Ale mogło.

– Jesteś gotowy na kolejną wycieczkę do prosektorium? – zapytał doktor, a ja aż stanąłem w miejscu z przerażenia. – Nie namawiam cię, bo widok na pewno nie będzie przyjemny, ale pomógłbyś mi zidentyfikować zwłoki Sommera, bo to może być trudne. Jeżeli to oczywiście on...

– Dlaczego? – spytałem, nie zastanawiając się nawet nad tą straszną propozycją. Odpowiedź na pytanie, czy chciałem ponownie odwiedzić prosektorium, brzmiała: nie, ale z drugiej strony pragnąłem dowiedzieć się, czy Jakub Sommer nie żyje.

– Píše mi tu doktor Janicki, że zwłoki wyciągnięto z wody, zatrzymały się przy pogłębiarkach na Zabłociu. Milicja nie zna ofiary, nikt też nie zgłosił zaginięcia takiego mężczyzny. Idziesz?

Skinąłem głową. Oczywiście, bałem się, ale ostatnimi czasy miałem już dosyć własnego strachu. Rozmowa w domu doktora, ta, w której uczestniczył też Adam, uświadomiła mi, że moje tchórzostwo mogło kosztować życie Iwonę Horn. Być może stało się również przyczyną śmierci Jakuba Sommera. Nawet nie chciałem o tym myśleć, bo na samo wspomnienie robiło mi się słabo. Przypomniałem sobie wers z Juliusza Cezara Szekspira, ten, którym kiedyś przegrałem pojedynek na cytaty z Adamem Miliczem: „Tchórz, zanim umrze, kona wiele razy, walecznych jedna tylko śmierć spotyka”. Uświadomiłem sobie, że zdanie to powinno brzmieć inaczej: „Tchórz, zanim umrze, wielu śmierć przyniesie”. Ojciec zawsze powtarzał, że strach jest gorszy niż grzech pierwородny, ale teraz pomyślałem, że lęk po prostu jest grzechem pierwородnym. Można go zmasać wyłącznie odwagą.

Pospieszyłem za doktorem Gruszewskim, który szybkim krokiem zdążył na przystanek tramwajowy przy Basztowej. Kiedy zobaczył, że idę za nim, zatrzymał się i położył mi rękę na ramieniu.

– Pamiętaj chłopcze, że kiedy wejdziemy do Zakładu Medycyny Sądowej, masz niczemu się nie dziwić i nie zadawać żadnych pytań. Mój znajomy zawiadomił mnie dyskretnie i tylko w zaufaniu... Rozumiesz chyba...

Skinąłem głową. Resztę tego krótkiego spaceru odbyliśmy w milczeniu. Każdy z nas zastanawiał się nad swoimi podejrzeniami. Doktor zapewne myślał o Jakubie Sommerze. Jeżeli były to jego zwłoki, to skąd się wzięły na stopniu wodnym na Zabłociu i czy ktoś go zabił? Jeśli tak, to czy coś wspólnego miał z tym Albin Zadurski lub jego mocodawcy?

Ja z kolei miałem przed oczyma Iwonę Horn. Przypomniałem sobie teraz z detalami wizytę w Zakładzie Anatomii i wrażenie, jakie zrobiły na mnie zwłoki nieznanego dziewczyny. Zrozumiałem, że Iwona po śmierci zapewne także trafiła do medycyny sądowej na Grzegórzecką. Robiono tam sekcje zwłok wszystkich ofiar przestępstw, także tych niezidentyfikowanych. Sama myśl o tym, że ktoś kroił jej ciało, wydała mi się wstrętą. Niszczyć tę delikatną, piękną tkankę skóry, naruszać jej urodę... Wzdrygnąłem się, bo podchodziłem do tego jak niegdyś Leon, gdy przedstawiał mi zalety konserwowania ciał zmarłych płynem iniekcyjnym. Chyba rzeczywiście traciłem zmysły. Skupiłem się więc na osobie Jakuba Sommera. Ciało topielca nie wygląda zapewne ładnie; z literatury pamiętałem, że zwłoki takie są napuchnięte i obrzmiałe. Oczywiście

strach mnie obleciał i nie chciałem tego oglądać, ale siłą woli zmusiłem się do odzyskania równowagi. Faktycznie, jeśli Sommer długo przebywał w wodzie po śmierci, może być problem z jego rozpoznaniem. Czy mi się to w ogóle uda? A właściwie, czy będę potrafił spojrzeć na zwłoki w takim stanie? Na pewno zemdleję lub zwiomiotuję, przynosząc doktorowi wstyd. „Weź się w garść” – zgañilem się surowo. Zaczęło mi ciążyć własne tchórzostwo, patrzyłem na siebie z boku zniesmaczony tym, jak potrafię się mazgaić. Brzydziłem się sobą za to, że jestem taki słaby. Mój ojciec potrafił w obozie w Mirandzie zabić strażnika, żeby utorować sobie drogę do wolności, a był niewiele straszy ode mnie; ja bałem się spojrzeć na trupa człowieka, którego być może sam przywiódłem do śmierci!

Potrząsałem głową. Nadszedł czas, by zacząć odpowiadać za swoje czyny i wybory.

Nadjechała „siódemka” i zawiozła nas w stronę Grzegórzek. Tam przy ulicy Grzegórzeckiej 16 mieścił się Zakład Medycyny Sądowej należący do Wydziału Lekarskiego UJ. Był to kolejny stary gmach z końca XIX wieku, który nieco przypominał siedzibę mojego liceum, tylko w zwielokrotnionej skali. Różnił się jednak bardzo od Zakładu Anatomii, który odwiedziłem z Leonem. Tamten budynek usytuowany był w urokliwym, choć zaniedbanym ogrodzie, a schody i kolumnienki ozdabiające fronton dodawały mu lekkości. Tutaj ponure gmaszysko, ciemne i odrapane, wylaniało się wprost z chodnika ulicy Grzegórzeckiej, a dwa duże boczne skrzydła zdawały się ocieniać cały kompleks jak skrzydła kruka. Gdy zbliżyłem się do budynku, podobieństwo tej siedziby śmierci do mojej szkoły stało się jeszcze wyraźniejsze. Podwyższona o pół piętra fasada z półokrągłymi oknami do złudzenia przypominała mi liceum, a gdy przekroczyliśmy próg, okazało się, że nawet podłoga z charakterystycznych dwukolorowych kamiennych kostek jest taka sama.

– Czuję się tu jak w szkole – mruknąłem do doktora, który popatrzył na mnie nieprzytomnie. Pracownia doktora Janickiego znajdowała się na parterze, po prawej stronie. Gruszewski zapukał i po chwili weszliśmy do niewielkiego pomieszczenia.

Doktor Janicki wyszedł nam na spotkanie. Był to niewysoki przygarbiony mężczyzna o dosyć niezgrabnych ruchach. Jednocześnie miał sympatyczną twarz o szczerych oczach. Przywitał się z nami i posadził przy swoim biurku, zawalonym stertą papierów. Od razu zrozumiałem, że prowadzi jakąś pracę naukową, być może uczy studentów, bo piętrzyły się tu rozmaite testy i prace zaliczeniowe oraz kopie artykułów z różnych pism, także zagranicznych.

Gruszewski przedstawił mnie jako swego pomocnika, dobrego znajomego zaginionego, a doktor Janicki nie wyglądał na jakoś szczególnie zainteresowanego moją osobą, bo przyjrzał mi się z roztargnieniem i tylko przelotnie. Potem zrozumiałem, że patolog rzadko dziwił się cze-mukolwiek, co najwyraźniej było wpisane w zawód, jaki wykonywał.

– Przywieźli to ciało wczoraj – mówił, zwracając się do nas. – Zwłoki kilka dni leżały w wodzie na Zabłociu, więc nie są w jakimś szczególnie dobrym stanie, ale można je rozpoznać. Facet na pewno się nie utopił, ktoś wrzucił jego ciało do wody już po śmierci.

– Nie miał wody w płucach – domyślił się Gruszewski, a jego kolega skinął głową.

– Woda zimna, więc trudno ocenić dokładny czas śmierci. Nie przebywał w niej zapewne dłużej niż kilka dni...

– Skąd pan to wie? – spytałem zaciekawiony, a lekarz sądowy popatrzył na mnie, jakbym się urwał z choinki.

– Przede wszystkim ręce: pod wpływem wody skóra się maceruje, robi się biaława i pomarszczona. To się nazywa „skóra praczeki” ...

– Albo „rękawiczki śmierci” – dodał doktor Gruszewski. – Mniej więcej po dwóch – trzech tygodniach ta skóra oddziela się od ciała, schodzi właśnie jak rękawiczka...

– To prawda – potwierdził Janicki. – Tutaj do niczego takiego jeszcze nie doszło, czyli zwłoki leżały w wodzie krócej niż dwa tygodnie. Ten objaw nie ma nic wspólnego z temperaturą cieczy – zawsze występuje. Poza tym ciało prawie wcale nie jest obrzęknięte, a to zaczyna się około trzech dni po dostaniu się do wody... Zresztą sami zobaczycie. – Włożył klucze do kieszeni fartucha i wyprowadził nas na zewnątrz. W korytarzu po lewej, gdzie znajdowały się sale sekcyjne, zatrzymał się i kazał nam się przebrać w ochronną odzież. Bałem się tego wyłowionego z wody ciała. Nieco pocieszył mnie fakt, że nie napuchło. Wyobrażałem sobie zwłoki rozdęte do monstualnych rozmiarów i być może ogryzione przez ryby. Aż przeszedł mi po plecach dreszcz obrzydzenia.

Gdy weszliśmy do sali prosektoryjnej, zdziwiłem się, że była tak duża – mieściła chyba trzy lub cztery stoły, ściany pokryto białymi kaflami, a do wnętrza pomieszczenia sączyło się blade światło z podwórza. Janicki nic nie mówiąc, otworzył jedną z szuflad lodówki i pokazał nam nieboszczyka.

– Oficjalnie mężczyzna NN, znaleziony na Zabłociu. – Odrzucił prześcieradło, a ja aż krzyknąłem, patrząc w martwą, lekko zabarwioną na zielono twarz Jakuba Sommera. Odwróciłem się, tłumiąc mdłości.

– To nasz człowiek. Dziękuję ci, Stefan – powiedział Gruszewski spokojnym głosem.

Doktor Janicki wskazał na niewielką ranę w klatce piersiowej.

– Jak widzisz, on nie utonął. Ślady otarć na ciele mogą pochodzić od śruby barki, przy której wyłowiono zwłoki. Najważniejsza jest jednak przyczyna zgonu, pojedyncza rana kłuta o głębokości kanału 12 centymetrów drążąca do prawej jamy opłucnej. Uszkodzenie naczyń międzyżebrowych i prawego płuca, także przepony. Przyczyna śmierci – wykrwawienie. Ktoś go po prostu pchnął nożem.

– Rozumiem – powiedział doktor Gruszewski, pochylając się nad ciałem. – Czy mógł to zrobić ktoś leworęczny?

Janicki nawet się nie zastanawiał.

– Mańkut? Jak najbardziej, zwłaszcza gdy zobaczy się, pod jakim kątem zdano cios! Sam o tym pomyślałem, nawet zgłosiłem to milicji...

– I co oni na to? – zainteresował się doktor.

Janicki wzruszył ramionami.

– Nie byli jakoś szczególnie zainteresowani. Zapisali i tyle ich widziałem, zresztą wszystko jest w raporcie z sekcji. Po te zwłoki nikt się nie zgłosił, mieliśmy je przekazać do badań dla studentów, a pochować na koszt Zakładu. No ale skoro rozpoznaliście denata, to czeka mnie powtórka z rozrywki, czyli wznowienie procedury...

Gruszewski położył mu dłoń na ramieniu.

– Stefan, to jest nieoficjalne rozpoznanie, tak jak nieoficjalna była moja prośba... To człowiek samotny, pozbawiony rodziny, ja go znałem, nikt go nie będzie szukał... Niech wszystko pozostanie tak, jak było, i nie wspominaj o nas nikomu, po co nam kłopoty... Tobie, że wpuściłeś nas tutaj, a nam, że zidentyfikowaliśmy zwłoki...

Janicki nakrył ciało Jakuba Sommera prześcieradłem i ponownie wsunął do lodówki.

– Dobrze, mnie to nic nie obchodzi. Decyzja o przekazaniu tych zwłok do badań już zapadła; czekamy tylko na sygnał z milicji...

Doktor poklepał kolegę po plecach.

– I niech tak pozostanie...

– Jeszcze jedno – zatrzymał go Janicki. – Ja prowadzę takie swoje małe studia na temat ciosów tego typu i jestem praktycznie pewny, że ranę tę zadał mężczyzna...

Gruszewski odwrócił się z zainteresowaniem, a patolog kontynuował:

– Zauważyłem, że statystycznie kobiety częściej zdają ciosy od góry, tnąc po skosie w dół. Mężczyźni odwrotnie – wbijają ostrze od dołu i ciągną w górę. – Wymownym ruchem podniósł zaciśniętą pięść, jakby markując uchwyt noża, i przesunął rękę do góry. – Dlatego też rany zadawane przez kobiety są głębsze, bo działa na nie siła grawitacji. Tutaj, moim zdaniem, atakował mężczyzna. Silny mężczyzna, który wiedział, jak uderzyć raz, żeby zabić. Nożownik.

Pożegnaliśmy się i wyszliśmy spiesznie z budynku. Obejrzałem się za siebie, żegnając się w myślach z Jakubem Sommerem. Dziwna rzecz. Słabo go znałem, nie rozumiałem, i muszę przyznać – na początku traktowałem jak wariata, ale czułem żal, że zginął. Szczególną przykrość budził we mnie fakt, że człowiek ten, w końcu mój sąsiad i znajomy, zostanie pochowany w beziemiennym grobie. Podzieli los milionów swoich rodaków, którym Hitler zgotował właśnie taki koniec – w anonimowych mogiłach, bez tabliczki z nazwiskiem i łez bliskich. Była to bardzo nieprzyjemna i dręcząca myśl. Czułem też wstyd, bo przecież to ja skazywałem Jakuba na taki los. Wystarczyło upierać się przy identyfikacji zwłok. Ale z drugiej strony wiedziałem, jakie to niebezpieczne. Sommera ktoś zabił, a morderca ten – podobnie jak zabójca Iwony Horn, był na wolności. To sprawiało, że i ja bałem się o swoje bezpieczeństwo. Dlaczego jednak doktor pytał Janickiego, czy ciosy mogły być zadane lewą ręką? Zapytałem go o to i opowiedział mi o spotkaniu z redaktorem Wojną w sądzie.

– Czyli jedna osoba mogła zabić Iwonę i Jakuba Sommera – powiedziałem pobiełałymi wargami. Doktor skinął głową.

– Rozumiesz, co to znaczy?

Wiedziałem. Sommera nie mógł zabić Jacek Maliszko, bo od dłuższego czasu siedział w więzieniu. Zabójca był zatem na wolności i zagrażał nam wszystkim.

– Skąd ten dziennikarz wiedział, że morderca Iwony jest mańkutem? – zapytałem, gdy szybkim krokiem zmierzaliśmy w kierunku przystanku tramwajowego pod Poczta Główną. Minęliśmy narożną kamienicę przy Łazarza, a czająca się w ozdobnym wykuszu muru kamienna chimera o dziwnej twarzy patrzyła na nas nieodgadnionym wzrokiem.

– Podejrzewam, że ten adwokat Maliszki, mecenas Pluta, pokazał mu materiały ze śledztwa, bo skąd by miał zdjęcie zwłok Iwony... Ten Wojna dużo wie... – zamyślił się, a mnie coś przyszło do głowy.

– Panie doktorze, ja mam takiego kolegę w szkole, Michała Webera, jego matka przyjaźni się z jakimś redaktorem „Dziennika Polskiego”. I ten Michał opowiadał mi, że w „Dzienniku” jest wysłannik warszawskiej gazety, który relacjonuje proces. To Michał mówił mi, że Iwona... No wie pan... Sypiała z mężczyznami za pieniądze...

Doktor zwolnił kroku i zastanowił się przez chwilę.

– Mam wrażenie, że Wojna ma dostęp do akt, może dzięki Plucie, a może przez „Dziennik”, takie plotki nie powstają bez powodu. Tego typu informacje mogły być w którymś z zeznań świadków...

– Ale dlaczego nie zostały wykorzystane, sprawdzone? – nie rozumiałem.

Doktor zasepił się.

– Wojna ma rację, powiedział, że władza wybiera takiego sprawcę, jaki jej najbardziej odpowiada. Co do sprawy Maliszki mógł wnieść fakt, że Iwona Horn oddawała się za pieniądze? Przecież nie jemu, bo dwa dni wcześniej wyszedł ze szpitala i cały akt oskarżenia opiera się na fakcie, że chciał pomścić brata... Wydaje mi się, że ten Wojna powiedział mi coś jeszcze, o czym zapomniałem, a co jest bardzo ważne...

Mruczał do siebie, a ja byłem coraz bardziej przerażony. Iwona nie żyła, Jakub Sommer

nie żył, Maliszko siedział w więzieniu za nie swoje grzechy, a morderca, całkowicie bezkarny, chodził sobie po mieście... A jeżeli widział wtedy doktora i Adama Milicza? Czy teraz ich życie jest zagrożone?

Doktor najwyraźniej pomyślał o tym samym, bo wskazał mi nadjeżdżający tramwaj „0”, który kursował okrężną trasą wokół Plant, i powiedział:

– Znajdź Adama i uprzedź go, żeby był ostrożny. Niech pod żadnym pozorem nie śledzi Zadurskiego i najlepiej w ogóle się nie oddala od dużych skupisk ludzkich. Choć najbezpieczniej byłoby, gdyby zniknął, wyjechał, ale tego zapewne nie da się zrobić...

Pożegnałem się z nim i wsiadłem do tramwaju. Chwilę patrzyłem, jak szybkim krokiem pokonuje przejście dla pieszych i zmierza do budynku prasy przy Wielopolu. Rozległ się dzwonek, tramwaj odjechał, a doktor, nie oglądając się za siebie, zniknął w szklanych drzwiach „krążownika Wielopole”, jak od czasów przedwojennych nazywano ten niezwykle wieżowiec z imponującymi czterema kolumnami, sięgającymi czwartego piętra.

Zbudowano go w latach 30. jako siedzibę domu towarowego Bazar Polski. Później osiadł w nim „Ilustrowany Kurier Codzienny”, a po wojnie „Dziennik Polski”.

Doktor miał tu znajomego – jeden z dziennikarzy był jego pacjentem. Gruszewski pomagał mu zazwyczaj wyleczyć się ze skutków przepicia. Co prawda nigdy tu nie zaglądał, ale wiedział, że redaktor pracuje na piętrze. Dopytał strażnika i po chwili był już we właściwym pokoju.

Redaktor Domaniecki nudził się właśnie jak mops. Zakończyli zbieranie artykułów do numeru i w redakcji panowało miłe rozprężenie, toteż wizytę Gruszewskiego przyjął z radością.

Doktor wyjaśnił mu, iż akurat był sprawdzić oferty w biurze ogłoszeń i stwierdził, że to dobra okazja, by odwiedzić dziennikarza.

Ten poklepał go kordialnie po plecach i wyciągnął z szafki przy biurku napoczętą butelkę.

– Dobrze doktor zrobił! Właśnie wypuściliśmy kolejny numer w świat, jest co świętować!
– Chwilę poszperał w szafce, aż wyciągnął dwie charakterystyczne szklanki z mocnego szkła z dwoma grubszymi pierścieniami przy górnym brzegu. W takich właśnie cylindrycznych szklankach produkowała musztardę krakowska firma Ankor, spadkobierca przedwojennej fabryki Gablenzów. Doktor uśmiechnął się i przyjął „kieliszek”, myśląc przez chwilę o Janku Gablenzu, z którym chodził do jednej klasy, a który nigdy nie odnalazł się po wojnie.

– Co słyhać w mieście, panie redaktorze? – zapytał Gruszewski, a dziennikarz zaśmiał się tubalnie. Oprócz miłości do mocnych alkoholi pielęgnował jeszcze wielkie uczucie do tłustych potraw, co odbijało się na jego tuszy i zdrowiu. Doktor wielokrotnie przestrzegał go przed złą dietą i fatalnymi nawykami, ale Domaniecki nic sobie z tego nie robił. Klepał się tylko po swoim wydatnym brzuchu i ledwo łapiąc oddech, odpowiadał, że jedyną formą sportu, jaką zwykł uprawiać, jest podnoszenie do ust kieliszka lub widelca.

Teraz też się śmiał, aż dostał zadyszki.

– To chyba pan, doktorze, powinien mi powiedzieć! Wy, lekarze, wszystko wiecie od swoich pacjentów. Nie ma plotki, której medyk by nie znał!

– Może tak – uśmiechnął się doktor. – Ale nas podobnie jak spowiedników obowiązuje tajemnica zawodowa.

– To tak jak dziennikarzy! – dodał Domaniecki i pociągnął porządny łyk ze swojej szklanki. Wzdrygnął się, otarł usta wierzchem dłoni i obejrzał naczynie z resztką trunku pod światło. – Dobra, psiajucha, mocna! To z tej meliny koło kapliczki, wie pan...

Gruszewski nie zdążył nic odpowiedzieć, bo do pokoju wsunął głowę Wojna.

– Niech pan wchodzi! – ryknął Domaniecki, machając w jego kierunku butelką. – To nasz kolega ze stolicy – wyjaśnił Gruszewskiemu, który właśnie odwrócił się w stronę drzwi. Marek Wojna wyglądał na zaskoczonego, gdy zobaczył swego znajomego z sądu, ale nie dał po sobie poznać, że doktor nie jest mu obcy, i uściśnął podaną dłoń. Chwilę rozmawiali we trzech i popijali wódkę z meliny, gdy młody pomocnik odwołał Domanieckiego do telefonu.

– Szukałem pana – powiedział Gruszewski do Wojny, kiedy za grubym dziennikarzem z trzaskiem zamknęły się drzwi i zostali sami.

– Tak? – zdziwił się tamten. – Czy coś się stało?

– Wydaje mi się, że miał pan dostęp do protokołów z przesłuchań świadków i sekcji zwłok...

– Iwony Horn, tak? – upewnił się tamten.

– Tak. Bardzo chciałbym je przejrzeć, szczególnie zależy mi na zeznaniach świadków... Wojna pokręcił głową.

– To nie jest takie proste. Zbajerowałem tego specja od zezna widlastego, wie pan, mówię o mecenasie Plucie, żeby mi je pokazał, ale udało mi się zrobić tylko kilka notatek i gwizdnąć to jedno zdjęcie. Mogę panu pokazać, ale muszę wiedzieć, co się dzieje...

Gruszewski upił ze swej szklanki i popatrzył bystro na dziennikarza.

– To wbrew pozorom małe miasto, i od dawna huczy od plotek... Doszły mnie słuchy, iż ludzie rozpowiadają, że Iwona Horn była prostytutką... Jestem pewny, że i pan coś o tym wie, a być może było coś na ten temat w aktach sprawy.

Wojna wzruszył ramionami, a potem zastanowił się przez chwilę.

– Czytałem o tym na pewno... Ktoś złożył takie zeznanie... Jeden z sąsiadów tej zamordowanej.

– A nie pamięta pan, który? – dopytywał się Gruszewski. – To bardzo ważne...

Dziennikarz popatrzył na niego z uwagą i chwilę się zastanawiał.

– Pójdę po notatki. Ale nie ma nic za darmo! Chciałbym wiedzieć, dlaczego tak to pana interesuje.

Doktor patrzył na niego, jakby oceniał, czy może mu zaufać. W końcu westchnął tylko i powiedział:

– Wczoraj wyłowiono z Wisły trupa sąsiada Iwony Horn z raną kłutą w piersi, zadaną przez mańkuta.

– Żartuje pan! – krzyknął dziennikarz i aż poderwał się od stołu. Chwilę chodził po pokoju, a w końcu usiadł naprzeciwko Gruszewskiego.

– Jak dawno nie żył? Miesiąc?

Gruszewski pokręcił przecząco głową.

– Sommer zaginął jakieś dwa tygodnie temu. Lekarz nie jest pewny, kiedy dokładnie nastąpił zgon, ale zwłoki nie leżały w wodzie dłużej niż kilka dni.

– Jeżeli tak, to by oznaczało...

Gruszewski skinął głową. To by oznaczało, że Iwony Horn nie zabił Jacek Maliszko.

– Jeżeli oczywiście jedna osoba dokonała tych dwóch morderstw – powiedział Wojna, a doktor pokiwał głową.

– I tu by się przydał protokół z sekcji. Rany na ciele tego człowieka były bardzo charakterystyczne, patolog od razu wpadł na to, że zbił go leworęczny.

– A co na to milicja? – zapytał Wojna.

– Nie obchodzi ich to. Człowiek został zaklasyfikowany jako NN i tak ma pozostać.

Wojna chwilę przypatrywał mu się z uwagą, obracając swoją szklankę w dłoniach.

– Ale to oznacza...

– Tak – przerwał mu doktor. – To dokładnie to oznacza...

– Kurwa mać! – zaklął dziennikarz i jednym łykiem wychylił zawartość literatki. Doktor Gruszewski milczał, obracając w rękach kapelusze.

– Chodźmy – powiedział Wojna. – Pokażę panu te notatki.

Wyszli z pokoju dokładnie w tym momencie, gdy truchtem, z zadyszka wracał do niego zaczerwieniony na twarzy Domaniecki.

– Dokąd idziecie? – spytał, wyraźnie rozczarowany.

– Wódka się skończyła – wyjaśnił Wojna. – Skoczę „pod kapliczkę”.

Domaniecki poklepał go po plecach.

– Skocz, skocz, kochanieńki! Pytaj o panią Helę i powołaj się na mnie!

– Jak zwykle! – rzucił z uśmiechem Wojna i wskazał Gruszewskiemu schody w górę. – Mam pokój na ostatnim piętrze, taką małą klitkę, ale wygodną.

Doktor obejrzał się jeszcze, ale Domaniecki straciwszy zainteresowanie kolegami, zniknął już w swoim pokoju. Przeszli do kanciapy dziennikarza. W niewielkim pomieszczeniu panował bałagan, najwyraźniej było to jakieś podręczne archiwum, bo piętrzyły się w nim stare numery gazet, szczołki korektorskie artykułów oraz niezbyt udane zdjęcia. Wojna odgarnął papiery z krzesła i wskazał je Gruszewskiemu. Doktor usiadł ostrożnie, zauważywszy, że krzesło ma jedną nogę kulawą.

Dziennikarz chwilę grzebał w czeluściach biurka, a w końcu wyciągnął plik papierów, spiętych gumką.

– To moje notatki – wyjaśnił i zaczął nerwowo przewracać kartki, czytając zapisane tam informacje. – Mam! Ten sąsiad, który wspomniał, że Horn mogła oddawać się za pieniądze, nazywa się Sommer, Jakub Sommer...

– Obecnie leży w kostnicy, jako zwłoki NN z raną kłutą w piersi – odparł Gruszewski, a dziennikarz wypuścił z rąk zapiski.

– Wolałbym, żeby pan żartował, ale sądzę, że mówi pan poważnie... – powiedział ostrożnie, a lekarz skinął głową.

– Niech mi pan pokaże notatki dotyczące sekcji i to zdjęcie...

Dziennikarz przewrócił kilka kartek i podsunął mu fotografię.

– Właściwie niewiele tu mam – rzekł. – Zapisałem sobie, że rana miała około dziesięciu centymetrów głębokości, zdana nożem, kanał drążący dziesięć centymetrów do prawej opłucnej. Ostrze wbite od dołu i idące po skosie w górę, ale to chyba nie ma już znaczenia.

– Wręcz przeciwnie – powiedział Gruszewski. – To właśnie ma znaczenie. Mój kolega patolog, który badał tamte zwłoki, powiedział, że takie rany zadają mężczyźni. I to dobrze operujący nożem.

– Nożownicy – stwierdził domyślnie Wojna. – Od razu o tym pomyślałem, gdy zobaczyłem zdjęcia. Fachowo zadany cios. Przypomina mi to tę ubiegłoroczną sprawę z Ameryki, co ciękawe, wszystko wydarzyło się również przed Wielkanocą. Córka aktorki Lany Turner zabiła tak nożem kochankę swej matki, Johnny'ego Stompanato.

– Ach tak – powiedział z roztargnieniem lekarz. – Słyszałem o tej zbrodni. Nie sugeruje pan chyba, że zabójstwa Iwony Horn i Jakuba Sommera dokonała ta amerykańska nastolatka.

– Nie. Sugeruję tylko, że to nie musiał być fachowiec. Córka Turner, Cheryl Crane, uderzyła jak zawodowy nożownik, zabiła faceta jednym doskonale wymierzonym ciosem, a przecież nie miała w tym doświadczenia.

– Chyba nie uważa pan, że amator zabił w ten sposób dwie osoby? – obruszył się Gruszewski.

– Jeżeli te dwie zbrodnie mają coś ze sobą wspólnego! – Wojna usiadł na stole i zaczął obgryzać ołówek. – Iwona Horn zabita przez włamywacza – taki był pierwszy wątek śledztwa, mimo iż nic nie zginęło; później przyjęto, że zabił ją Maliszko w zemście za skazanie brata. Jakub Sommer zaginął dwa tygodnie temu, a jego zwłoki odnaleziono w wodzie z podobną raną w piersi. Ale czy koniecznie musiał go zabić morderca Iwony Horn? Niech mi pan wybaczy, ale po nazwisku sądzę, że Sommer był Żydem, może to jakieś jeszcze wojenne porachunki?

Gruszewski wzruszył ramionami.

– To był człowiek samotny, nie miał z nikim zatargów, był całkowicie niegroźny, nie miał wrogów... Ale kto wie? Nie znałem go dobrze... Może ktoś się chciał na nim zemścić...

– Albo on na kimś – podchwycił Wojna. – Tylko nie wyszło to tak, jak się spodziewał.

– Być może – powiedział doktor zmęczonym głosem i zaczął się żegnać, mimo iż dziennikarz zatrzymywał go; chciał jeszcze rozmawiać o tej sprawie, ale Gruszewski nie miał już na to ochoty. Cieszył się wręcz, że podejrzenia Wojny poszły w tym kierunku, nie potrzebował zainteresowania dziennikarza z Warszawy. Zamyślił się nad sposobem, w jaki odebrano życie Iwonie Horn i Jakubowi Sommerowi. W Hiszpanii widywał ludzi zabitych pojedynczym ciosem noża. Zwykle były to skrytobójcze ataki tajnych służb szkolonych w Związku Radzieckim. Jeden z hiszpańskich przyjaciół z jego oddziału opowiadał mu o takich treningach. Sowieckie służby specjalne uczono zadawać takie zabójcze, pojedyncze ciosy. Było dziesięć podstawowych ciosów nożem, a ten, którym zabito Iwonę i Jakuba Sommera, wymagał chwytu przekątnego rękojeści przekładającego się na dźgnięcie skierowane na klatkę piersiową. Gruszewski przypomniał sobie, że taki cios wymuszał ułożenie palca na tylnej stronie klingi. „Pewny uchwyt, pewny cios” – pomyślał doktor. Pamiętał nawet jednego takiego nożownika, którego złapali, gdy szykował się do akcji. Miał przepiękny nóż z damasceńskiej stali produkowany w uralskim mieście Złatoust. Gruszewski długo przyglądał się grawerunkom i ornamentyce na ostrzu oraz wspaniałej rękojeści z prasowanej skóry. Tym nożem ów człowiek zabił kilkadziesiąt osób (a może więcej?), o czym doktor – którego naprawdę niewiele było w stanie poruszyć – myślał z drżeniem serca. Pamiętał nawet rozmowę, która wówczas się wywiązała z hiszpańskimi towarzyszami. Joaquin Navarro, przyjaciel Nina, uważał, że walka nożem jest rodzajem szlachetnej sztuki, wymagającej sprytu i doskonałej taktyki. Gruszewski twierdził, że zabójczy cios zadany nożem nie różni się niczym od strzału snajpera, a w technikach zabijania nie widział żadnej poezji. Uważał wówczas, że podczas wojny najważniejsza jest skuteczność i unikanie strat własnych, czego walka na noże nie gwarantowała. Musiał jednak przyznać, że w skrytobójczych atakach taka broń sprawdzała się idealnie. Cicho, szybko i bez śladu.

Wszystko to w kontekście śmierci Iwony Horn było bardzo niepokojące. Bardzo...

Ja w tym czasie szukałem Adama Milicza. Nie było go w domu ani w szkole, choć na popołudnie zaplanowano próbę – premierę sztuki zapowiedziano w końcu na sobotę. Irena Nowakowska, która starała się zostać moją najlepszą koleżanką, powiedziała mi tylko, że Adam nie zjawił się w auli, czym doprowadził dyrektora do szału.

– Może polecę go poszukać – powiedziałem i zacząłem wycofywać się do drzwi. Przyszło mi na myśl podejrzenie, że pewnie Adam nadal śledzi fotografa Zadurskiego, a przecież miałem go przed tym przestrzec.

Niestety, nie udało mi się chyłkiem opuścić sali, bo zauważył mnie dyrektor, który w otoczeniu uczniów zajmujących się obsługą techniczną przedstawienia oraz kilku aktorów stał pod oknem i coś wykrzykiwał głośno.

– O, Dobrowolski! – zawołał do mnie tubalnie, gdy już prawie byłem w drzwiach.

Odwrociłem się niechętnie i krzyknąłem:

– Panie dyrektorze! Pójdę poszukać Adama, wiem, gdzie mieszka!

Oczywiście zdawałem sobie sprawę, że Adama nie ma w domu, ale nie byłem na tyle głupi, by zdradzać swoje prawdziwe plany.

– To już niepotrzebne! – rzucił dyrektor, przedzierając się w moim kierunku. – Nie będziemy szukać naszej primadonny, która ma taki stosunek do SZTUKI. Gdy Milicz się pojawi, ja sam z nim porozmawiam, a na razie ty go zastąpisz...

– Ja??? – przeraziłem się nie na żarty. – Ale przecież nie mogę, nie dam rady...

– Ależ dasz radę – wtrąciła się przymilnie Irena. – Przecież ty jeden znasz całą sztukę na pamięć...

– Właśnie – dodał Michał Weber. – Mógłbyś zastąpić nas wszystkich! – i zaśmiał się złośliwie. Zdenerwowałem się. Wiedziałem, że Michał chciał mi dokuczyć. Wszyscy doskonale zdawali sobie sprawę z moich teatralnych ambicji, w realizacji których przeszkadzał mi brak talentu. Wiadomo, w takim środowisku beztalencie z ambicjami to najlepszy obiekt kpin. Poza tym przecież musiałem ostrzec Adama.

Niestety nic się nie dało zrobić. Dyrektor zarządził wznowienie próby. Biedny Tadek Braun musiał przejąć obowiązki suflera, bo na scenie pojawiła się Salomea Bécu grana przez Irenę, co zmuszało podpowiadacza do maksymalnej koncentracji.

Irena brnęła przez swoją rolę całkiem gładko, a ja nerwowo przerzucałem kartki skryptu. Wejście Adama Milicza i od razu ostry sztych – monolog Kordiana na Mont Blanc. „No nic – pomyślałem – jakoś dam radę, w końcu jestem tu na zastępstwie!”. Wyliczyłem sobie, że jeżeli uda mi się szybko odbębnić tę scenę, to do kolejnego wejścia mam ponad 20 minut, jeśli oczywiście przedstawienie potoczy się zgodnie z planem. To wystarczająca przerwa, by skoczyć do atelier Zadurskich i wrócić. Wziąłem się w garść i spojrzałem na pierwsze zdanie monologu: „Tu szczyt... Lękam się spojrzeć w przepaść świata ciemną...”. Dziwne, ale dokładnie tak się czułem! Wiedziałem, ba, byłem pewny, że rozwiązanie zagadki śmierci Iwony Horn jest już blisko, ale bałem się tej chwili, tego, czego mogłem się dowiedzieć...

Wyszedłem na scenę i zacząłem mówić. Gdy doszedłem do słów: „Czarne skrzydła myśli nad światem rozwinę”, aż przeszedł mnie dreszcz. Całe to śledztwo, wszystko, do czego doszliśmy z doktorem, to były właśnie te czarne skrzydła myśli. Upiorne cienie, które spowijały cały

nasz świat. Mrok... Ktoś powiedział, że stare grzechy rzucają długie cienie. To prawda. Tak właśnie to czułem. Cała sprawa Iwony Horn, gęsta od nieudomówień i splotów okoliczności, obarczona była cieniem starych grzechów. Dlaczego zginął Jakub Sommer? Nie wierzyłem w przypadek, niemożliwe, że został po prostu napadnięty i zabity w jakiejś sprzeczce czy napadzie rabunkowym. Sommer zginął tuż po mojej wizycie w zakładzie fotograficznym. Kim był Albin Zadurski? Jaką tajemnicę ukrywał? Przestałem koncentrować się na sztuce, próbie i szkolnym przedstawieniu. Deklamowałem monolog Kordiana, a myślami byłem daleko. Wydarzenia, których stałem się świadkiem, sprawiły, że szkolna rzeczywistość oddaliła się ode mnie, wydawała się nierealna, nieprawdziwa. My tu odgrywamy jakieś sztuczki, gdy morderca Iwony wciąż być może jest na wolności i zagraża doktorowi i Adamowi. Co ja właściwie tutaj robię? Powiniennem natychmiast wyjść i szukać Adama! A ja z lęku przed dyrektorem zostałem w szkole i zabawiam się graniem w amatorskim przedstawieniu!

Skończyłem. Otrzeźwiła mnie dopiero dziwna cisza panująca w auli. Rzadko się to zdarzało, bo podczas prób zawsze panował gwar – dziewczyny gadały, osoby pojawiające się w dalszych częściach powtarzały swoje kwestie. Grupa techniczna bezceremonialnie omawiała kolejne zmiany dekoracji, nawet dyrektor nieustannie coś mruczał do swego asystenta. Tym razem cisza była taka, że aż w uszach dzwoniło. Spojrzałem z niepokojem na dyrektora, który przechylony przez poręcz krzesła, służącego mu za oparcie, wpatrywał się we mnie hipnotycznie. Irena, siedząca po jego prawej stronie, w pierwszym rzędzie widowni, kręciła głową, zaś Tadek Braun wychylił się ze swojej budki i zaczął bić mi brawo. Po chwili gromkie oklaski przetoczyły się przez całą aulę, a Irena zerwała się ze swego miejsca i rzuciła mi się na szyję.

– Byłeś świetny, Filipie! Genialny! – Odsunąłem ją z niepokojem, bo zawstydził mnie jej histeryczny entuzjazm.

Dyrektor uderzył otwartą ręką w tekst sztuki i powiedział:

– Tak. Dobrowolski pokazał nam, jak należy grać ten monolog. Mój drogi! – zwrócił się do mnie. – Znakomicie, po prostu znakomicie! Mówiłem, że masz talent, który wykorzystamy w następnych przedstawieniach! A ja się nie mylę w takich sprawach...

Zeskoczyłem ze sceny zawstydzony i zdenerwowany. Nigdy nie lubiłem, gdy patrzyło na mnie zbyt wiele osób, co jak dzisiaj sędzę, zamykało mi drogę do kariery aktorskiej. Nie miałem w sobie ducha solisty, zawsze występowałem w grupie.

Michał Weber podszedł do mnie i zaczął mi nieszczerze gratulować:

– No, no, stary powinien poważnie się zastanowić, czy nie zabrać roli Kordiana Adamowi i nie oddać tobie – powiedział z lisim uśmiechem, a mnie przypomniało to o zadaniu, które powinienem wykonać. Technicy zaczęli właśnie przygotowywać kolejną scenę, a Irena dyskutowała z Tadkiem Braunem. Oznaczało to, że jeżeli uda mi się dyskretnie opuścić salę, mam ponad kwadrans. Tym razem zdecydowałem się wyjść tą drogą, którą kiedyś uciekł mi Adam. Przemknąłem koło Tadka i Ireny, która usiłowała mnie zatrzymać, ale ja się wyrwałem i szybko zniknąłem w garderobie. Na szczęście nikogo w niej nie było i niezauważony zszedłem schodami na parter. Boczna bramkę oczywiście zamknięto, ale otwierało się ją od wewnątrz na prosty zamek z zasuwką. Po chwili znalazłem się na ulicy i pędziłem w kierunku atelier Zadurskich. Im bardziej jednak zbliżałem się do zakładu, tym wolniej szedłem, rozglądając się na boki. Nigdzie nie widziałem Adama. Zaryzykowałem nawet wyprawę na podwórko atelier, ale i tutaj go nie spotkałem. Z jednej strony bardzo mi ulżyło, a z drugiej czułem wielkie zaniepokojenie – gdzie on się podział? Zacząłem się denerwować i martwić. Może stało się coś nieprzewidzianego? Woląłem nie myśleć nawet, co. Spojrzałem na zegarek, by zorientować się, ile mam czasu do swego kolejnego wejścia na scenę. Zostało mniej niż dziesięć minut, więc pędem pospieszyłem do szkoły. W budynku przeskakiwałem po dwa schody naraz, żeby jak najszybciej wrócić do auli. Byłem

pełny najgorszych przeczuć, a najbardziej rozstroiło mnie to, że nie spotkałem Adama nigdzie po drodze.

Jak się okazało, zupełnie niepotrzebnie się denerwowałem – Adam Milicz dotarł właśnie na próbę i w tym momencie przepowiadał sobie akurat tekst pod kierunkiem Tadka Brauna. Zobaczył mnie od razu i pomachał ręką; precyzyjnie się w jego stronę.

– Podobno dobrze mnie tu zastępowałeś – powiedział, ale wyraźnie myślał o czymś innym.

– Słuchaj – szarpnąłem go za rękę. – Doktor prosił, żebyś już nie chodził do Zadurskich, to bardzo ważne!

Popatrzył na mnie ze zdziwieniem.

– Nie chodziłem tam! Stało się coś istotnego, ale powiem ci po próbie, zaczekaj na mnie! Skinąłem głową i poszedłem na swoje miejsce suflera. Mijając mnie, Michał Weber uśmiechnął się złośliwie.

– Krótka kariera, co? Gwiazdor szybko wrócił, żebyś mu przypadkiem nie podwędził roli...

Spojrzałem na niego ze zdumieniem. Trudno mi było zrozumieć tę jego zawiść i złość. Miałem wrażenie, że największą przyjemność sprawia mu intrygowanie i szczucie innych na siebie. Nie lubił ani mnie, ani Adama, ale mimo iż nie przynosiło mu to żadnej korzyści, próbował knuć jakieś spiski i starał się skłócić zespół. Nie rozumiałem tego wówczas, ale obecnie świetnie rozpoznaję takich ludzi. Radość daje im cudze zmartwienie i przykrość. Są bezkompromisowi w dążeniu do sławy i realizacji własnych celów, a gdy przy okazji udaje się jeszcze kogoś pognać, ich radość sięga zenitu. Nie pytajcie mnie, jak potoczyła się dalsza kariera Michała Webera. Wielu zna go przecież z ekranu kina czy telewizji. Nawet teraz, choć zestarzał się i stracił nieodwracalnie swój młodzieńczy powab, wciąż ma szeregi wielbicieli i wielbicielek. Ja jednak zawsze widzę go w jednej roli – Jula Słowackiego w naszym szkolnym przedstawieniu – i pamiętam tę lisią minę, gdy z całkowicie bezinteresowną złośliwością próbował skłócić mnie z Adamem. I jestem mu wdzięczny za ową cenną lekcję – są ludzie, których bezwzględnie powinniśmy unikać.

Próba zakończyła się wreszcie, a ja poszedłem do Adama, starając się zgubić gdzieś Irenę, która przyczepiła się do mnie jak rzep.

W końcu wymknęliśmy się starą drogą koło rekwizytorni.

– Leon wrócił – powiedział wreszcie Adam, gdy nogi zaniosły nas już daleko od szkoły, gdzieś w okolice ulicy Wenecja.

– Jak to? – nie wierzyłem. – Widziałeś się z nim?

Adam skinął głową.

– Nie uwierzysz. Przyszedł do mnie do domu. Podobno likwidują swoje stare mieszkanie, bo wyjeżdżają za granicę.

„Likwidują” – pomyślałem. „Dobre sobie, tam nie było już nic do zlikwidowania, mieszkanie przy Puszkina stało puste od tygodni”.

– Za granicę – powtórzyłem nieuważnie.

– Tak, do RFN – wyjaśnił Adam. – Oni są podobno Niemcami... Dostali dokument podróży, z adnotacją, że nie są obywatelami polskimi...

Patrzyłem na niego szeroko otwartymi oczami. Leon miał być Niemcem? Wolne żarty! Nawet nie mówił za dobrze w tym języku, jego toporny słowiański akcent był równie dobrze słyszalny jak mój.

Adam zastanawiał się przez chwilę, zanim powiedział:

– Nie wiem. Podobno jego matka jest Niemką, a to jakaś akcja łączenia rodzin czy coś w tym rodzaju... W każdym razie wyjeżdżają na stałe...

Chwyciłem Adama za ramię.

– Słuchaj! Czy on ci powiedział coś o śmierci Iwony?

Adam patrzył na mnie uważnie, a ja powtórzyłem gorączkowo:

– Mówił coś? Chodźmy do niego albo lepiej – zabierzmy go do doktora! On z niego wszystko wyciągnie tymi swoimi psychologicznymi metodami...

Adam nic nie mówił, a ja szarpałem go za ramię.

– Słyszysz mnie? Na co czekamy?

Mój kolega najwyraźniej nie zamierzał ruszyć się z miejsca.

– Powiem ci coś – stwierdził po chwili. – Leon nie chce się z nami widzieć, boi się...

– Boi się? – przerwałem. – Ale czego? Czyżby jednak miał coś wspólnego z tym morderstwem?

Spojrzał mi prosto w oczy.

– Leon powiedział mi, że to od niego Iwona dostawała recepty na lekarstwa, podkradał je ojcu i innym lekarzom w klinice... Czasami zabierał coś z szafek. Był w tym dobry, bo tak samo zaopatrywał się w eter. Mówił, że spotykał się z Iwoną, ale nigdy nie przychodził do niej do domu, to raczej ona bywała u niego...

– U niego? – przerwałem. – No to szanowny ojciec i matka musieli się zdziwić...

Adam pokręcił przecząco głową.

– Leon powiedział, że zaglądała do tej jego pracowni w piwnicy. Podobno opowiedział jej o swoim pomysle konserwowania zwłok. Mówił, że była zachwycona i zastanawiała się, którą koleżankę można by było unieśmiertelnić w ten sposób. Ponoć najbardziej podobał się jej pomysł, by poddać tanatopraksji Irenę Nowakowską... Śmiała się, że jej tatuś, major Nowakowski, bardzo by się zdziwił...

Uderzyło mnie to, co powiedział. Pamiętałem doskonale ten dzień, gdy Leon podczas próby snuł marzenia o zakonserwowaniu ciała Ireny. Dlaczego właśnie ona? Nie była zbyt atrakcyjna, wręcz przeciwnie, dosyć przecięta, a ponoć Leon chciał zachować na zawsze tylko piękne obiekty. Nie rozumiałem tego.

– Leon wiedział o Zadurskim – mówił dalej Adam, zupełnie nie zwracając uwagi na moje zmieszanie. – Orientował się, że Albin fotografował te dziewczyny, Iwona mu to wyznała. Leon potem chodził do zakładu fotograficznego...

– Po co? – nie mogłem zrozumieć.

Adam wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia, po co. Nie chciał powiedzieć. On się strasznie boi. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego...

Zatrzymałem się.

– Adam, chodźmy do niego, ja myślę, że on coś przed nami ukrywa... Dawał recepty Iwonie, znał się z Zadurskim... – przez chwilę zastanawiałem się, czy nie powiedzieć mu, co na temat Zadurskiego sądzi doktor, ale powstrzymałem się. To mogło być niebezpieczne, sam sobie nie ufałem, a co dopiero komuś innemu.

Adam niechętnie zgodził się i ruszyliśmy w kierunku alei Puszkina, przy której znajdowała się willa Mierzejewskich. Wiosna była już w całej pełni i ogród domu się zmienił. Gdy przychodziłem tu zimą, wszędzie straszyły suche badyle, gnijące liście i okaleczone drzewa o połamanych gałęziach, w których ptaki nie chciały zakładać gniazd. Teraz to miejsce, mimo iż dalej zaniedbane i pełne zielska, wyglądało zupełnie inaczej. Zieleń zastąpiła porozbijane płyty chod-

nikowe, przewrócone drzewa. Nadała mu pewnej łagodności. Dziki ogród wabił i przyciągał zimną zielenią liści. Gdzieś na końcu tej sieci pnączy, zarośli i traw znajdowały się drzwi do willi. „Jaskinia pająka” – pomyślałem sobie o Leonie, bo jego eksperymenty (lub tylko to, o czym opowiadał) z powolnym wysączaniem krwi z ciała ofiary i napełnianiem jej jadem kojarzyły mi się z działaniem tego zwierzęcia.

Pchnęliśmy zardzewiałą bramkę, by wejść do środka. Długo pukaliśmy do drzwi mieszkania, ale nikt nam nie otworzył. Adam z wyraźną ulgą usiadł na schodach, ale ja nie zamierzałem rezygnować. Miałem nadzieję, że moja determinacja i natarczywość opłaca się. Istotnie – otworzyły się drzwi naprzeciwko i wyjrzała z nich rozzłoszczona sąsiadka.

– No, czego kawaler tak hałasuje? – powiedziała, a ja próbowałem wyjaśnić, że chcieliśmy odwiedzić szkolnego kolegę.

– Nie ma Mierzejewskich. Byli, ale wyjechali – powiedziała i miałem wrażenie, że czyni to z wielką satysfakcją. – Wczoraj wyjechali – dodała jeszcze, obrzucając nas uważnym spojrzeniem. – A wy co? Pożegnać się z kolegą przyszłości?

– Tak – powiedziałem niechętnie. – Chodziliśmy razem do klasy...

Kobieta wzruszyła ramionami i nie mówiąc nic więcej, zatrzasnęła drzwi. Adam wstał ze schodów i rzucił mi wyczekujące spojrzenie. Tak. Sam wiedziałem, że trzeba już iść. Leon Mierzejewski przestał dla nas istnieć, stał się niewyraźnym, choć niepokojącym wspomnieniem. Wiele pytań dalej pozostawało bez odpowiedzi.

Gdy przechodziliśmy przez ogród, poczułem przemożną potrzebę obejrzenia się za siebie. Spojrzałem w okno mieszkania Mierzejewskich. Podarte firanki, jakby ktoś je zerwał z karnisza, wisiały w brudnych oknach. Naprawdę nikt tu nie mieszkał od dłuższego czasu. Czy więc to wszystko zdarzyło się naprawdę? Czy też ja wymyśliłem sobie, że Leon ma jakiś udział w tej całej dziwnej sprawie? Sam nie wiedziałem. Moją uwagę zwróciło coś innego. W oknie sąsiedniego mieszkania stała dziewczyna, może w moim wieku lub nieco starsza, i przyglądała mi się. Miała długie włosy i owalną, bladą twarz. Gdy zorientowała się, że ją zauważyłem, wykonała szybki ruch dłonią, coś jakby machnięcie czy pospieszne skinienie, i zniknęła za firanką. Chwilę patrzyłem jeszcze w jej okno, ale nie pojawiła się więcej, zresztą Adam wołał mnie zniecierpliwiony od furtki.

– Muszę już iść – powiedział, ściskając mi rękę na pożegnanie. – Mam trochę pracy z biura matki...

Patrzyłem, jak odchodzi szybkim krokiem, nie czekając na mnie. Najwidoczniej nie chciał już dłużej rozmawiać. Nie goniłem go. Miałem niejasne, ale dojmujące wrażenie, że uciekł się z wyjazdu Leona. Fakt, że nie zastaliśmy go w domu, przyniósł mu wyraźną ulgę. Ale dlaczego? Czy dowiedział się jednak od Mierzejewskiego o czymś, o czym nie chciał mi powiedzieć? Znowu zacząłem nabierać podejrzeń.

Ruszyłem w przeciwną stronę, niż odszedł Adam, by się przypadkiem z nim nie spotkać. Szedłem wolnym krokiem i po chwili usłyszałem za sobą pospieszny stukot obcasów. Odwróciłem się i zobaczyłem dziewczynę z okna. Najwyraźniej biegła właśnie za mną, bo na jej twarzy zobaczyłem wyraz ulgi.

– Ty jesteś Filip? – zapytała, a ja skinąłem głową, przyglądając się jej. Była wysoka, prawie równa wzrostem ze mną, i miała długie jasnobrązowe włosy. Takiej fryzury nikt nie nosił, bo królowały wówczas albo porządnie zaplecione warkocze, albo okropne, przypalone żelazkiem loczki. Lekko zezowała orzechowymi oczami, co nadawało jej twarzy rozczulająco nieporadny wyraz. Moją uwagę zwróciły jej nogi – nosiła niemodną spódnicę o trapezowym kroju z jakiegoś okropnego burego sukna, spod którego wyłaniały się najszczuplejsze nogi świata uwieszone w dziwacznych trzewikach. Większość dziewcząt w szkole nosiła solidne szkolne półbuty

ze skóry lub modne baleriny, w których stąpały lekko jak elfy. Ona miała najbardziej niezwykle buty, jakie dotąd widziałem. Na jakimś dziwnym słupkowatym obcasie, i to bardzo wysokim. W ogóle nie wyglądała jak moje koleżanki, które nadużywały pudru, depilowały wąsko brwi i robiły sobie fryzury à la Laureen Bacall (oczywiście po przyjściu ze szkoły). Patrzyłem na nią w osłupieniu, bo była naprawdę piękna. Nietypowa. Inna. Miałem przy tym wrażenie, że już ją kiedyś widziałem.

– Od razu cię poznałam – powiedziała ona. – Leon opowiadał mi o tobie...

– Znasz Leona? – zainteresowałem się, a on skinęła głową w taki sposób, że pasma prostych włosów opadły jej na twarz. Odgarnęła je machinalnie ręką.

– Tak. Mieszkam w tej willi. Wychowuje mnie ciotka – powiedziała to jakimś dziwnym tonem, więc od razu zrozumiałem, że dziewczyna była lokatorką mieszkania naprzeciwko Mierzejewskich, a ową ciotkę mieliśmy właśnie okazję oglądać z Adamem.

– Ty już tu kiedyś byłeś – powiedziała tymczasem, przyglądając mi się z bliska. Nadal zezowała, więc domyśliłem się, że jest krótkowidzem i – pewnie z próżności – nie nosi okularów. Skinąłem głową, ale nie zmierzałem opowiadać o mojej wyprawie do piwnicy Leona.

– Zawsze podobał mi się wasz ogród – powiedziałem zamiast tego wymijająco i obojętnie.

– O, tak – odparła, unosząc brwi do góry. – Prawdziwy „opuszczony ogród”: „Drzewa rozrosły się zdziczałe i gąszcz, co wszędy się rozbieżał, nie wpuszczał owiec ni pasterza, jedynie dziecko małe”.

– Elizabeth Barrett Browning – powiedziałem z uśmiechem. – Powinnaś porozmawiać z moją siostrą, ona uwielbia tę poetkę...

– Twoja siostra? – podchwyciła, a ja skinąłem głową.

– Tak. Znasz ją? Może chodziłyście razem do szkoły, przed chorobą Elizy? Ona uczyła się w Nałkowskiej...

Dziewczyna wydeła wargi i pokręciła przecząco głową.

– Nie... Ciotka mnie posłała do sióstr... Uważa, że tam jest najlepiej...

Liceum sióstr Prezentek mieściło się przy św. Jana 6, a uczennice tej szkoły wyróżniały się białymi mundurkami z marynarskimi kołnierzami. Czasami widywałem je, jak przemierzały Rynek ze swoją opiekunką, wyglądając jak stado białych kuropatw (tak, wiem, że kuropatwy nie są białe, ale w ich płochliwości i niepewnym spoglądaniu wokół siebie było coś takiego, co kojarzyło mi się z tym ptactwem).

Lecz dziewczyna, którą miałem przed sobą, nie wyglądała wcale na spłoszoną, wręcz przeciwnie.

– Jak masz na imię? – spytałem, bo wciąż była dla mnie zagadką.

– Bela Lidner – odpowiedziała i natychmiast sama zadała pytanie. – Na co choruje twoja siostra?

– Miała chorobę Heinego-Medina – powiedziałem niechętnie. – Teraz już jest zdrowa, chociaż nie chodzi dobrze...

– Rozumiem – odparła, a mnie wydało się, że robi to ze szczerym współczuciem. – U nas też jest jedna koleżanka... – zaczęła opowiadać, ale po chwili zamilkła. Zupełnie jakby ktoś zamknął jej usta. – Nieważne – powiedziała. – Muszę już wracać, bo ciotka... Chciałam ci tylko jedną rzecz powiedzieć. Gdy przyjechali Mierzejewscy, to było parę dni temu, wieczorem przyszedł do nich mężczyzna w świetnie skrojonym, drogim ubraniu. Podśluchiwałam. Krzyczał na ojca Leona. Ale nie rozumiałam, o co konkretnie chodziło... A potem od razu zaczęli się zbierać do wyjazdu... Pomyślałam, że to dziwne, nie uważasz?

– A jak wyglądał ten mężczyzna? – spytałem.

Zmarszczyła czoło i zastanowiła się przez chwilę.

– Był bardzo wysoki, chodził takim sztywnym wojskowym krokiem. Patrzyłam na niego z okna. Miał jasne włosy, był przystojny, ale jednocześnie odpychający, dostrzegłam w jego twarzy jakieś okrucieństwo... Wiesz... On w ogóle wyglądał jak hitlerowiec, choć to przecież niemożliwe...

Patrzyłem na nią otwartymi oczami. Człowiek, którego opisała Bela, wydał mi się znajomy. Ale kto to był i dlaczego przyszedł do Mierzejewskich i najwyraźniej ich straszyl? Czy to wszystko miało jakiś związek ze śmiercią Iwony Horn? Nie miałem pojęcia... Mierzejewscy przyjechali kilka dni temu, zwłoki Jakuba Sommera wyłowiono na Zabłociu przedwczoraj... Nie... Czy ja naprawdę podejrzewałem, że Sommera zabił Leon? Byłem chyba szalony!

Bela przyglądała mi się przez chwilę.

– Twoja siostra chodziła do Nałkowskiej, tak jak ta zabita dziewczyna, Iwona Horn? – spytała, co mnie bardzo poruszyło. Kiwnąłem głową, a ona ciągnęła dalej: – Modliłyśmy się w klasie za nią, ale chyba nie była zbyt religijna... To nic nie szkodzi... Leon nie lubił tej dziewczyny... Nawet bardzo!

– Leon jej nie lubił? – wykrzyknąłem. – Chyba cię okłamał, bo ja wiem, że przychodziła tu do niego!

Bela pokręciła przecząco głową.

– Nie. Żadna dziewczyna go nie odwiedzała. Ty czasami przychodziłeś, mówiliście o strasznych rzeczach, słuchałam przez ścianę... I ten chłopak, z którym byłeś, też pojawił się kilka razy. Ale dziewczyna na pewno nie!

Nic nie rozumiałem. Dlaczego więc Leon okłamał Adama, mówiąc, że rozmawiał z Iwoną w laboratorium o zakonserwowaniu ciała Ireny? Odniosłem wrażenie, niepokojące i tak silne, jakby serce przygniatał mi jakiś głaz, że pomijam w tej sprawie coś ogromnie istotnego, co po prostu czai się za rogiem. Że przegapiłem ważną wskazówkę – przekazaną mi przez Belę lub Leona. Próbowałem uchwycić się tego strzępka myśli, przelotnego wrażenia, ale nie – już uciekło, pozostawiając pustkę i niepokój. Miałem w głowie kompletny mętlik.

– Muszę lecieć – powiedziałem nieprzytomnie, a Bela skinęła głową i wyciągnęła do mnie rękę na pożegnanie. Uścisnąłem lekko jej chłodną i szczupłą dłoń. Spojrzała mi w oczy, a ja zauważyłem w nich coś niezwykłego, co widywałem już w innych oczach... Tak! Przypomniałem sobie! W oczach Jakuba Sommera. To był niepokój, wyczekiwanie i może odrobina smutku.

– Zobaczmy się jeszcze? – spytałem, sam dziwiąc się swojej śmiałości, a Bela nieoczekiwanie skinęła głową.

– Chodzę na fortepian na Batorego, w każdy czwartek na osiemnastą! – powiedziała, a ja przypomniałem sobie kocie dźwięki wydobywające się z jednego z okien sąsiedniej oficyny. Kiwnąłem głową.

– Wiem, gdzie! Będę na ciebie czekał!

Bela nie powiedziała już ani słowa, tylko odwróciła się na swoim słupkowym obcasie i biegiem ruszyła z powrotem do domu. Sam nie wiem, co powiedziała surowej ciotce, by usprawiedliwić swoją nieobecność... Surowej? A może tylko zapobiegliwej, bo nie wiadomo, co przeżyły za okupacji...

Wróciłem do domu, gdzie czekała na mnie kartka od doktora Gruszewskiego z prośbą, żebym szybko do niego przyszedł. Nie miałem na to siły. Tłumaczyłem się sam przed sobą, że przecież załatwiłem najważniejszą sprawę, czyli powstrzymałem Adama Milicza przed wyprawami do zakładu braci Zadurskich. Chciałem też w spokoju przemyśleć wydarzenia dzisiejszego popołudnia. Przede wszystkim myślałem o Beli. Czy była ładna? Czy mi się podobała? A może pociągał mnie związek, jaki miała z tą sprawą... Miodowe włosy, gdy gwałtownie odwróciła się, by szybkim krokiem pospieszyć do domu, ten zabawny wyraz jej lekko zamglonych oczu krótkowidza... W tym momencie nagle olśniło mnie, gdzie widziałem Belę! Właśnie tutaj, na naszej ulicy – to ona spiesząc się na lekcje muzyki, rozsypała kiedyś nuty, a później oferowała mi pomoc, gdy dopadł mnie niespodziewany atak migreny po wizycie w atelier Zadurskich.

Podszedłem do okna i otwarłem je na oścież. Otrzeźwił mnie chłód wiosennej nocy. Patrzyłem przez chwilę na sąsiednią oficynę i zrobiło mi się głupio, że nie poszedłem do doktora. W jego oknie paliło się światło, więc szybko włożyłem ubranie i wymknąłem się przez kuchenne okno.

Doktor Gruszewski, czekając na mnie, przejrzał jeszcze raz zdjęcia z teczki Jakuba Sommera, nalał sobie dużą szklanekę wódki i przez długi czas siedział zatopiony w myślach. Gdy zapukałem do drzwi, właśnie miał kłaść się spać.

Wiadomość, że ostrzegłem Adama, przyniosła mu wyraźną ulgę, w milczeniu przyjął rewelacje na temat powrotu i tajemniczego wyjazdu rodziny Mierzejewskich i długo wypytywał mnie o słowa Beli na temat odwiedzin wysokiego mężczyzny.

Gruszewskiego – jak mi wyznał – dręczyły drobne, pozornie nic nieznaczące elementy tej sprawy. Jeżeli rzeczywiście jedna osoba, nazwijmy ją „nożownikiem”, zabiła Iwonę Horn i Sommera, to co łączyło obie te zbrodnie? Na pewno teczka ze zdjęciami przekazana przez Jakuba i sprytnie ukryta w schowku na dachu. Ale czy z jej powodu warto było zabijać aż dwie osoby: modelkę i pracownika atelier?

Doktor przyznawał mi rację, że tylko jeden człowiek łączył Iwonę z Jakubem Sommerem i fatalną teczką pełną pornograficznych fotografii – Albin Zadurski. To on był pryncypałem Jakuba i to on werbował nastoletnie modelki, podając im przed sesjami zdjęciowymi narkotyki. Gruszewski widział w swym zawodowym życiu wiele ofiar podobnych środków – morfinistów, kokainistów, wielbicieli eteru, więc tego akurat był pewien.

Zadrzałem, bo od razu na myśl przyszedł mi Leon, który także – jak powiedział Adam – chodził do Zadurskiego. Chwilę zastanawialiśmy się nad związkiem Mierzejewskiego z tą sprawą. Czy był w nią bezpośrednio wplątany jako pomocnik fotografa w jego nieczym procederze, czy też do atelier zaprowadziła go ciekawość i zwykła brawura? Może wszedł w układ z syfilitycznym panem Albinem, dostarczając mu recepty, a nawet same narkotyki?

Doktor co prawda sądził, że Zadurski nie był na tyle głupi, aby polegać wyłącznie na dobrej woli rozkapryszonemu licealście. Uważał, że fotograf miał innego dostawcę – kogoś znajomego w szpitalu lub ubezpieczalni albo po prostu jakiegoś farmaceutę czy prowizora aptekarskiego.

Chwilę milczeliśmy obaj, rozważając te możliwości. Gruszewski wstał z fotela i dwukrotnie przemierzył pokój od ściany do okna. W końcu zatrzymał się i wyjawiał mi swoje podejrzenia.

Od dawna uważał, że Albin Zadurski nie działał sam. Doktor przyjął więc, że istniała jakaś grupa mężczyzn zainteresowanych wyuzdanymi zdjęciami młodych kobiet. Było to możliwe – ktoś musiał mu dostarczać narkotyków i jednocześnie chronić przed zainteresowaniem władz. Biorąc pod uwagę ilość zdjęć w teczce Sommera, proceder rozwijał się na dużą skalę, więc trudno uwierzyć, że kolekcja Zadurskiego miała być wyłącznie jego prywatnym hobby. Być może na zdjęciach się nie kończyło. Można przyjąć, że teczka Jakuba była rodzajem katalogu „dziewcząt do wynajęcia”. A jeżeli tak, to komu świadczyły swe usługi?

I jeszcze te daty na okładce. Doktor nie miał wątpliwości, że Zadurski był konfidentem bezpieki. Czy w takim razie służba ta czerpała zyski z jego działalności, szantażując potencjalnych klientów fotografa? A może oficerowie sami korzystali z tych usług?

I wreszcie te dziewczęta. Gruszewski rozpoznał jedną tylko Iwonę, choć dobrze przyglądał się twarzom, szukając swoich pacjentek. Kim były te nastoletnie odaliski? Skąd pochodziły? Co się z nimi działo później? Doktor obawiał się, że mógł je spotkać los Iwony Horn – ginęły od jednego celnie wymierzonego ciosu noża, a ich ciała porzucano tak, jak ciało Jakuba Sommera, i chowano w niezidentyfikowanym grobie.

Przeraziły mnie te domysły. Siedziałem jak sparaliżowany, wpatrując się w Gruszewskiego szeroko otwartymi oczami, a dreszcz przerażenia co rusz przechodził mi po plecach.

Milczał chwilę, a potem powiedział, że następnego dnia zatelefonuje do swego przyjaciela Janickiego, by ustalił, czy w ciągu ostatniego roku nie było więcej przypadków niezidentyfikowanych zwłok z pojedynczą raną w piersi.

Męczyło go jednak co innego. Dlaczego Iwona Horn zginęła w domu? Przy założeniu, że dziewczyny likwidowano, gdy zaczynały sprawiać kłopoty, powinni ją raczej wywabić z mieszkania i zabić gdzieś w odludnym miejscu. Może więc przyczyna jej śmierci była inna?

Czy to jednak możliwe, że zabito ją tuż po schadzce? I jakie jest prawdopodobieństwo, że mężczyzna korzystający z wdzięków Iwony i jej zabójca to jedna i ta sama osoba? I że to zarazem człowiek, który zamordował później Jakuba Sommera za to, że zbyt wiele wiedział o interesach swego pracodawcy?

Doktor był pewien, że nożownikiem nie mógł być Zadurski. Syfilis znacznie osłabił mu lewą stronę ciała i sprawił, że tę rękę miał mniej sprawną, choć nie przeszkadzało mu to wykonywać swego zawodu. Gdyby Zadurski miał kogoś dźgnąć, na pewno zrobiłby to prawą ręką. Jeszcze jedna sprawa wykluczała Albina jako ewentualnego sprawcę – stał się impotentem, co wstydliwie ukrywał i próbował leczyć wszelkimi sposobami, także niekonwencjonalnymi. Gruszewski nie znosił tego człowieka, określał go mianem „śliskiej gnidy” – Zadurski był erotomanem całkowicie zafiksowanym na punkcie kobiet i seksu. Nie mógł go uprawiać, ale nie przestawał o nim myśleć. Rola, którą mógł pełnić w całej tej skomplikowanej intrydze, stręczyciela popychającego młode kobiety w objęcia innych, zapewne mu odpowiadała. Zwłaszcza jeżeli mógł się temu przyglądać. Doktor stwierdził, że nie zdziwiłby się, gdyby istniała też druga teczka pełna zdjęć tych samych kobiet, ale już z ich kochankami.

Dlaczego jednak zginęła Iwona Horn? Jaką pełniła rolę w tej pornograficznej układance? Czy była specjalną ulubienicą Zadurskiego, o którą stał się wściekle zazdrosny i wołał skazać na śmierć, niż stracić? A może przeliczył się i jego młoda „podopieczna” zaczęła prowadzić własną grę? Szantażować Zadurskiego bądź któregoś z klientów?

Gruszewski popatrzył na mnie z wyczekiwaniem. Jego opowieść tak mną wstrząsnęła, że miałem kompletny zamęt w głowie. A jednak ta mroczna historia posiadała swoją logikę i uzasadnienie. Tak naprawdę mogło być.

– To wszystko moje spekulacje – powiedział Gruszewski, zapalając papierosa. – Sam przyznasz, że zgrabne, ale na razie nieznajdujące żadnego pokrycia w faktach...

– I co pan chce zrobić? – zapytałem z niepokojem, a on strząsnął popiół i zamyślił się na chwilę.

– Pierwsza i najważniejsza rzecz to dowiedzieć się w prosektorium, czy nie mieli więcej podobnych zgonów, a w każdym razie czy nie otrzymywali zwłok martwych kobiet o nieustalonej tożsamości. Potrzebuję też wyników z sekcji zwłok Iwony...

Gruszewski wyjaśnił mi, że gdy ofiara umierała z powodu wykrwawienia, a tak stało się w przypadku tej dziewczyny, bardzo trudno było ustalić dokładną godzinę śmierci. Brak krwi powodował brak plam opadowych. Iwonę znaleziono po południu, a więc od jej śmierci minęło już kilkanaście godzin. To oraz fakt, że się wykrwawiła, sprawiały, że praktycznie niemożliwe stało się jednoznaczne ustalenie, czy zginęła w piątek, czy w sobotę.

– Podejrzewam – tłumaczył mi doktor – że godzina zgonu jest tu kluczową sprawą. Milicja nie chce, by wiadano, że dziewczyna zmarła w Wielki Piątek. Najwyraźniej ktoś nie ma na ten dzień alibi, więc Maliszko został nakłoniony do zeznania, że zabił Iwonę w sobotę.

Tak. Gruszewski jednego był pewien. Rozwiązanie tej zagadki kryło się blisko. Było tuż-tuż, na wyciągnięcie ręki, należało tylko w odpowiednim momencie zacisnąć palce.

– I tu mam zadanie dla ciebie, przyjacielu – powiedział, wskazując teczkę Sommera. – Kiedy zanalizowałem zapiski, te z wewnętrznej strony okładki, zauważyłem, że Zadurski wychodzi na swoje „spacery” zawsze we wtorki i piątki o pełnych parzystych godzinach. Każde kolejne spotkanie zaczyna się o dwie godziny później, ale wszystkie kończą się o osiemnastej. W najbliższy piątek Zadurski powinien wybrać się na swój spacer o drugiej, do parku przy Placu Axentowicza. Mam pewien pomysł i chciałbym wysłać cię na rekonesans.

Choć strach mnie obleciał, skinąłem głową. Sam miałem poczucie, że zbliżamy się do rozwiązania tej sprawy. Chciałem, by wprowadził mnie w szczegóły swego pomysłu, ale nie zgodził się. Mieliśmy – jak uważał – jeszcze dużo czasu, więc polecił, żebym wpadł do niego następnego dnia.

– Depczemy im po piętach – powiedział, gdy wychodziłem. – Uważaj na siebie! Obiecałem mu to solennie i przemknąłem do swego mieszkania po zewnętrznych schodach.

Sprawy jednak potoczyły się inaczej, niż wszyscy się spodziewaliśmy.

Następnego dnia doktor jak co rano poszedł do ubezpieczalni, gdzie musiał przyjąć korowód pacjentów z najróżniejszymi schorzeniami. Właśnie objaśniał jakiejś podstarzałej damulce, jak stosować lek na hemoroidy, starając się robić to oględnie i nie urazić jej dumy oraz wrażliwych uszu słowami takim jak „odbyt” i „czopek”, gdy dotarło do niego, że na korytarzu wybuchła jakaś awantura.

Gruszewski był przyzwyczajony do takich sytuacji. Ubezpieczalnia frustrowała go, rozumiał więc, że jego pacjentów mogła frustrować w sposób absolutny. Już sam budynek odstraszał swoją nędzą – był brzydki, brudny i zaniedbany. Wszystko w nim drażniło – wąskie korytarze o schodzonych i powykrzywianych kamiennych podłogach, słabe światło przygaszonych żarówek, które świeciły jakby ostatkiem sił, wreszcie lamperia w kolorze błota. Było tu smutno i wstrętne. W dodatku udręczeni ludzie spędzali godziny w poczekalni, czasem zupełnie bez nadziei licząc, że w końcu przyjmie ich jakiś specjalista. Nie każdy miał ochotę czytać gazetę lub rozmawiać z przygodnymi towarzyszami niedoli, wiele osób podminowanych i złych wybuchowało z byle powodu. Najczęstszym była próba wejścia do gabinetu bez kolejki, po to tylko, „by o coś zapytać”. Tego typu zachowanie, a już szczególnie gdy w pokoju lekarza przebywał inny pacjent, budziło agresję. Właśnie coś takiego miało miejsce w tej chwili, bo ktoś gwałtownie naciskał klamkę od strony korytarza, a inne osoby – jak wydawało się Gruszewskiemu po podniesionych głosach dobiegających z poczekalni – starały się to udaremnić. Kobieta, której doktor właśnie objaśniał działanie medykamentu na hemoroidy, pisnęła tylko z przerażenia, chwyciła receptę i wepchnęła ją głęboko do torebki z fałszywej skóry węża. Zupełnie tak, jakby sama łaćńska nazwa leku mogła ją skompromitować. Gruszewski westchnął i już miał wstać i podejść do drzwi, by zorientować się, z jak poważnym problemem ma do czynienia, gdy te się otworzy i stanął w nich Marek Wojna. Był zaczerwieniony i rozczochrany, a poły jego marynarki o dobrze znanym kroju w stylu amerykańskiego piosenkarza trzymał się jakiś niepozorny człeczyna, wykrzykujący raz po raz: „Panie, panie, co pan robi?”.

– Spokojnie – powiedział Gruszewski, wpuszczając Wojnę do gabinetu. – Ja znam tego pana, proszę go nie zatrzymywać...

– Ale jak to? – nie rozumiał krewki człowieczek, posłusznie puszczając brzeg marynarki dziennikarza.

– Tak to! – powiedział Gruszewski, który wiedział, że z pacjentami nie należy wchodzić w długie dyskusje. Damulka z hemoroidami czym prędzej wymknęła się na korytarz, a Marek Wojna ciężko usiadł na zwolnionym przez nią krześle.

– Przepraszam za najście – powiedział. – Okryłem coś ważnego, a nie wiedziałem, gdzie pan mieszka. Domaniecki powiedział mi, że gdzieś przy Batorego i że pracuje pan tutaj. Pomyślałem – pójdę i sprawdzę... Nie chciałem wzniecać burdy na korytarzu, ale ci ludzie kompletnie nie rozumieją, co się do nich mówi...

– Po prostu czekają długo – wyjaśnił doktor, przypatrując się Wojnie z uwagą. Dziennikarz przeczesał bujne włosy ręką i westchnął głęboko.

– Panie doktorze, po naszej rozmowie przejrzałem archiwum „Dziennika Polskiego”, bo oni tam zamieszczają kronikę wypadków... Pogadałem też z jednym starym korektorem, który ma po prostu fenomenalną pamięć. Ten człowiek mówił, że w ciągu ostatnich kilku lat było

sporo przypadków znalezienia niezidentyfikowanych zwłok młodych kobiet...

– Z ranami od noża? – zainteresował się Gruszewski. Wojna odchylił się na krzesło i spojrział na niego z uwagą.

– Widzę, że nie zdziwiło to pana, a to znaczy, że i pan o tym myślał... Ciekawe, bo mnie trochę zdziwiło... Ja szukałem raczej niezidentyfikowanych zwłok w ogóle... Musi mi pan powiedzieć, co pan wie!

Gruszewski przecząco pokręcił głową.

– Nie chcę pana w to wciągać...

– Ależ musi pan! – wykrzyknął Wojna, zrywając się z krzesła. – Ten korektor powiedział, że liczba tych dziwnych zgonów zwróciła jego uwagę, bo co kilka miesięcy pojawiały się doniesienia o odnalezieniu ciała młodej kobiety. Komunikaty nie podawały przy tym, czy ofiary zostały zamordowane. Po prostu poszukiwano krewnych. Stary mówił, że śledził tę sprawę, nawet wypytywał dyżurnych, czy ktoś telefonował do gazety, bo czasami ludzie wolą to od zgłoszenia na milicję...

– I co? – zainteresował się Gruszewski.

– Ponoć dzwonili różni wariaci, ale nie było żadnych sensownych informacji. Korektor pytał o to nawet swego szwagra, który jest milicjantem, ale ten powiedział mu tylko, żeby nie wtykał nosa w nie swoje sprawy... Więc przestał wtykać... Co tu się dzieje, doktorze? Czemu i mnie traktuje pan jako wroga? Przecież mogę pomóc! Trenowałem kiedyś boks, nie boję się!

Gruszewski spojrział na niego i chwilę jakby ważył swoją decyzję.

– Dobrze – powiedział wreszcie. – Podzielę się z panem tym, co wiem, ale nie tutaj. Niech pan na mnie poczeka przed ubezpieczalnią. Załatwię szybko pacjentów i pójdziemy do mnie, to niedaleko...

Tak też zrobili. Doktor pospiesznie przyjął kilku chorych. Na szczęście były to nieskomplikowane przypadki – wypisać receptę, skierować na badania, stanowczo uciął próbę wymuszenia rozmowy przez pewną leciwą hipochondryczkę i po godzinie miał już z głowy większość swoich przedpołudniowych pacjentów. Gdy poczekalnia opustoszała, założył kapelusz i zamknął gabinet. Wojna czekał przed budynkiem, przechadzając się nerwowo z jednego końca ulicy na drugi.

– Jest pan! – powiedział z wyraźną ulgą na widok doktora. – Już myślałem, że uciekł pan przede mną jakimś bocznym wyjściem.

Gruszewski roześmiał się.

– Przyznaję, zaświtała mi taka myśl, ale wiedziałem, że i tak pan mnie dopadnie.

– To prawda – powiedział Wojna z dużym zadowoleniem. – Jestem znany z tego, że każdego znajdę. Podejrzewam, że kiedyś ta umiejętność sprowadzi na mnie nieszczęście...

W milczeniu dotarli do mieszkania doktora, który krótko mocował się z zamkiem, po czym wpuścił gościa do środka. Wojna ze zdumieniem rozejrzał się po przeladowanym bibelotami i książkami mieszkanku Gruszewskiego, ale nie powiedział na ten temat ani słowa.

– Po pierwsze – stanowczo rzekł doktor, przygotowując na swojej małej kuchence herbatę – nie chcę, żeby pan kiedykolwiek wykorzystywał w swej pracy dziennikarskiej to, czego się pan ode mnie dowie! Relacjonuje pan proces Maliszki i koniec! Nasza rozmowa musi zostać tajemnicą, bo nie wiadomo, dokąd nas to śledztwo zaprowadzi i kto jeszcze może ucierpieć.

– To zrozumiałe – skinął głową Wojna. – Ani myślę działać na przekór władzy, która uparzyła sobie na sprawcę Maliszkę. Nie zawrócę Wisły kijem, Maliszki nie uratuję... Ale chcę wiedzieć, jak jest naprawdę...

– Na razie nie ma żadnego „naprawdę” – stanowczo powiedział Gruszewski. – Jest tylko

ciąg mniejszych i większych sekretów. – Wyciągnął teczkę ze zdjęciami Zadurskiego i rzucił ją Wojnie na kolana. A potem zaczął opowiadać...

Gdy skończył, obaj milczeli przez chwilę, a Wojna po raz kolejny machinalnie przeglądała zdjęcia.

– Jeżeli jest tak, jak pan mówi – stwierdził wreszcie – Iwona Horn zginęła z ręki kogoś, kto ochrania siatkę osób wykorzystujących prostytutki się dziewczęta... Ludzi całkowicie bezkarnych i najprawdopodobniej działających za cichym przyzwoleniem bezpieki... A te dziewczyny być może giną również z ich ręki, gdy stają się niepotrzebne lub zaczynają robić trudności...

Doktor skinął głową.

– Może być właśnie tak. Zastanawiam się, skąd są te dziewczyny. Ja znałem tylko jedną, Iwonę Horn. Nie rozumiem – o ile nasze podejrzenia są prawdziwe i istotnie działa tu jakaś szajka – dlaczego dała się w to wciągnąć, co nią kierowało, kto ją do tego namówił? To była trochę postrzelona dziewczyna, wiem, ale choć nie znałem jej dobrze, wyłącznie z widzenia i rzadkich wizyt lekarskich, wydawała mi się inteligentna i rozsądna.

Wojna pokręcił głową.

– Ja poznałem zupełnie inną Iwonę Horn. Dotarłem do jej znajomych, o których wspomniano w aktach śledztwa. Ta dziewczyna prowadziła podwójne życie, była zepsuta do granic możliwości. Rano przykładna uczennica, dobra i posłuszna córka, popołudniami spotykała się ze starszymi mężczyznami, często chodziła do ich mieszkań. Czasami opowiadała o tym koleżankom, zwykle mówiąc, że robiła to jakaś jej znajoma o imieniu Joanna. Iwona uwielbiała *Luk triumfalny* Remarque'a i jego główną bohaterkę. A sam pan wie, kim była Joanna Madou – utrymanka!

Odkąd przeczytałem te wszystkie zeznania, a zwłaszcza to, co opowiadała służąca Hornów, podejrzewam, że Iwona miała jakieś zaburzenia psychiczne. Nie jestem psychiatrą, ale chyba słyszał pan o czymś takim jak rozszczepienie osobowości?

Gruszewski skinął głową.

– Rozdwojenie jaźni... – powiedział cicho.

– Tak. – Ja myślę, że ona raz była Iwoną – dobrym dzieckiem i pilną uczennicą szykującą się do matury i studiów, a raz Joanną – pozbawioną zasad manipulatką. Jej szkolne koleżanki to zauważały, jedna z nich wspominała nawet o dziwnych wahaniach nastroju Iwony, która nagle zmieniała się w osobę agresywną na granicy nieopoczitalności...

Gruszewski zastanowił się. Pomyślał o Ignacym Hornie, który momentami zdradzał podobne zachowania – raz szokował brawurą, innym z kolei razem swym tchórzostwem. Nawet to jego nagłe przejście na stronę komunistów było dziwne i budziło niepokój co do stanu jego ducha... Poza tym Adam Milicz także wiele opowiadał o zmiennych nastrojach Iwony.

– Zna pan to z literatury – Wojna wymownie wskazał piętrzące się wszędzie książki. – Doktor Jekyll i pan Hyde, tylko że tam działało się to pod wpływem jakiegoś nieznanego leku... Najwyraźniej – ciągnął dziennikarz – Iwona przejawiała skłonności do ryzyka. Gdy wchodziła w rolę Joanny, lubiła igrać z niebezpieczeństwem. Niebagatelną rolę mogły tu odegrać narkotyki, które już całkowicie zmieniły jej osobowość...

– Dziwne, że nikt tego nie dostrzegł – pokręcił głową z niedowierzaniem doktor.

– Pan nie zauważył, a przecież leczył ją pan od czasu do czasu – skomentował dziennikarz. – Czytałem u Kępińskiego, że takie osoby potrafią się świetnie maskować, żyją w społeczeństwie spokojnie, nie zdradzając się ani jednym gestem... Zresztą to nieprawda, że nikt tego nie widział – w zeznaniach jest przedstawiony cały ciąg dziwnych symptomów, które, gdy się połączy je razem, dają pewien niepokojący obraz... To się chyba nazywa osobowość graniczna.

Czytałem dzisiaj na ten temat w bibliotece akademii medycznej. To często występujące zaburzenie, charakterystyczne dla młodych ludzi. Dowiedziałem się, że takie osoby przejawiają skłonności do agresji, nietypowych i często nieakceptowanych przez otoczenie zachowań, mogą mieć tendencję do autodestrukcji i przygodnych kontaktów erotycznych. Często dzielą swoją osobowość na dwie – dobrą i złą. To się nazywa dysocjacja i jest mechanizmem obronnym psychiki. Impulsywna, z huśtawkami nastroju, z zamiłowaniem do skrajności – czy to panu nie przypomina Iwony Horn?

Gruszewski skinął głową. A jeszcze ta rodzina: Ignacy ze swoimi fobiami stalinowskiego prokuratora, który miał na sumieniu niejedną śmierć niewinnego człowieka. Jego żona, Suzanne, także sprawiała wrażenie nie do końca zrównoważonej, a o jej nocnych eskapadach wiele można było opowiadać. Tak, dom Hornów krył różne tajemnice...

– Owszem – powiedział z namysłem. – To wszystko jest możliwe, nawet prawdopodobne... Czy to jednak oznacza, że śmierć Iwony Horn była egzekucją?

Dziennikarz wstał z fotela i zbliżył się do okna. Chwilę patrzył na podwórko, po którym jak zwykle kręciła się stróżka Wójcikowa.

– Tego nie wiem... Ale przyzna pan, że to możliwe... A jeśli tak... Tu dochodzimy do najważniejszego – kto krył ten proceder Zadurskiego, kto czerpał zeń korzyści i kto likwidował niewygodnych świadków...

Gruszewski parsknął swoim wilczym śmiechem.

– Jest tylko jedna instytucja o tak długich rękach, panie kolego...

– Właśnie – Wojna odwrócił się od okna. – Można się tylko zastanawiać, kogo szantażowali, kto był prawdziwym klientem „atelier braci Zadurskich” i gdzie ukryto kompromitujące zdjęcia mężczyzn lubiących młode dziewczęta.

– Zapewne w budynku przy 18 Stycznia... – uśmiechnął się Gruszewski.

– Tak. Ale pytanie, czy my możemy coś z tym zrobić...

Doktor roześmiał się serdecznie.

– Ponosi pana wyobraźnia, kolego. Jeżeli jest tak, jak się domyślamy, nic nie możemy uczynić i lepiej by było, żebyśmy szybko zapomnieli o całej tej sprawie. Tak jak pan kiedyś powiedział – władza ma sprawcę, który najbardziej jej odpowiada. Biedny Jacek Maliszko jest już stracony – dosłownie i w przenośni, nikt go nie uratuje. Nawet gdyby miał adwokata o niebo lepszego niż ten spec od zeza widlastego, i tak nie wyciągnąłby go z opresji...

Wojna pokiwał głową.

– Ja wiem, doktorze. Ale wiem też, że choćby łączyło się to z największym niebezpieczeństwem, chcę się dowiedzieć, kto zabił Iwonę Horn i tego nieszczęsnego Jakuba Sommera. Jestem gotów na każde ryzyko...

Gruszewski położył mu dłoń na ramieniu.

– Skoro tak, musimy czekać do piątku, by dowiedzieć się, co przyniesie nam mój asystent...

– Ma pan asystenta? – zdziwił się Wojna, a doktor skinął głową.

– To młody chłopak, który dobrze znał obie ofiary. Nie jest zbyt odważny, ale potrafi kłajać fakty. Nie wiem, czy doszedłbym do czegośkolwiek bez niego...

– Dobrze. Zaczekajmy więc. Ja i tak muszę sklecić kolejny materiał na temat procesu, co mi przypomina, że jestem już spóźniony do sądu. Idzie pan ze mną?

Gruszewski pokręcił przecząco głową.

– Muszę wracać do ubezpieczalni. Mam popołudniowych pacjentów, a potem jeszcze wizyty domowe.

Wojna wstał, wyciągając rękę.

– Umówmy się tak: gdybyśmy nie mogli się zastać, a stało się coś ważnego, prześlemy sobie wiadomość – pan może ją zostawić w redakcji, a ja wsunę panu kartkę pod drzwi. Będzie to jeden wyraz: „Wspaniale”. Czy może tak być?

– Wspaniale! – powiedział z uśmiechem doktor, choć wbrew wypowiedzianemu właśnie słowu czuł tylko niepokój i duży ciężar.

Ja tymczasem czekałem na Belę Lidner przed szkołą sióstr Prezentek. Wiedziałem, że mogę się z nią spotkać jutro, we czwartek, po jej lekcji muzyki, ale miałem powód, by szukać jej już tego dnia. Na wieczór zaplanowana była próba generalna naszej sztuki. Była to najdłużej przygotowywana i próbowana z naszych sztuk, której premiera miała odbyć się prawie przed samymi wakacjami. Nigdy więcej się to już nie powtórzyło. Trudno się jednak było dziwić – najpierw próby przerwała obraza dyrektora na zespół, potem śmierć Iwony Horn. Choć *Siła fatalna* miała się stać naszym największym sukcesem, sfinalizowanie tego przedstawienia zdecydowanie nie było łatwe.

Tak czy owak, próba generalna miała być wyjątkowa. Dyrektor po raz pierwszy zgodził się, by odbywała się przed publicznością, jak prawdziwa premiera. Można było zaprosić rodzinę i przyjaciół. Ja nie powiedziałem o tym rodzicom ani siostrze – postanowiłem zaprosić ich na sobotę. Tego wieczoru chciałem gościć wyłącznie jedną osobę: Belę Lidner.

Oczywiście, nie mogłem dostać się do niej do szkoły, gdzie wejścia pilnowała surowa furtianka. Nie wchodziło również w grę przekazanie jakiejś wiadomości. Od uczennic opuszczających budynek dowiedziałem się, że klasa Beli ma jeszcze dwie godziny robót ręcznych. Przechrząłem się więc po Plantach, w okolicy ulicy św. Jana, czekając, kiedy skończą zajęcia. W końcu w szkole rozległ się dzwonek i dziewczęta wybiegły na ulicę – roześmiane i rozgadane. Bela szła na końcu, jakby dystansując się od koleżanek (a może to one dystansowały się od niej). Wyglądała bardzo ładnie w szkolnym mundurku z marynarskim kołnierzem. Długie włosy miała starannie uczesane w warkocz, upięty w koronę dookoła głowy. Nosiła też okulary, w śmiesznej rogowej oprawie, które nadawały jej drobnej twarzy poważny wygląd.

Odczekałem chwilę, gdy grupka uczennic opuściła teren szkoły, a właściwie zasięg wzroku siostry furtianki, i podszedłem do Beli. Jej koleżanki od razu mnie zauważyły i zaczęły głupio chichotać, szturchając się znacząco.

– Dzień dobry – powiedziałem do Beli, a ona wyglądała na zaskoczoną. Nie chciałem wzbudzać przesadnego zainteresowania innych dziewcząt, więc po prostu wręczyłem jej zaproszenie na spektakl. Wiedziałem, że będzie się musiała wylegitymować przed ciotką, która na pewno zapyta, gdzie wychodzi po południu. Sztuka – a właściwie montaż poświęcony Słowackiemu – wydawała mi się niewinna i jak najbardziej do zaakceptowania.

Bela najwyraźniej pomyślała tak samo, bo obejrzawszy dokładnie kartkę, którą jej dałem, zapewniła mnie z entuzjazmem, że przyjdzie na pewno.

– Ja także gram tam niewielką rolę – powiedziałem i od razu tego pożałowałem, bo mój epizod był naprawdę mały i nic nieznaczący. Bela rozpromieniła się i stwierdziła, że w takim razie musi przyjść. Po czym podała mi rękę, tak samo jak wówczas, gdy się poznaliśmy, i podobnie jak wtedy pobiegła ulicą. Tylko że tym razem próbowała dogonić koleżanki, które rzeczywiście czekały na nią tuż za zakrętem ulicy.

Patrzyłem za nią jeszcze przez chwilę, nawet gdy zniknęła mi z oczu. Przypomniałem sobie jednocześnie o doktorze Gruszewskim, którego także postanowiłem zaprosić.

Oczywiście nie zastałem go w mieszkaniu na Batorego, ale po prostu wsunąłem druk zaproszenia pod drzwi.

Przedstawienie zaczynało się punktualnie o szóstej, ale ja już w okolicach piątej byłem

w szkole i asystowałem przy ostatnich poprawkach scenografii. W rękach, zupełnie bezsensownie, trzymałem wymiętoszony skrypt sztuki, którą przecież od dawna umiałem na pamięć. Patrzyłem, jak schodzą się koleżanki i koledzy.

Dla wszystkich nas była to wielka chwila. Myślałem jednak o początkach tej inscenizacji, o naszych październikowych próbach, kiedy jeszcze nic się nie stało. W programie napisano, że występ dedykowany jest zmarłej koleżance, Iwonie Horn, gwiazdzie tego przedstawienia. Czy istotnie *Sila fatalna* była hołdem złożonym Iwonie? Szczerze wątpiłem, by większa część obsady pamiętała o niej w tej nerwowej chwili poprzedzającej wyjście na scenę. Raczej każdy myślał o sobie i swoim strachu. Irena Nowakowska błagała mnie, bym szczególnie wsparł ją w drugim akcie, bo „ma tam trudny monolog, który zawsze się jej płacze”, o czym doskonale wiedziałem sam, bo znałem jej możliwości. Michał Weber także tracił pewność siebie i z przymkniętymi oczyma chodził za kulisami, przepowiadając sobie trudniejsze momenty. Nawet Adam Milicz zachowywał się tak, jakby dręczyła go trema. Drżały mu ręce, gdy wiązał sobie na szyi płaszcz Konrada, a jego oczy zdradzały panikę.

Ja byłem spokojny. Rola Rapsoda nie wymagała żadnych umiejętności, a podczas podpowiadania z budki suflera nie mógł mi się zdarzyć żaden wypadek. Jedyny niepokój, jaki odczuwałem, to ten, czy zobaczę Belę. Ale nie zawiodła moich oczekiwań. Widownia powoli wypełniała się rodzinami i znajomymi, kiedy i ona stanęła w drzwiach, wyciągając szyję i rozglądając się lekko zezującymi oczyma po sali. Chciałem dać jej jakiś znak, ale strach mnie obleciał. Musiałbym wyjść na scenę, a paraliżowała mnie obecność wielu osób, które zobaczyłyby, jak macham ręką do znajomej dziewczyny. Bela rozejrzała się zatem, nie dostrzegła mnie, więc usiadła na wolnym miejscu, tuż koło matki Michała Webera, która po prostu puchła z dumy, wiedząc, jak poważną rolę gra jej jedyny syn. Zdołała nawet ściągnąć na tę próbę recenzenta „Dziennika”, który siedział koło niej i najwyraźniej okropnie się nudził, bo ziewał, wyciągając przed siebie długie nogi i narzekając na zaduch w naszej auli.

Z małym opóźnieniem, jak to zawsze bywa w przypadku amatorskich przedstawień, rozpoczął się spektakl. Mogę tylko powiedzieć, że daliśmy z siebie wszystko i ta próba okazała się lepsza niż późniejsza premiera, co mogli ocenić ci wierni widzowie, którzy przyszli na oba przedstawienia. Ja w każdym razie dwoiłem się i troiłem w mojej budce, by nikt się nie wyłożył z tekstem, i zaangażowałem się do tego stopnia, że omal nie zapomniałem o własnym wejściu. Otrzeźwił mnie dopiero Tadek Braun, który przyszedł zmienić mnie na pozycji podpowiadacza. Przeczesałem ręką włosy, poprawiłem zgrzebny strój lirnika, znalazłem swój rekwizyt i wyszedłem na scenę. Wzrokiem szukałem Beli Lidner, licząc na to, że mnie rozpoznała w stroju rozczochranego dziada. Widownia tonęła w mroku, więc trudno było mi rozróżnić poszczególne twarze. Miałem jednak nadzieję, że ona tam jest i patrzy na mnie. Podobnie jak wierzyłem, że wśród publiczności siedzi doktor Gruszewski, którego wejścia do auli nie zauważyłem, ale nie podejrzewałem, żeby sprawił mi taki zawód.

Sztuka okazała się prawdziwym triumfem. Oklaski nie cichły przez dziesięć minut, co jak na amatorskie przedstawienie było doskonałym wynikiem. Nawet recenzent „Dziennika” dał się porwać entuzjazmowi i oklaskiwał nas gorąco, a potem skoczył gratulować dyrektorowi, który nie posiadał się z dumy. Na scenę wywołano cały zespół, więc zjawiłem się na niej i ja, porzucając moją budkę oraz kartki skryptu, i wtedy wreszcie dostrzegłem Belę Lidner, uśmiechającą się i machającą do mnie. Byłem dumny jak paw.

Potem było już zupełnie inaczej niż w zwykłym teatrze. Publiczność runęła na scenę, by porwać w ramiona swych aktorów i pogratulować im z rodzinną wylewnością. Nagle koło mnie znalazł się doktor Gruszewski, który uściśnął mi rękę i powiedział, że wie, iż to ja byłem filarem przedstawienia, bo dobry sufler to skarb. Nieśmiało wspomniałem mu o moim występie

w roli Rapsoda, co on pominął milczeniem, wychwalając mnie jako „złotoustego pomocnika swych kolegów”. Najwyraźniej był oczarowany naszą sztuką, bo mówił, że nie może wyjść z podziwu, iż taki popis dał szkolny zespół. W tym momencie zauważyłem, że przepycha się do nas Bela. Na jej twarzy zaszła niesamowita zmiana. Tak jakby ktoś gąbką starł radość z jej oblicza – pobladła i miała znowu ten czujny, wystraszony wyraz, jak wtedy na ulicy. Zrozumiałem, że coś się stało. Bela dotarła do mnie i drążącą ręką pokazała w drugi koniec sali.

– To ten człowiek był u Mierzejewskich na parę dni przed ich wyjazdem, to on krzyczał na ojca Leona i go straszył. Tylko że wtedy był w zwykłym ubraniu, a teraz jest w mundurze...

I ja, i doktor spojrzeliśmy we wskazanym kierunku. Major Nowakowski z oczami pełnymi dumy i radości gratulował Irenie, szarmancko całując ją w rękę.

– Jesteś pewna, że go wtedy wiedziałaś? – spytałem niespokojnie, a Bela żarliwie przyświadczyła.

– Dobrze mu się przyjrzałam, gdy szedł przez ogród, a potem też na korytarzu naszego domu. To na pewno on... Tylko że to milicjant, a ja myślałam, że jakiś bandyta.

– Jedno nie wyklucza drugiego – powiedział z zasepioną miną doktor Gruszewski, a Bela popatrzyła na niego spłoszonym wzrokiem, bo dopiero teraz zauważyła jego obecność. Położyłem jej uspokajająco dłoń na ramieniu. Zadrżała.

– Belu, nie denerwuj się, to pan doktor Gruszewski, nasz przyjaciel. Doktorze, to Bela Lidner. Mieszka w tej samej willi, co Leon Mierzejewski.

Doktor krótko uściśnił podaną rękę i popatrzył na Belę uważnie.

– Rozpoznaje go pani?

Skinęła potakująco głową i jeszcze raz obrzuciła majora spłoszonym spojrzeniem.

– Tak. To na pewno on, nie mam żadnych wątpliwości.

– Widziała go pani jeszcze kiedyś? – zapytał doktor, a ja byłem pełny podziwu dla jego opanowania. Bela zmarszczyła brwi i zamyśliła się.

– Nie... To znaczy tak. Ja go nie widziałam, ale ciotka mi mówiła, że gdy Mierzejewscy opuścili mieszkanie, byli tam jacyś mężczyźni. Opisała ich. Ten pan – Bela skinęła głową w kierunku Nowakowskiego, ale nie odważyła się spojrzeć – jest bardzo charakterystyczny. Gdy ciotka powiedziała, że jeden z nich wyglądał jak Niemiec, od razu wiedziałam, że to on...

– Byli z nim inni? – zapytał Gruszewski. – Czy ciotka coś o nich mówiła? To bardzo ważne, proszę sobie przypomnieć.

Bela cofnęła się o krok, tak aby nawet nie znajdować się w zasięgu wzroku Nowakowskiego, i powiedziała szeptem:

– Ciotka wspominała, że było z nim dwóch mężczyzn, jeden miał takie grube rysy, pan wie, wyglądał jak człowiek ze wsi. – Bela zarumieniła się, ale ponieważ doktor nie oburzył się ani nie skomentował jej słów, ciągnęła dalej: – A ten trzeci to już kompletnie przypominał bandytę, ciotka mówiła o nim „zakapior”, bo podobno wyglądał tak jak ci ze Zwierzyńca sprzed wojny...

Doktor pokiwał głową. Tak, sąsiednia dzielnica słygnęła przed wojną ze swoich „agarów”, czy też „zakapiorów”, bezrobotnych, chwytających się różnych ciemnych interesów, drobnych złodziejasków, sutenerów, zwykłej bandyterii. Można ich było spotkać nad Wisłą i na całym Półwsiu Zwierzyńskim, bo tak nazywała się ta okolica. Dzielnica Piasek, w której ja mieszkałem, także miała swój przestępczy folklor, ale Zwierzyniec był pod tym względem wyjątkowy.

– Wychodzimy – powiedział doktor, chwytając Belę bezceremonialnie pod rękę i znikając z nią w tłumie. Nie miałem pojęcia, co się dzieje, ale okazało się, że miał rację. W moją stronę szła Irena Nowakowska z ojcem.

– Tatusiu! – usłyszałem jej piskliwy i pełen entuzjazmu głos. – Chciałam ci przedstawić mojego kolegę, który grał w tym przedstawieniu, ale też cudownie podpowiadał jako sufler, Filipa Dobrowolskiego. Bardzo się przyjaźnimy!

Nagle stanąłem twarzą w twarz z tajemniczym majorem Nowakowskim, który podobno prowadził w budynku przy 18 Stycznia 4 kancelarię, a tak naprawdę nie wiedzieć czym się zajmował. Zmierzył mnie uważnym spojrzeniem, a ja zadrżałem, bo miałem wrażenie, że przewierca mnie zimnymi jak dwa wypolerowane agaty oczami na wylot.

– Miło mi poznać przyjaciela naszej Iry – powiedział twardym, metalicznie brzmiącym głosem, wyciągając do mnie rękę. Uścisnąłem ją mocno i bez wahania.

– Irena to wspaniała aktorka... I świetna koleżanka – powiedziałem, czując, że pot zaczyna mi płynąć po plecach. On wciąż patrzył na mnie z uwagą. Byłem tchórzem, ale w tym momencie wiedziałem, że trzeba zdobyć się na odwagę. Od tego zależała nie tylko moja skóra, ale losy doktora, Adama i być może Beli Lidner. Zwłaszcza myśl o Beli podtrzymała mnie na duchu.

Major uśmiechnął się. Jego twarz złagodniała. Objął ramieniem córkę, a drugą ręką poklepał mnie po plecach.

– No, drogi kolego, cieszę się, że poznał się pan na Irinie! To wspaniała dziewczyna!

– Ależ tatusiu! – splonęła się Irena i z tym rumieńcem wyglądała jeszcze bardziej idiotycznie niż zwykle, po prostu jak zaczerwieniona rzodkiewka.

– Bardzo gratuluję występu – zwróciłem się więc do niej. – Byłaś świetna, ani razu się nie pomyliłaś!

Irena pokraśniała na nowo.

– To wszystko zasługa Filipa – powiedziała do ojca. – Gdy on jest w budce suflera, świetnie mi idzie, bo wiem, że w razie czego mi pomoże... Na Tadka Brauna tak liczyć nie mogę, on nie pilnuje tekstu jak Filip...

– Braun... – powiedział major z namysłem. – Czy to syn tego Brauna z Nowej Huty?

Irena bezradnie rozłożyła ręce, a ja nie zamierzałem odpowiadać. Ojciec Tadka istotnie pracował w Nowej Hucie, był jednym z dyrektorów w Kombinacie.

– Cieszę się, córeczko – powiedział Nowakowski po chwili. – A pana, kolego, będzie mi bardzo miło gościć w naszym domu. Przyjaciele Iry są u nas jak najmilej widzianymi gośćmi!

Irena prawie podskoczyła z radości i wymownie uścisnęła mi dłoń. Ukłoniłem się sztywno jej ojcu i dałem nura w tłum. Chwilę stałem za dużym filarem, usiłując uspokoić oddech. Dłonie trzęsły mi się jak staremu człowiekowi, czułem nasilający się ucisk w skroniach. Zaciśnąłem zęby. Tylko nie ta zasrana migrena! Nie w takim momencie! Tak jak nauczył mnie doktor Gruszewski, zacząłem oddychać głęboko i równomiernie. Przestałem słyszeć gwar wokół siebie i starałem się wrócić do równowagi. Po kilkunastu kontrolowanych oddechach imadło ściskające mi skroń zaczęło się rozluźniać. Wróciłem do rzeczywistości, otoczył mnie szum auli. Uświadomiłem sobie, że muszę dogonić doktora i Belę. Zbiegłem po schodach, omal nie przewracając się na podeście pierwszego piętra; szkolna czapka spadła mi z głowy. Podniosłem ją i wybiegłem z budynku. Bela i doktor czekali ukryci w cieniu bramy domu naprzeciwko.

Podszedłem do nich.

– Dałeś sobie radę? – zapytał Gruszewski, a ja skinąłem głową. – To dobrze. Odprowadźmy pannę Lidner do domu, jest już późno, ciotka nie byłaby zadowolona, gdyby chodziła sama.

– Dziękuję, doktorze – powiedziała Bela i uśmiechnęła się tym swoim czarującym uśmiechem.

– Gdy konwersowałeś z panem majorem – powiedział Gruszewski i zaśmiał się krótko – Bela powiedziała mi, że owi trzej panowie przeszukali mieszkanie Mierzejewskich i laboratorium

Leona. Jak myślisz, co próbowali tam znaleźć?

Wzruszyłem ramionami. Wszystko zależało od tego, na ile Nowakowski był powiązany ze śmiercią Iwony Horn. Jeżeli miał z tym jakiś związek, mogli szukać narkotyków, recept, bo ja wiem, płynu konserwującego zwłoki...

Zatrzymałem się.

– Pan wie, doktorze? Adam mówił, że Iwona odwiedzała Leona w pracowni i razem fantazjowali, że zakonserwują ciało Ireny Nowakowskiej i że chcieliby zobaczyć minę jej ojca.

Bela spojrzała na mnie z przerażeniem i pokręciła głową.

– Ale ja ci mówiłam, że żadna dziewczyna tam nie przychodziła, naprawdę... Ciotka jest bardzo czujna, to jej zostało jeszcze z wojny, ona wszystko wie o każdym, ja nawet specjalnie ją pytałam... Skrzyzczała mnie wtedy, bo myślała, że Leon mi się podoba, a ona uważała go za nicponia...

– Ciało Ireny... – głośno myślał doktor. – Leon chciał zobaczyć minę jej ojca... Chciał się zemścić na Nowakowskim, który straszył jego i jego rodzinę...

Uderzyłem się dłonią w czoło. Tak! To była ta wskazówka! Iwona nie przychodziła wcale do Leona i nie rozmawiali o konserwowaniu zwłok. Leon zwracał nam uwagę na Irenę, a właściwie na jej ojca! To chciał nam powiedzieć!

Dochodziliśmy do domu przy Puszki. Z okna wyglądała zaniepokojona ciotka Beli, której oblicze na widok doktora się rozpozogodziło. Doktor sięgnął dłonią do kapelusza i uklonił się jej od furtki. Pożegnałem się z Belą, która uściśniła mi szybko dłoń. Jej chłodne i szczupłe palce na chwilę objęły moją rękę.

– Do zobaczenia, Belu, nie martw się! – powiedziałem, a ona się uśmiechnęła.

– Niech pani na siebie uważa, panno Lidner – dodał doktor, kłaniając się, ale zrobił to jakimś dziwnym głosem, w którym zabrzmiała nieznaną mi nutą.

– Jak zawsze, panie doktorze, jak zawsze – powiedziała cicho Bela i po chwili jej szybkie kroki zadudniły na kamiennej alejce.

– Biedna dziewczyna – westchnął doktor, gdy wróciliśmy z powrotem na Puszki.

– Zna ją pan?

Doktor pokręcił przecząco głową.

– Ją widzę po raz pierwszy w życiu, ale znałem jej matkę, Dorę Stern, pianistkę i najpiękniejszą kobietę międzywojennego Krakowa. Dora wyszła za męża za adwokata Lidnera, ale nie wiedziałem, że mieli córkę. Oboje zginęli w Oświęcimiu, a dziecko ocalała kuzynka Dory, pani Bilaska. Ją znam dobrze – swego czasu leczyła się w naszej ubezpieczalni. To bardzo poczciwa kobieta, choć wojenne przeżycia całkowicie zszarpały jej nerwy.

– Czy Bela jest podobna do matki? – spytałem, a doktor pokiwał głową.

– Oczy ma takie jak Dora, orzechowe, ale włosy to chyba po ojcu, bo Dora Stern była blondynką. Miała niesamowicie szczupłe nogi, z których była ogromnie dumna. Zawsze nosiła wycięte mocno suknie, kończące się na takiej długości, na jaką pozwalała przyzwoitość. Pamiętam ją jak dziś – w wiśniowej satynowej sukni i z czarnym szalem gra na fortepianie barkarolę z *Opowieści Hoffmanna*... – doktor zamyślił się.

Wróciliśmy do domu w milczeniu, każdy zatopiony w swoich rozważaniach. Gdy wchodziliśmy w Batorego, doktor ponownie się odezwał.

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie: czego pan major ze swoimi pomagierami szukał u Mierzejewskich?

Popatrzyłem na niego bezradnie.

– Jeżeli dobrze kojarzymy wszystkie fakty, mogła istnieć druga teczka ze zdjęciami, po-

dobna do tej, jaką miał Jakub Sommer – powiedział.

– Rzeczywiście, wspominał pan o tym! Miały się tam znajdować kolejne fotografie tych dziewcząt, prawda?

Gruszewski pokiwał głową.

– Wiemy, że Leon Mierzejewski znał się z Albinem Zadurskim, po coś do niego przychodził do atelier. Wiemy też, że dawał Iwonie Horn recepty zdobyte od ojca i narkotyki ze szpitala. Być może Iwona opowiedziała mu o mrocznym interesie pana fotografa, a Leon, ryzykant i szaleniec, postanowił dorzucić do tej gry swoje trzy grosze. Domyślił się lub wiedział od Iwony, że istnieją zdjęcia dziewcząt Zadurskiego z ich klientami, służące być może do szantażowania tych ludzi...

– Poszedł do zakładu Zadurskiego i wykradł mu tę teczkę! – powiedziałem i nagle wszystko zaczęło mi się układać w głowie. – A Iwona zginęła, bo zdradziła się, że wie o szantażach...

Doktor zatrzymał się i ręką nakazał mi milczenie.

– To logiczne, i tak mogło być. Ale nie musiało, pamiętaj o tym. W piątek pójdziesz pod adres, który zapisałem ci na kartce. Zapytasz o ojca Wojciecha, a on powie ci, co dalej robić. Pamiętaj, musisz tam być za kwadrans drugą i mieć oczy otwarte bardzo szeroko! – sięgnął do kieszeni swego prochowca i wręczył mi małą karteczkę.

– A pan? Co pan będzie robił? – zapytałem, gdy byliśmy już na podwórzu naszej kamienicy.

– Odwiedzę raz jeszcze mojego przyjaciela na Grzegórkach – powiedział i uściśnawszy mi dłoń, poszedł szybkim krokiem do drzwi wejściowych swojej oficyny. Chwilę stałem na podwórku i patrzyłem za nim. W oknie zapaliło się światło i byłem prawie pewien, że doktor przyrządza sobie herbatę.

Nie wiem dlaczego, ale bardzo mnie to uspokoiło.

Jeżeli mieliśmy rację, strach Leona był całkowicie uzasadniony. Ten chłopak naprawdę miał powody, żeby się bać. Nie dziwiłem się też, że nie chciał z nami rozmawiać. Jeśli w tej sprawie za wszystkie sznurki pociągał major Nowakowski, sprawa wyglądała jeszcze bardziej przerażająco. W co oni się wplątali – i Leon, i ta biedna Iwona Horn? Ale czy biedna? Po raz kolejny uświadomiłem sobie, że wcale jej nie znałem. Wielbiłem jej powierzchowność, wydawała mi się pociągająca, bo obca i nieznajoma. Teraz, gdy dowadywałem się o niej więcej, napelniała mnie odrazą. Zepsuta i zła. Jaką ona rolę odgrywała? Kim naprawdę była? Zaczynałem podejrzewać, że sama tego nie wiedziała.

Następnego dnia, po zwyczajnym porannym dyżurze w ubezpieczalni, doktor wybrał się do Zakładu Medycyny Sądowej na Grzegórzeckiej. Swego kolegę doktora Janickiego zastał jak zwykle w małym pokoiku przy zakręcie korytarza nad stertą papierów.

Przywitali się krótko i doktor rzucił na biurko teczkę ze zdjęciami Jakuba Sommera.

– Powiedz mi, Stefan, ale w największej tajemnicy, czy któraś z tych kobiet na zdjęciach była twoją klientką tu w zakładzie?

Janicki, zapalił papierosa i zabrał się do kartkowania. Zdjęcia nie zrobiły na nim większego wrażenia, choć oglądał jej uważnie. Wreszcie wyciągnął jedną z fotografii i położył na biurku.

– Ta na pewno.

Doktor spojrział na zdjęcie nieznajomej blondynki.

– Także NN? – spytał, a Janicki pokiwał głową.

– Mielicie ostatnio więcej takich przypadków? Młode kobiety o nieustalonych personaliach, samobójstwa lub wypadki?

Janicki strzepnął popiół do popielniczki i potwierdził.

– Kilka. Większość nie na moim dyżurze, ale robiłem sobie notatki, bo mnie ciekawią takie rzeczy. Milicja nam przywoziła te ciała, nawet nie robiliśmy sekcji. Od razu przekazanie do Zakładu Anatomii dla studentów, tylko chodziło o to, że od nas, a nie od nich... Młode kobiety. Robiliśmy tylko pobieżne oględziny: utonięcia, czasem zwłoki bez żadnych śladów, być może samobójczynie – leki lub gaz. Ta – wskazał na zdjęcie – została uduszona, miała ślady na szyi, siniaki, ale nie bruzdę wisielczą, więc się nie powiesiła...

– Masz te notatki? – zapytał jeszcze Gruszewski, a jego kolega pokręcił przecząco głową.

– Nie. Zauważyli, że coś sobie tam zapisuję, i wszystko mi odebrali. Powiedzieli, żebym się tym nie interesował. Od tej pory nie uczestniczyłem już w oględzinach takich zwłok. Kolegów też wolałem nie podpytywać. W końcu – nie moja sprawa, jak to słusznie powiedzieli...

– Rozumiem – powiedział doktor.

– Moim zdaniem – Janicki zamknął teczkę i oddał ją doktorowi – ty też nie powinieneś się tym zajmować, Jerzy. Nie wiem, do czego doszedłeś, badając sprawę tego biedaka zadżganego przez nożownika, ale mówię ci – jeśli nie chcesz źle skończyć, zostaw to. Oni cały czas tego pilnują, daj sobie spokój. Ja też nie chcę o niczym wiedzieć, nie przychodź do mnie więcej. Nie mam ochoty wylądować tu kiedyś na stole jako zwłoki NN z pojedynczą raną kłutą w piersi...

Gruszewski spojrział na niego, ale nic nie powiedział. Nie miał mu za złe. Wiedział, że Janicki go nie wyda, chyba żeby sytuacja zrobiła się naprawdę gorąca. Zrozumiał też, że nie uzyska dostępu do wyników sekcji Iwony Horn. Janicki zapewne ich nie ma, a nawet gdyby miał...

Doktor pożegnał się szybko i wyszedł z Zakładu Medycyny Sądowej. Gmach tonął w ponurym cieniu, choć ulica była rozświetlona słońcem. Gruszewski złapał „siódemkę” i rozklekotanym tramwajem dojechał aż do skrzyżowania Długiej z Basztową. Tam wysiadł i chwilę, zupełnie bezmyślnie, wpatrywał się w witrynę księgarni Wydawnictwa Literackiego zarzuconą książkami Iwaszkiewicza. *Śława i chwala* – przeczytał tytuł i w tym momencie dotarła do niego absurdalność tej sytuacji. „*Śława i chwala* – jakież to ironiczne” – pomyślał.

Wrócił do domu i zastał tam kartkę od Marka Wojny. „Wspaniale” – było na niej wypisane drukowanymi literami. Zszedł na dół do apteki, by zadzwonić do „Dziennika Polskiego”.

Marek Wojna był w redakcji i od razu podszedł do telefonu.

– Spotkajmy się – powiedział, gdy tylko usłyszał, kto dzwoni. – W barze na targowisku, niedaleko Błoń, wie pan...

– Tak, wiem – odpowiedział Gruszewski i odłożył słuchawkę. Nie zastanawiał się długo. Rozejrzał się po aptece, gdzie farmaceutka podniesionym głosem objaśniała głuchawej staruszce, jak przyjmować jakieś proszki. Pisała coś na papierowej torebce, a potem wyciągała z niej lekarstwo w opłatku i tłumaczyła, że trzeba obficie popijać wodą, żeby zmiękło w ustach i dało się przełknąć. Babinka kiwała głową otuloną w chusteczkę i powtarzała: „Tak, tak, pani magister, tak, tak”, co najwyraźniej utwierdzało farmaceutkę w przekonaniu, że staruszka nic nie rozumie, i zaczynała wykład od nowa.

– Czy panu słabo, doktorze? – spytała jeszcze młoda kobieta, widząc, jak Gruszewski ciężko podnosi się z krzesła przy telefonie. On tylko zaprzeczył ruchem głowy, uśmiechnął się i włożył kapelusz.

„Mam czterdzieści pięć lat, a czuję się jak stary człowiek” – pomyślał. „A może jestem już stary? Filip na pewno uważa mnie za starca, podobnie jak swego ojca, a on jest jeszcze dwa lata młodszy ode mnie...”. Wzruszył ramionami. „W Hiszpanii każdego, kto przekroczył trzydziestkę, uważaliśmy za starego pryka, który nic nie rozumie, więc dlaczego coś miałoby się w tej materii zmienić?”

Szybkim, sprężystym krokiem, jakby udowadniając sobie, że na „śmietnik historii” jest jeszcze za wcześnie, dotarł do baru piwnego przy Placu na Stawach. Zbierały się tu różne męty z dzielnicy, ale też sporo porządných ludzi: robotnicy, który właśnie skończyli zmianę lub tacy, co „wyskoczyli na piwo”.

Był to najsłynniejszy lokal w okolicy, a może nawet w całej dzielnicy Zwierzyniec, działający w tym samym miejscu niezmiennie od przedwojnia. Ciemne wnętrze kryło szereg ocynkowanych blatów barowych, przy których stali amatorzy piwa, bo nie było tu w ogóle krzeseł ani stołków. Podłogę ułożono ze zwykłej kostki brukowej, a pod stolikami, wzdłuż ściany ciągnęła się betonowa rynna. Raz na jakiś czas na sali pojawiała się barmanka, chuda kobieta o wypłowiałych włosach, na których nosiła krzywo upięty dziwny stroik z poszarzałych sztucznych kwiatków i polewała podłogę wodą z gumowego węża. Krzyczała wówczas głośno: „Noooogi!”, a brudna woda spływała do rynny, a potem do kratki ściekowej. Ten zabieg niewiele jednak dawał – w lokalu zawsze śmierdziało piwskim i uryną.

Wojna stał już przy ocynkowanym blacie i kiwał ręką do Gruszewskiego. Doktor skinął głową i po chwili był już przy stoliku.

– I czego się pan dowiedział? – zapytał, a dziennikarz szybkim ruchem przechylił swój kufelek i skinął na kelnerkę, by podała dwa kolejne – jeden dla Gruszewskiego i powtórkę dla siebie.

– Pamięta pan, co mówiliśmy o tych ludziach? Tych, których mógł szantażować Zadurski lub – co bardziej prawdopodobne, jego mocodawcy?

– No? – powiedział Gruszewski, zastanawiając się, czy poszukiwania majora w domu Leona były owocne.

– Pogadałem trochę w redakcji, pociągnąłem za język Domanieckiego...

Gruszewski nie miał pewności, czy to był dobry pomysł. Długi język Domanieckiego działał w obie strony, więc nie potrafił ocenić, ile z tych informacji popłynie nie tam, gdzie trzeba. Lecz trudno, stało się.

– Spotkałem się też z tym mistrzem od zeza widlastego, wie pan... Pod pretekstem wywiadu na temat jego psychologicznych metod... Opowiedział mi zupełnie fantastyczną historię,

że stworzył psychologiczny portret zabójcy Iwony Horn, który w stu procentach odpowiada Maliszce... Bałwan!

– A czego się pan dowiedział w naszej sprawie? – przerwał mu doktor niecierpliwie.

– Właśnie. Domaniecki powiedział mi, że w ostatnim czasie w Krakowie zrobiło się nerwowo. Podobno były jakieś afery z pieniędzmi, ze złotymi pięciorubłówkami, „świnkami”, jak je nazywają. Sporo ludzi wyjechało, niektórzy zniknęli bez śladu, bo ponoć bezpieka wpadła na trop tego handlu walutą. Domaniecki opowiadał mi o niezwyklej sprawie architekta Borowskiego, zna pan tę historię?

– Przelotnie – machnął ręką doktor, popijając swoje piwo. – Facet zdaje się popełnił samobójstwo?

– Tak. I to w dosyć widowiskowy sposób. Miał samochód, pobieję, którym zjechał do kamieniołomu, zostawiając wcześniej list, że nie ma siły tak żyć i wreszcie się uwalnia. Pisał też o jakichś starych grzechach. Lekarze uznali, że był niepoczytalny, gdy wsiadał do auta.

– O ile pamiętam – powiedział doktor – Borowski miał pecha, bo szczęściem tego nie nazwę, samochód nie roztrzaskał się, tylko zatrzymał na jakimś drzewie, uwięziwszy ciężko ranne go architekta w środku.

– Dobrze pan kojarzy! Mężczyznę w ciężkim stanie odnaleziono, właśnie dzięki temu poźegnalnemu listowi, i odwieziono do szpitala, gdzie w kilka godzin zmarł... Domaniecki mówi, że było parę równie dziwnych wypadków i samobójstw, a trudno mu uwierzyć, że wszystkie te osoby handlowały walutą lub skupowały ją...

– Czemu nie? – filozoficznie powiedział Gruszewski. – Po tej ostatniej bandyckiej wymianie pieniędzy sam miałbym ochotę kupić trochę złota, tylko jest jeden szkopuł – nie mam za co...

Wojna roześmiał się tubalnie, aż kilku bywalców baru podniosło na nich wzrok.

– Przejrzałem gazety – powiedział, wyciągając notes. – Dokładniej rzecz biorąc, kronikę wypadków. I wynika z tego, że ostatnio sporo „szanowanych obywateli” nie miało szczęścia. To znane nazwiska: dyrektorzy państwowych przedsiębiorstw, prawnicy, nawet profesor uniwersytetu. Ten ostatni to ciekawa sprawa – został przejechany przez niezidentyfikowany samochód na przejściu dla pieszych, milicja poszukuje sprawcy...

– Co pan sugeruje? – zapytał Gruszewski. – Że wszyscy byli klientami atelier Zadurskiego?

Wojna wzruszył ramionami.

– A pan tak nie myśli? Takich ludzi zawsze warto mieć w ręku, a to można załatwić albo pieniędzmi, albo szantażem. Dla bogatych zapewne pieniądze nie są aż tak wielkim wabikiem, choć ponoć gdy ktoś ma milion, czuje się zawsze biedniejszy od tego, co ma dwa miliony... W każdym razie szantaż jest zawsze pewniejszy i prostszy... Ktoś bada upodobania tych panów – zawsze kobiety są na pierwszym miejscu listy i okazuje się, że nasi bohaterowie gustują w młódkach. Ktoś obiecuje zaaranżować dyskretne spotkanie, bierze za to być może pieniądze, pokazuje zdjęcia... Potem odbywają się schadzki... Zapewne w wynajętych do tego celu lokalach – koleżanki Iwony mówiły, że widywały ją ze starszymi mężczyznami w różnych miejscach miastach. W tych „pokojach umeblowanych” słodkiemu tête-à-tête towarzyszy ktoś jeszcze – pan Zadurski, artysta aparatu fotograficznego, który robi swej ofierze kolejne zdjęcia do domowego albumiku.

– Domowego albumiku służby bezpieczeństwa – dopowiedział Gruszewski.

– Właśnie. Przekazuje urobek swym mocodawcom, a oni robią z niego właściwy dla siebie użytek. Być może to nawet on rekrutował „modelki” spośród kobiet, które przychodziły

do jego atelier. Dowiedziałem się, że na zamówienie zakładów pracy i szkół robił też pamiątkowe fotografie z okazji różnych uroczystości. Zapewne jego mocodawcy załatwili mu te zlecenia. I wszystko działa cudownie, póki Zadurski nie pozna Iwony Horn. Bo nasz pan Albin zakochał się w niej i pragnie zatrzymać ją dla siebie. Być może, by jej zaimponować, pokazuje zdjęcia, które zrobił innym dziewczętom. Albo próbuje ją zaszantażować, że wyzna prawdę Hornom. W każdym razie wydarza się coś, po czym Iwona już wie, jak kręci się ten cały interes i czemu naprawdę służy...

– Iwona rozpoznaje mocodawcę Zadurskiego – powiedział Gruszewski cichym głosem, ściskając kufel tak, że pobielala mu skóra na kostkach rąk.

Wojna poderwał głowę i spojrzał na niego z wyczekiwaniem.

– To ojciec jej klasowej koleżanki, Ireny Nowakowskiej, major Edward Nowakowski... Pracujący w gmachu przy ulicy 18 Stycznia 4 oficjalnie jako kierownik kancelarii wydającej jakieś druczki obywatelom... A tak naprawdę – uzdolniony śledczy.

– Nowakowski? – Wojna zastanawiał się chwilę. – Gdzieś już padło to nazwisko... Ciągłe wydaje mi się, że przy sprawie tych złotych rubli, bo wszystko się wokół tego kręciło... Oczywiście oficjalnie.

– Iwona domyśliła się albo dowiedziała, kto za tym wszystkim stoi. Być może powiedział jej o tym głupi i zaślepiony pożądanym Zadurski, który chciał się pochwalić swoimi koneksjami. W tym momencie podpisał na nią wyrok...

– Nowakowski wysłał do Hornów swojego zbira, aby ten zlikwidował Iwonę – pokiwał głową Wojna. – Wie pan, doktorze, ja jestem prosty chłopak z warszawskiej Woli, u nas mówi się, że bezpieka ma takich swoich cyngli, co za pewną bezkarność wykonują różne zlecenia...

– Tak – przyświadczył doktor. – Kryją dachy również na mokro. To z kolei nasze powie-dzenie.

Popatrzyli na siebie w milczeniu. Wreszcie doktor sięgnął po prawie już pusty kufel.

– Pamiętam, że w Hiszpanii też mieli takie brygady od brudnej roboty. Rekrutowali przestępców, różnego rodzaju bandytów, także zwykłych sadystów. Ci byli gorsi niż „Legion Condor”

...

– Był pan w Hiszpanii? – zapytał Wojna cichym głosem, a Gruszewski skinął głową.

– Mój ojciec też. Zginął nad rzeką Manzanares...

Doktor nic nie odpowiedział, tylko poklepał dziennikarza po plecach.

– No więc co, panie doktorze? Sprawa zamknięta? – spytał w końcu Wojna.

– Dla nas tak. Dalej zaczynają się już bardzo grząskie bagna. A żaden z nas chyba nie chce w nich utonąć, prawda?

Wojna uśmiechnął się blado i skinął na kelnerkę, by przyniosła jeszcze po jednym kuflu. Gruszewski odmówił i pożegnał się z dziennikarzem serdecznie.

Tego dnia czekałem na Belę Lidner, żeby odprowadzić ją do domu po lekcji muzyki. Stałem na podwórzu, słuchając, jak wygrywała sonatiny z wprawą kształconej pianistki. Na ile mogłem to ocenić – grała doskonale.

Gdy wracaliśmy na Puszkina, udało mi się wziąć ją za rękę. Bela odwróciła do mnie uśmiechniętą twarz. Nigdy nie zapomnę jej rysów – delikatnego owalu bladego oblicza i orzechowych oczu ocienionych gęstymi rzęsami, które rzucały na jej policzki podłużne cienie.

– Przez całą wojnę ciotka udawała, że jestem jej córką, nazywała mnie wtedy Izabela Bilska. Często się przeprowadzałyśmy... Potem po wojnie ciotka stwierdziła, że nigdy nie wolno mi zapomnieć mojego prawdziwego imienia i nazwiska i że od teraz jestem Bela Lidner. Opowiedziała mi o mamie i tacie, bo ja ich nie pamiętam, miałam niespełna rok, jak poszli... Ciotka jest katoliczką, bardzo religijną, ja też jestem ochrzczona, tutaj, na Piasku... Ciotka przed wojną mieszkała na Łobzowskiej... Posłała mnie do sióstr, mówiąc, że tam najbezpieczniej... Ale koleżanki nie bardzo mnie lubią, mówią, że jestem Żydówka... No jestem, ale czy to ma aż takie znaczenie? – podniosła oczy, a ja uściśnąłem mocniej jej rękę.

– Nie ma znaczenia, Belu. W każdym razie – nie powinno...

Bela pokręciła głową i powiedziała smutno:

– Ciotce jest tutaj źle. Coraz częściej mówi o wyjeździe do swojej siostry, która przed wojną osiedliła się w Ameryce. Tamta ciocia przysyła nam różne rzeczy i wciąż pisze, żebyśmy przyjeżdżali, bo tam nikt nas nie będzie prześladował...

– I ty chcesz jechać? – zapytałem, zupełnie tracąc oddech.

Bela zaprzeczyła.

– Kiedyś myślałam, że to będzie dobre. Tam mają świetne szkoły muzyczne. Konserwatoria. Ciotka mówi, że mam talent jak mama i nie mogę go zmarnować... Ale teraz, gdy się poznailiśmy... Sama nie wiem...

Byliśmy już przy furtce domu na Puszkina. Widziałem, jak pani Bilska wygląda z niepokojem przez okno. Gdy jednak zauważyła nas, szybko cofnęła się w głąb pokoju, a może tylko za firankę. Nie obchodziło mnie to. Dotknąłem dłonią policzka Beli i przeciągnąłem opuszkami palców po jej delikatnej jak światło księżycy skórze. Uśmiechnęła się, a w jej oczach zobaczyłem to, na co czekałem. Radosną niepewność. Przechyliłem głowę i pocałowałem Belę w lekko zaróżowione wargi. Objęła mnie i chwilę tak staliśmy złączeni tym pierwszym i niewprawnym jeszcze pocałunkiem.

– Bela! – usłyszeliśmy głos z okna i odskoczyliśmy od siebie jak oblani wrzątkiem. To ciotka uznała, że czas interweniować.

– Do zobaczenia, Filipie – powiedziała miękko Bela, a jej oczy się śmiały, gdy podawała mi rękę.

Ten obraz – Beli z roziskrzonymi orzechowymi oczami i włosami lekko potarganymi przez wiatr – zatrzymałem w pamięci na zawsze. I nawet teraz, kiedy patrzę w telewizyjny odbiornik, gdy nadają transmisję konkursu Chopinowskiego i „profesor Isabell Lidner” jest jedną z jurerek, siwą panią w ogromnie wytwornej sukni, zawsze widzę w niej siedemnastoletnią Belę, która odwróciwszy się ode mnie, pobiegła ścieżką w głąb ogrodu na Puszkina, a ja jeszcze przez moment słyszałem odgłos jej szybkich kroków.

Na Batorego czekał na mnie zaniepokojony doktor Gruszewski. Martwił się, bo nie zostawiłem żadnej wiadomości, a wyleciało mu z pamięci, że umówiłem się z Belą. Wręczył mi spory pakunek i przypomniał o jutrzejszej wyprawie na Plac Axentowicza.

– Otwórz to dopiero na miejscu i bardzo, bardzo uważaj. Obserwuj nie tylko Zadurskiego, ale i okoliczne domy. Okna. Wszystko, co tylko będzie w zasięgu twego wzroku.

Obiecałem mu wypełnić dokładnie polecenie, ale tak naprawdę chciałem wrócić do domu i zamknąć się w swoim pokoju. Byłem zakochany w Beli Lidner i pragnąłem rozkoszować się tym stanem w samotności. Bela... Na samo jej wspomnienie chciało mi się śmiać i wygłupiać. Zdałem sobie sprawę, że to uczucie było zupełnie inne niż fascynacja Iwoną Horn. Tak jakbym przechodził z mroku w jasność. Miłość do Iwony przynosiła mi jedynie udrękę, cierpiałem z powodu jej wyskoków, dręczyłem się zazdrością o Adama. Bela była moja i tylko moja, a poza tym odpowiedziała na moje uczucie. Jej ewentualną emigracją nie martwiłem się ani trochę. W końcu nie tak łatwo było wyjechać, a zwłaszcza do Ameryki. Tego nie robiło się ot tak! Takie sprawy załatwiano się miesiącami, żeby nie powiedzieć latami... Tak więc perspektywa nie przerażała mnie w ogóle. Być może coś takiego majaczyło na horyzoncie, ale był to daleki i zamglony obraz.

Następnego dnia do szkoły pobiegłem jak na skrzydłach, w szampańskim wręcz nastroju. W klasie wszyscy rozmawiali o środowowej próbie generalnej, bo właśnie ukazała się pochlebna recenzja w „Dzienniku Polskim”, zapraszająca jednocześnie na sobotnią premierę. Wszyscy byli podnieceni i rozgorączkowani, a ja uświadomiłem sobie, że nie zostawiłem w domu zaproszeń dla rodziców i siostry. Czym prędzej złapałem Tacka Brauna, który dystrybuował bilety, i wydarłem mu z ręki trzy ostatnie. Odetchnąłem z ulgą. I tak – wiedziałem – będę się musiał gęsto tłumaczyć przed matką, dlaczego rodzina nie otrzymała zaproszenia na próbę generalną. Matka była wierną czytelniczką „Dziennika” i zapewne już dotarła do tej informacji, której nie sposób było przeoczyć, bo zajmowała pół szpalty, a w dodatku została ozdobiona dużym zdjęciem całej naszej trupy.

Szkoła kończyła się około pierwszej, ale ja nie poszedłem na obiad do domu. Wyciągnąłem tylko pakunek od doktora Gruszewskiego, a teczkę schowałem w szatni, licząc na to, że bez trudu odbiorę ją w sobotę podczas przedstawienia, i pomknąłem na Plac Axentowicza.

Pod adresem zapisanym przez doktora znajdował się kościół pod wezwaniem świętego Szczepana. Skierowałem się wprost do zakrystii, starając się nie dziwić niczemu. Otworzył mi stary zakonnik, a ja spytałem o ojca Wojciecha, tak jak przykazał mi doktor. Braciszek kiwnął głową i zaraz przyszedł młodszy nieco duchowny, który bez słowa wręczył mi duży żelazny klucz i kazał pójść za sobą. Cicho przemknęliśmy przez kościół, pustawy o tej porze, i dotarliśmy do wejścia na ośmiokątną wieżę. Tu zakonnik mnie zostawił, a ja zrozumiałem, że muszę sobie radzić sam. Otworzyłem zamek otrzymanym kluczem, a potem zamknąłem drzwi za sobą. Po niewiarygodnie stromych schodach wszedłem na górę. Z niewielkiego okienka roztaczał się imponujący widok na plac i okoliczne ulice. Mogłem stąd zaglądać nie tylko do ogródków pobliskich willi, a nawet ludziom do okien. Była dokładnie za kwadrans druga, jak chciał doktor. Rozwinąłem pakunek i aż krzyknąłem z zachwytu. W solidnym czarnym futerale mieściła się wojskowa lornetka. Teraz zrozumiałem dokładnie słowa Gruszewskiego, który kazał mi się przyglądać nie tylko ludziom, ale i budynkom. Wyostrzyłem okular i na próbę spojrzałem na plac. Na ławce siedział dziadek pilnujący dwójki bawiących się wnuków i czytający gazetę. Bez trudu dostrzegłem nagłówek z pierwszej strony „Trybuny Ludu” o obradach kierownictwa Partii.

Lornetka była tak doskonała, że mogłem wręcz policzyć ludziom włosy na głowie. Patrzyłem na drzewa, ptaki i okna sąsiednich domów, w których kwitło popołudniowe życie. W jednym pokoju, przy otwartym oknie pani odpoczywała na otomanie, czytając książkę (Upadek Alberta Camusa, przetłumaczony dwa lata wcześniej), w innym domu „dziewczyna” brała się za przygotowanie obiadu, a konkretnie filetowanie ryby. Gdzie indziej małe dziecko spało smacznie w wózeczku o dużych metalowych kołach.

Spojrzałem na plac. W samą porę, bo zobaczyłem Albina Zadurskiego, który w swoim tabaczkowym ubraniu szedł w kierunku wolnej ławki. Była to akurat ławka w pobliżu starszego pana urozmaicającego sobie pilnowanie wnucząt lekturą „Trybuny Ludu”. Pan ów nie zwrócił na Zadurskiego najmniejszej uwagi, podobnie jak dzieci, zajęte rysowaniem na trotuarze klasy do gry. Oprócz nich na placu była jakaś damulka z pudelkiem oraz trzech uczniów, którzy najwyraźniej postanowili sobie umilić piątkowy powrót do domu grą w zośkę, bo zrzucili szkolne kurtki obok tornistrów i dopingowali się wzajemnie, dryblując ołowianą kulką ozdobioną kolorowymi nitkami. Co chwila słyszałem ich pokrzykiwania: „Z podania za dwa!”, „Szczur!”, „Ręka w kółku, gol!!!”, „Zębki za pięć!”, „Podaj, podaj!”.

Żadna z tych osób nie wyglądała mi na „kontakt” Zadurskiego, który siedział nieruchomo, sztywno i wpatrywał się w wylot ulicy Sienkiewicza. Spojrzałem tam i ja. Ulicą nikt nie nadchodził, wyglądała na spokojną i cichą, w oddali jedynie usłyszałem brzęknięcie tramwaju zajeżdżającego na przystanek na Placu Wolności.

Spokój i cisza późnowiosennego popołudnia.

Nagle Zadurski zdjął z głowy kapelusz i podrapał się po przerzedzonych włosach. Spojrzałem na plac. Sytuacja nie zmieniła się ani na jotę, może tylko pani z pieseczką przemieściła się bardziej w stronę ulicy Kazimierza Wielkiego, ale i tak stała tyłem do pana Albina.

Zerknąłem na kamienicę znajdującą się naprzeciwko ławki fotografa i położoną przy samym rogu ulicy Sienkiewicza i Kazimierza Wielkiego. Na drugim piętrze ktoś otworzył drzwi balkonowe i pokazał się w nich mężczyzna zapalający papierosa. Wyostrzyłem lornetkę i poznałem

go – był to ów narzeczony córki pani Arciszewskiej, milicjant o prostackim obliczu parobka, Kulesza. Tylko teraz był bez munduru, odziany w zniszczone brązowe ubranie, jakie masowo można było kupić w PDT-ecie.

W tym momencie przeszedł mnie dreszcz. Bela powiedziała, że podczas tego dziwnego przeszukania w mieszkaniu Mierzejewskich majorowi towarzyszyło dwóch „zakapiorów”, jak ich określiła ciotka, pani Bilka. Jeden z nich miał właśnie chłopską, grubo ciosaną twarz. Byłem pewien, że tamtego dnia willę przy Puszkina odwiedził Kulesza z jeszcze jakimś pomagierem.

Czy to jednak ten chłopiec-roztropiec zabił Iwonę? Kulesza zapalił papierosa prawą ręką i wyrzuciwszy zapalniczkę, podniósł do góry rozczapierzoną dłoń. Pan Albin założył kapelusz i poprawił go starannie. Przestał się wpatrywać w wylot ulicy Sienkiewicza, popatrzył z zaciekawieniem po placu. Dzieci skakały z zaangażowaniem, przekrzykując się, trzech młodzieńców liczyło sobie punkty w zośce. Damulka krzyknęła na psa: „Aida!” i ruszyła w stronę alei Grotgera. Drzwi balkonu na drugim piętrze zamknęły się i Kulesza zniknął w środku.

Albin Zadurski zebrał się powoli z ławki, starannie otrząsał spodnie i niespieszonym krokiem ruszył w kierunku Placu Wolności. Z kieszeni marynarki wydobył paczkę belwederów w charakterystycznym tekturowym opakowaniu i wyłuskawszy papierosa, zapalił. Puste opakowanie zmiażdżył w rękę i rozejrzał się za koszem. Z naprzeciwka nadchodził jakiś grubawy jegomość w prochowcu. Czujnie przywarłem do okulara lornetki, gdy Zadurski rzucił pudełko do kosza, nie trafiając celnie. Zmięty śmieć upadł na trawnik, a pan Albin utykając, szybkim krokiem wyminął jegomościa i przeszedł przez ulicę. Ów mężczyzna w prochowcu zatrzymał się na chwilę i schylił, by poprawić mankiet u spodni. Dałbym sobie głowę uciąć, że przy okazji nieznacznym ruchem podniósł pudełko! Oczywiście starałem się dostrzec, w którą stronę odchodzi, ale zniknął mi z oczu po kilku metrach, skręcając w boczną uliczkę.

Spojrzałem na plac. Wszystko wyglądało tak jak poprzednio. Nikt nie zauważył całego zdarzenia – dzieci nadal grały w klasy, a uczniowie w zośkę, starszy pan nudził się nad „Trybuna Ludu”. Przekazanie wiadomości odbyło się tak dyskretnie, że sam byłem pełen podziwu! Ile razy takie rzeczy miały miejsce w mojej nieświadomej obecności? Być może tysiące! Patrzymy, ale nie zwracamy uwagi na to, co dzieje się wokół nas. Piękny, słoneczny dzień, a tuż obok toczą się nieczne i ciemne sprawy...

Odczekałem dłuższą chwilę, wciąż obserwując wiadomy balkon, ale nikt się na nim nie pojawił. Jegomość w prochowcu także jakby zapadł się pod ziemię. Gdy usłyszałem sygnał obwieszczający godzinę trzecią, złożyłem i zabezpieczyłem lornetkę, a potem starannie zamknąłem drzwi na klucz, który oddałem furtianowi.

Wyskoczyłem na ulicę i szybko oddaliłem się w kierunku Łobzowskiej. Nie chciałem nawet zbliżyć się do domu na rogu Sienkiewicza i Kazimierza Wielkiego. Bałem się, że Kulesza także wyjdzie ze swego lokalu obserwacyjnego i przypadkiem natknie się na mnie. Byłem pewny, że mnie rozpozna. W końcu Zadurski także mnie widział w swoim zakładzie i to w nader nieprzyjających okolicznościach, więc jeśli by poskładali jedno z drugim... Aż dreszcz mnie przeszedł... Prawie biegiem przeskoczyłem przez aleję Słowackiego i unikając najgorszego niebezpieczeństwa, dotarłem do Łobzowskiej. Stąd było tylko kilka kroków do domu lub do ubezpieczalni, do doktora Gruszewskiego. Wybrałem tę drugą możliwość, bo trzeba było oddać mu lornetkę i czym prędzej zdać relację z tego, co zobaczyłem.

Wpadłem do ubezpieczalni na Batorego jak bomba, ledwie zdążywszy zapytać w rejestracji, czy doktor jest u siebie. Był, jak zwykle, i czekał na mnie, uzupełniając coś w dokumentacji. Na stoliku przed nim leżał stos papierów.

Nie zdziwił się zbytnio tym, co powiedziałem, co z kolei mnie nieco zaskoczyło.

– Drogi Filipie – powiedział powoli. – Widzisz, jak ta historia się ułożyła... Spodziewali-

śmy się takiego rozwiązania, prawda?

– No ale ten człowiek, Jacek Maliszko... Przecież on jest niewinny – powiedziałem głupio, a doktor wyciągnął z szuflady paczkę sportów i zapalił jednego.

– Myślisz, że jesteśmy w stanie coś zrobić?

– A gdybyśmy dali jego adwokatowi te zdjęcia, bezimiennie, i napisali anonim, informując o wszystkim, jak pan myśli?

– Nie sędzę, żeby to coś zmieniło. Wyrok już dawno zapadł.

– Więc nic nie zrobimy? – powiedziałem rozczarowany. – Nie mamy na nich żadnego sposobu?

– Mamy. Będziemy czekać i obserwować. I kiedyś im się powinie noga... Poza tym wciąż nie jesteśmy pewni, kto zabił Iwonę Horn i biednego Jakuba Sommera... Wiemy tylko, na czyje polecenie...

Zgnębiony wróciłem do domu, gdzie matka przywitała mnie wymówkami. Przeczytała recenzję z „Dziennika” i nie mogła się nadziwić mojej bezduszości.

– Jak mogłeś nam o tym nie powiedzieć? – powtarzała co chwila.

Sięgnąłem do kieszeni szkolnej kurtki i wyciągnąłem trzy zaproszenia na premierę. Matka nie wątpiła, że premierowe przedstawienie będzie doskonałe.

Położyłem się spać z poczuciem klęski. Nawet jeżeli dotarliśmy do rozwiązania sprawy Iwony Horn, to nie satysfakcjonowało mnie ono zupełnie.

Następnego dnia aula była znowu wypełniona po brzegi. Reklama w prasie zrobiła swoje i pojawił się u nas tłum ciekawskich, którzy z braku wolnych krzeseł tłoczyli się na schodach i korytarzu. Byłem przerażony tym zbiegowiskiem, zwłaszcza że musiałem pomóc Elizie wejść po schodach. Wiedziałem, że będzie się wstydziła swoich kul i aparatu ortopedycznego. Zawsze w takich sytuacjach mówiła, że ludzie się na nią gapią i czuje się, jakby była naga.

Teraz też, gdy stanęliśmy u podnóża schodów i Eliza zobaczyła to morze głów, miała ochotę zawrócić; spojrzałem na jej twarz ściągniętą strachem i postanowiłem za wszelką cenę zaprowadzić ją do auli. W końcu tak pragnęła zobaczyć to przedstawienie!

Niespodziewanie pomógł mi Adam Milicz. Przywitał się z Elizą i wziął ją pod rękę. Ja szedłem z drugiej strony, a za nami podążali moi rodzice. Nikt nie zwrócił uwagi na kalectwo mojej siostry, a koleżanki z Nałkowskiej wręcz zazdrościły jej tej eskorty Adama.

Sztuka znów wyszła nam świetnie, choć tak jak wspominałem – to na próbie generalnej daliśmy z siebie wszystko. Gdy wyszedłem na scenę do wiwatów i oklasków, zauważyłem, że rodzice zerwali się z miejsc, pomagając wstać również Elizie. Moja siostra była wniebowzięta i widziałem, że miała łzy w oczach. Ojciec, choć przecież nie gustował w takich rozrywkach, również nie posiadał się z dumy. Odprężyłem się i powiodłem uszczęśliwionym wzrokiem po sali. Wszędzie słyhać było brawa i okrzyki. Dostrzegłem matkę Michała Webera, która klaskała tak zapamiętale, że przekrzywił jej się kapelusz na głowie, niepozorną mamę Adama Milicza, która wycierała oczy chusteczką, i wreszcie ojca Ireny Nowakowskiej. Major miał jedno z najlepszych miejsc w środku pierwszego rzędu i widziałem go tak dobrze, jakby stał przede mną. Był wysoki i górował nad tłumem, klaszcząc i krzycząc „brawo”. Nie wiem skąd podano mu bukiet róż, który rzucił na scenę w ten sposób, aby upadł pod nogi Ireny. Dziewczyna chwyciła kwiaty wdzięcznym gestem i ukloniła się publiczności w tak ładny sposób, że burza oklasków jeszcze się wzmożła. Dumny jak paw Nowakowski odwrócił się ku widowni, by pomachać ręką, jakby chciał powiedzieć: „Patrzcie! To ona! Moja Irina jest tu gwiazdą!”. Ja nie mogłem jednak oderwać wzroku od jego dłoni, lekko pobrudzonej atramentem, najwyraźniej ze źle piszącego pióra. Od jego lewej ręki...

Słabo mi nawet teraz, gdy o tym piszę... Upuściłem lirę, mój idiotyczny rekwizyt, i uciekłem ze szkoły. Moi rodzice uznali, że było to podyktowane wzburzeniem po przedstawieniu. „Nerwy mu puściły” – powiedzieli, gdy w nocy znowu miałem gorączkę i trzeba było wezwać doktora Gruszewskiego. Powiedziałem mu o wszystkim, a on pokiwał głową, jakby wiedział albo przynajmniej się domyślał.

– Będziemy czekać i obserwować – stwierdził ponownie. – I doczekamy się. Mój przyjacielu, jest takie chińskie przysłowie: „Usiądź na brzegu rwącej rzeki i spokojnie czekaj, aż woda

przyniesie ci trupa twojego wroga”.

Wyzdrowiałem. Zakończył się też dziwny proces Maliszki, który wyglądał jak farsa. Maliszko był niepoczytalnym, chorym umysłowo człowiekiem, nie bardzo rozumiejącym, co się z nim dzieje. Gdy opowiadał o zabójstwie Iwony, zdałem sobie sprawę, że nigdy nawet nie był w tym mieszkaniu. Patrzyłem na owo przedstawienie z przerażeniem, wiedząc, że będzie kosztowało tego człowieka życie.

Tak też się stało. Sąd orzekł karę śmierci, adwokat nieudolnie się odwoływał, prosząc o złagodzenie wyroku do 25 lat, bo dożywocia ówczesny kodeks nie przewidywał, apelację odrzucono, podobnie jak prośbę o łaskę skierowaną do Rady Państwa. Ponad dwa lata po zabójstwie Iwony, kiedy nad jej grobem zdążyły po raz kolejny zakwitnąć piękne róże zasadzone ręką jej matki, wyrok wykonano.

Dreszcz mnie przechodzi, gdy myślę o tym, przekonany, że i tego człowieka, szalonego Jacka Maliszko, mam na sumieniu.

Czas płynął. Doktor Gruszewski zmarł na serce pięć lat po opisanych tu wydarzeniach, nie doczekawszy się sprawiedliwości. Przed śmiercią zdażył mi oddać teczkę Jakuba Sommera, którą przechowywałem ze wstrętem i nie wiedziałem, gdzie ukryć.

Wiosną 1968 roku wielu naszych znajomych wyjechało z Polski, dom przy Batorego częściowo opustoszał, mieszkania zajęli inni ludzie. Opróżniono też strych ze starych połamanych gratów, bo ponoć groził pożarem. Właśnie wtedy odkryto przypadkowo skrytkę, w której ktoś być może ukrywał się w czasie wojny. Stał w niej wspaniały fortepian Maison Pleyel, należący kiedyś do Fryderyka Chopina, który czym prędzej oddano do muzeum. Żałowałem, że Bela Lidner tego nie widziała i nie mogła na nim zagrać.

Bela wraz z ciotką wyjechały do Stanów Zjednoczonych w dwa miesiące po premierze naszej sztuki, jeszcze zanim wyrok w sprawie Maliszki się uprawomocnił. I tym razem się myliłem – jej ciotka od dawna to planowała i w momencie, gdy poznałem Belę, wszystko było już prawie gotowe. Ta strata dobiła mnie jeszcze bardziej niż proces. Po prostu nie chciało mi się żyć. Nigdy nie przeboleiałem rozstania. Jakoś tak moje życie się potoczyło, że nie ożeniłem się i nie założyłem rodziny. Straciłem też serce do domu przy Batorego. Gdy tylko nadarzyła się okazja, wyprowadziłem się kawalek dalej, do niepozornego mieszkanka naprzeciwko ubezpieczalni. Z okna kuchni mogłem zaglądać do dawnego gabinetu doktora Gruszewskiego, gdzie oczywiście ordynował już inny lekarz, a właściwie lekarka, którą oglądałem dzień w dzień przez kolejne kilkanaście lat.

Mój ojciec zmarł w połowie lat 70. Nigdy nie rozmawiałem z nim o tamtych wydarzeniach, podobnie jak nigdy już nie poruszyliśmy tematu hiszpańskiego skarbu i tajemniczej mapy. Raz próbowałem nawiązać do tej pamiętnej rozmowy, ale ojciec spojrzał na mnie groźnie i powiedział, żebym trzymał język za zębami, jeśli mi życie miłe. Oczywiście bałem się, że może zjawić się u mnie emisariusz po mapę, o której wspominał mi ojciec, i bardzo się lękałem, co mu wtedy powiem. Po śmierci ojca wybrałem się nawet do muzeum i poprosiłem o możliwość zwiedzenia magazynu. Jak łatwo się domyślić, nie było w nim już żadnego portretu wodza rewolucji, bo czasy się zmieniły. Ojciec ostatecznie nie przekazał mi testamentu Andresa Nina. Lata mijały, emisariusz nie przyjeżdżał, a ja powoli zapominałem o tej sprawie, która zaczęła wydawać mi się jakimś dziecinnym wymysłem, być może wyczytanym z przygodowych książek. Nie mogłem wprost uwierzyć, że była prawdziwa. Bardzo chciałem pojechać do Hiszpanii i odwiedzić miasteczko Dos Santos, a jednak nie było mi to dane. Kilka lat temu sprawa wojny domowej wróciła na pierwsze strony gazet, bo poszukiwano miejsca pochówku Federica Garcii Lorki. Śledziłem te informacje przez wzgląd na mego ojca i historię testamentu Nina. Choć ciała wielkiego poety nie odnaleziono, ja trafiłem na wiadomość, która mnie zelektryzowała – przez Dos Santos poprowadzono autostradę, wysiedlając prawie całą wioskę i niwelując grunt. W ten sposób zakończyła się więc sprawa skarbcza Republiki, który leży – być może – przykryty asfaltem i stał się dla mnie nieosiągalny.

Długo zastanawiałem się nad okrucieństwem historii – Andres Nin powierzył tajemnicę memu ojcu, który przez całe swoje życie strzegł tego sekretu, jak umiał najlepiej. Trzej depozytariusze testamentu zapłacili za swój los wysoką cenę – żaden z nich nie dożył późnej starości. Skarbiec miał ocalić Republikę, ale nie przyniósł jej ani wolności, ani szczęścia. Tym, którzy go

ukryli, również w symboliczny sposób zmarnował życie. I nie tylko im. Także mnie, Adamowi i Iwonie.

Co roku w Wielki Piątek chodziłem też na Cmentarz Rakowicki, odwiedzić jej grób. Przez pierwsze lata nie zbliżałem się do mogiły, bojąc się, że ktoś mnie rozpozna, padną jakieś niewygodne pytania. Tak, tak, czułem się jak przestępca schwytyany na gorącym uczynku.

Po pewnym czasie wszyscy zaczęli zapominać o Iwonie Horn. Minęły lata 70. i zaczął się karnawał Solidarności, potem w stanie wojennym ludzie mieli ważniejsze sprawy na głowie niż interesowanie się dawno zamkniętym morderstwem sprzed lat. Na cmentarz przychodziło coraz mniej kolegów i koleżanek oraz wścibskich sąsiadów. Ignacy Horn zmarł w tym czasie i pochowano go obok córki. Owdowiała pani prokuratorowa wystawiła obojgu pomnik. Dla mnie był on upiorny, gdyż przedstawiał podobiznę z medalionu Iwony – dziewczynę z aniołem. Widać pani Horn uznała, że ta rzeźba w najlepszy sposób upamiętni jej córkę. Po kilku latach i ona umarła, cicho przyłączając się do swoich najbliższych.

Ja ciągle trwałem na swoim miejscu, w kamienicy naprzeciwko ubezpieczalni. Czasy się zmieniały, przychodzili i odchodzili ludzie, a ja nie zamierzałem opuszczać tej ulicy. Był to dla mnie rodzaj pokuty, bo nieraz myślałem o ucieczce od wspomnień i wyrzutów sumienia. Mogłem wyjechać za granicę, robić tam karierę naukową, ale wolałem dręczyć się swoimi myślami tutaj. Mieszkałem więc sam, jedynie w towarzystwie kota, którego nazwałem Bela, i czekałem.

Przez lata obserwowałem upadek kariery majora Nowakowskiego, którego w końcu zwolniono ze służby. Było to odejście w niesławie, bo rozliczono go z ciemnych sprawek, w jakich maczał palce. Nie powiem – przyniosło mi to nieco satysfakcji, choć zemsta nie dokonała się moimi rękami. Rozpił się wtedy straszliwie i często widywałem go, gdy powłócząc nogami, szedł do sklepu monopolowego, a później na melinę Pod Błękitnym Aniołem (koło posterunku MO) w poszukiwaniu trunku. Nie przypominał już w niczym dumnego oficera o twarzy sadysty, ale ja dalej go nienawidziłem i uważałem, że rachunki nie zostały wyrównane. Zapił się wreszcie na śmierć, ponoć alkoholem zatrutym karbidem. Poszedłem na jego pogrzeb, na którym nie było żadnego z członków rodziny, nawet Ireny, która już wiele lat wcześniej uciekła za granicę, za co ojciec ją wydziedziczył. Przyglądałem się garstce kolegów majora, licząc na to, że wypatrzę może jego pomagierów, a przede wszystkim Artura Kuleszę o twarzy parobka, ale nie mogłem nikogo rozpoznać w tych ludziach o zniszczonych i obrzmiałych twarzach.

Śmierć Nowakowskiego przyniosła mi pewną ulgę. Miałem wrażenie, że zamknęła całą sprawę Iwony Horn. Jej zabójca poniósł karę, choć rozłożoną na raty przez lata picia i upodlenia.

Uspokoilem się i zacząłem wreszcie wieść w miarę normalne życie.

Mijały lata. W końcu, zupełnie niedawno, dozorca z mojej dawnej kamienicy na Batorego przyniósł mi list wysłany jeszcze na stary adres. Ze znaczkiem z Kanady i bez nazwiska nadawcy. Zdziwiło mnie to bardzo, bo w Montrealu nikogo nie znałem.

Rozdarłem kopertę drżącymi rękoma i już po chwili zrozumiałem, że mam przed sobą list od Adama Milicza, którego straciłem z oczu zaraz po zakończeniu roku szkolnego w 1959.

Powrócił dobrze znany mi strach sprzed lat.

To ciekawe. Mój ojciec zawsze mówił, że nie bał się niczego – ani podczas wojny domowej, ani w czasie okupacji, ani później. Ja natomiast nieustannie odczuwałem lęk. Może to tak właśnie miało być – ojciec bohater, a syn tchórz? Przecież tchórz, choć niby nikogo nie krzywdzi, tak naprawdę wyrządza więcej szkody niż ktoś walczący bronią. Przypomniała mi się myśl Roberta Eberhardta na temat ludzi, którzy „nie zabijają i nie zdradzają, ale za ich milczącą zgodą mord i zdrada istnieją na świecie”. Ja właśnie taki byłem. Mogliby mi te słowa wyryć na nagrobku. Westchnąłem i wstałem zalać sobie herbatę, bo czajnik właśnie zaczął gwizdać. Bela zeskończyła z okna i lasiła mi się do nóg, ponieważ zapomniałem ją nakarmić. Dałem jej jeść, zastana-

wiając się, co mógł do mnie napisać Adam Milicz po tylu latach. Czy były to pretensje i wyrzuty? Nie miałem pojęcia.

Witaj, stary druhu – przeczytałem. Na pewno zdziwi Cię mój list, ale jesteśmy tak starzy, a ja zbliżam się właśnie do śmierci, mam nieoperacyjnego raka i zostało mi kilka tygodni życia, że należy pewne sprawy załatwić, a niektóre historie dopowiedzieć do końca.

Od dawna tak naprawdę żyję ciągle wiosną 1959, kiedy umarła Iwona. Ten czas jest dla mnie jedynym prawdziwym, nigdy nie przemija, nigdy się nie kończy. Czy to oznacza, że żyję bez przyszłości? W pewnym sensie na pewno tak, bo choć mijają lata, ja nie mogę uwolnić się od wspomnień.

Wiedz, że nigdy nie miałem Ci za złe tych szkolnych figlów z zabraniami butów czy klasówką. Wiedziałem, że kochasz się w Iwonie, i potrafiłem Cię zrozumieć. Zresztą zawsze Cię lubiłem, byłeś dobrym i lojalnym kolegą. Powiedziałbym nawet – wspaniałomyślnym, biorąc pod uwagę sytuację, w jakiej się znalazłeś.

Od razu przyznam, że ta historia z obrazem była bardzo głupim wybrykiem. Z perspektywy czasu widzę, że Leon nosił w sobie jakiś pierwiastek szaleństwa, a przecież i jego matka chorowała na schizofrenię. Ten chłopak miał naprawdę przerażające pomysły i zdolny był do najdziwniejszych zachowań. Niczego się nie bał, co on uznawał za „straceńczą odwagę”, ja zaś za skrajną głupotę.

Leon uważał Cię za mięczaka, do tego zakochanego na zabój w Iwonie. Co chwila sączył mi do ucha jad w postaci złośliwości na nasz wspólny temat. Uważał, że tworzymy „wynaturzony trójkąt”, gdzie każdy podnieca się tajemnicami pozostałych i ekscytuje cierpieniem. Dlatego też między innymi zaczął interesować się Iwoną, by wejść – jak to ujął – między nas i „spijać te fałszywe miazmaty”. Naprawdę lekko mu odbijało, a może nawet całkiem poważnie.

Młodość ma swoje mokradła i zdrażliwe miejsca. Przyjaźń z Leonem była jednym z nich. Ulegałem mu, bo coś mnie w nim fascynowało. Może te szalone idee, może ta brawura, może ta aura tajemniczości otaczająca jego – trudno zaprzeczyć – oryginalne pomysły i eskapady.

W każdym razie, przyznaję, zgodziłem się nie tylko na wyprawę do domu doktora, ale na podrzucenie Ci popielniczki i zabranie obrazu. Moja wina. Wówczas wydało mi się to zabawne i szatańsko sprytne. Dzisiaj przeklinam swoją głupotę i brak rozsądku, bo pamiętam, dokąd nas to zaprowadziło. A mnie zmieniło na zawsze i nigdy już nie byłem taki jak kiedyś. Stałem się zamknięty w sobie i zły. Nie potrafiłem zbliżyć się do Ciebie ani do nikogo innego. Zostałem sam.

Na ostatni rok szkolny przeniosłem się na Śląsk, bo tam matka znalazła lepiej płatną pracę. Po maturze wyjechałem do Gdańska, gdzie studiowałem w Szkole Morskiej, licząc na to, że jako marynarz łatwiej opuścę kraj. Zostałem nawigatorem i pływałem po całym świecie. Był to dla mnie rodzaj ucieczki, bo nigdzie dłużej nie zagrzewałem miejsca.

Pewnego razu, a były to już lata 80., mój statek popłynął do Brazylii. Były jakieś problemy techniczne, czekaliśmy na części, załoga się nudziła i dużo czasu spędzaliśmy w portowych knajpach.

Wówczas ostro popijałem. Kiedy nie piłem, to śniły mi się koszmary, a właściwie ciągle ten sam sen. Wracałem w nim do domu Iwony Horn, znowu siedziałem w ciemnościach w jej pokoju, trzęsąc się ze strachu i patrząc, jak zamaskowany napastnik morduje ją nożem. Potem mordował mnie. Nigdy nie zobaczyłem jego twarzy, a sen był tym bardziej przerażający, że zawsze wiedziałem, co nastąpi dalej. Piłem więc, żeby nie pamiętać o tym albo w ogóle tracić przytomność i nie zasypiać.

Tego dnia wylądowałem w portowej knajpie, w której spotykali się marynarze ze statków takich jak nasz, mających dłuższą przerwę w trasie. Pełno było Rosjan, Niemców i rozmaitych egzotycznych typów. Pomiedzy nimi kręciły się „panie do towarzystwa” i różni poszukiwacze przy-

gód.

Wśród nich był Polak, który słysząc, jak rozmawiam z moimi kolegami ze statku, przysiadł się do nas, by – jak twierdził – pomówić w ojczystym języku.

Szybko okazało się, że jest (a właściwie był, bo tutaj w Brazylii imal się różnych prac) dziennikarzem. Pracował w kilku redakcjach warszawskich gazet, a pod koniec lat 60. uciekł na Zachód. Początkowo mieszkał w Niemczech, gdzie różnie mu się wiodło i nie zdołał się usatysfakcjonować. Był niespokojnym duchem, którego rzucano to tu, to tam. W ciągu dziesięciu lat zwiedził prawie całą kulę ziemską. Gdzie on nie był i czego nie robił! Opowiadał tak barwnie, że zacząłem się nawet zastanawiać, czy nie mam do czynienia z jakimś współczesnym wcieleniem barona Münchhausena.

Moi koledzy, a byli to doświadczeni marynarze, którzy także z niejednego pieca chleb jedli, aż usta otwierali ze zdumienia, tak wielki talent narracyjny miał ów dziennikarz.

Gdy znudzilo mu się już rozprawianie o swoim życiu, zapytał mnie, skąd pochodzę. Niezbyt chętnie odpowiedziałem, że z Krakowa.

Wtedy odparł, że jego macierzysta stołeczna gazeta w późnych latach 50. i 60. wysyłała go do naszego miasta jako sprawozdawcę sądowego. Zwłaszcza w głośnych procesach o morderstwo. Wspomniał słynną sprawę Karola Kota, którą relacjonował dla swego dziennika, oraz proces zabójcy Iwony Horn.

„Nie wiem, czy pamięta pan te sprawy” – zwrócił się do mnie, a ja jednym przechyleniem szklanki wypilem całego drinka, czując się tak, jakbym z przeszłości przywołał jakiegoś upióra.

„Słabo” – powiedziałem, starając się zachować obojętność. „Minęło już tyle lat... Karol Kot zabił chyba jakieś dziecko, prawda?”

„Tak” – pokiwał głową dziennikarz. „To była słynna sprawa w Krakowie, atakował starsze kobiety w bramach domów lub w kościele, no i zadźgał tego biednego chłopca wracającego z sanek... Maniakalny zabójca, dostał czapę zupełnie słusznie, czytałem nawet, że sekcja zwłok ujawniła u niego rozległego guza mózgu... Natomiast ta druga sprawa, tej uczennicy Horn, była co najmniej dziwna...”

„Co pan ma na myśli?” – spytałem. „W ogóle nie pamiętam takiego morderstwa...”

Machnął ręką na barmana, by nalał nam następną kolejkę.

„Zawikłana historia, jak wszystko w tamtych czasach. Był rok 1959, wie pan, kilka lat po Odwilży. Ojciec tej Horn jako stalinowski prokurator miał sporo na sumieniu, w tym kilka, jak to się mówi »mordów sądowych«, oskarżał w procesach WiN-owców. Jednym słowem, ręka mu nie drżała, gdy podpisywał wyroki śmierci...”

„Rozumiem” – powiedziałem obojętnie, a on zapalił się do swojej opowieści.

„Dziewczynę zamordowano w Święta Wielkanocne. Rodzice wyjechali, a ona została z jakiegoś błahego powodu. Gdy analizowałem tę sprawę, doszedłem do wniosku, że być może umówiła się z kimś na noc, wie pan – wolne mieszkanie, miły wieczór. Zwłaszcza że kręcił się tam jakiś chłopak w płaszczu w kratkę, tak przynajmniej zeznawał sąsiad, który usłyszał kroki na schodach i wyjrzał z ciekawości przez drzwi”

„Ach tak” – powiedziałem tylko. „Sąsiad rozpoznał tego chłopaka?”

Były dziennikarz pokręcił przecząco głową.

„Nie. I w ogóle nie wiadomo, czy to był chłopak, czy dorosły mężczyzna. Widział go w półmroku i tyłem, dosłownie przez moment. Dziwne, że dostrzegł ten płaszcz”

„Z tego co pamiętam – dorzuciłem – płaszcze w kratkę były wówczas bardzo modne. Sam miałem taki!”

„No widzi pan! To mógłby być każdy, poza tym nigdy nie odnaleziono tego mężczyzny. Milicja zresztą natychmiast zarzuciła ten wątek, bo szybko odnalazła sprawcę...”

„Tak?” – zdziwiłem się, jak mi się zdawało – szczerze.

„Tak. Do zabicia Iwony Horn przyznał się niejaki Jacek Maliszko, młodszy brat »Partyzanta«, dowódcy oddziału WiN-u, skazanego na śmierć pod koniec lat 40.”

„Horn oskarżał w tym procesie?” – zapytałem, a on skinął głową.

„Bardzo dobrze kojarzy pan fakty! Rozumie pan – proste połączenie: Horn skazuje brata na karę śmierci, Jacek Maliszko mści się na rodzinie Horna. Było tylko jedno ale. A właściwie dwa”.

„Jakie?”

„Maliszko był chory psychicznie. Tuż przed zabójstwem wyszedł ze szpitala psychiatrycznego w Kobierzynie. Według mnie znajdował się w takim stanie, że nie dałby rady zaplanować tego morderstwa, a co dopiero zrealizować swoich zamierzeń... Za to wmówić mu, że zabił Iwonę Horn, było bardzo łatwo...”

„Skąd pan to wie?” – przerwałem mu.

Pokiwał głową i upił nieco ze swej szklanki.

„Ciekawiła mnie ta sprawa. Od początku, jak tylko zobaczyłem Maliszkę na sali sądowej, wiedziałem, że on tego nie zrobił. To był taki typ śliniącego się idioty. Owszem, mógłby zabić i zgwałcić tę Iwonę, gdyby na przykład zaczął się na nią w parku czy gdzieś w ciemnej bramie, ale mordować z premedytacją? Włamać się do mieszkania? Nigdy w życiu. Zresztą w protokołach milicyjnych znalazłem informację, że Iwona sama otworzyła drzwi sprawcy. Czy wyobraża pan sobie, że młoda, niegłupia dziewczyna, która jest sama w domu, otwiera drzwi facetowi o wyglądzie Quasimodo? Musiałaby być szalona...”

„No tak, to rzeczywiście interesujące” – powiedziałem ostrożnie.

On obrócił szklankę w dłoni, a potem zapatrzył się w półkę nad barem.

„Zabawiłem się więc w detektywa amatora. Najbardziej zastanowił mnie ten chłopak w płaszczu w kratkę. Rozumowałem tak: być może był to jakiś wielbiciel, którego zaprosiła do siebie. Może chłopak obiecywał sobie za wiele, może ona stchórzyła i facet w gniewie ją zabił? Różne bywają przypadki – w takiej sytuacji pełnej emocji ludzie potrafią zachować się nieobliczalnie. No więc zacząłem dyskretnie przepytawać ludzi o jej chłopaków, narzeczonych...”

„I co?” – spytałem, a lodowaty dreszcz przeszedł mi po plecach.

Wzruszył ramionami.

„Okazało się, że panna Horn nie była wcale taka święta. Prowadzała się co prawda z kilkoma smarkaczami, ale spotykała się też ze starszymi mężczyznami, w tym z fotografem, który robił jej nieprzyzwoite zdjęcia. I nie tylko jej... Zachowała się teczka z fotografiami innych dziewcząt, także bardzo młodych... Poza tym ten pan od czasu do czasu wychodził ze swego zakładu i o określonej godzinie siadał na ławce, gdzie spędzał dobre trzy kwadranse i wracał do siebie...”

„Informator безпеki” – powiedziałem, gwałtownie przechylając szklankę.

Mój rozmówca popatrzył na mnie z aprobatą.

„Od razu widać, że żył pan w tym kraju! To samo przyszło mi do głowy. Cekał na swój kontakt. Widocznie kazali mu przychodzić w określone dni po rozkazy. Może miał coś zabrać z ławki albo z jakiegoś innego miejsca, bo przez ten czas nie spotykał się z nikim...”

„I co było dalej?” – spytałem. „Jak skończyła się ta sprawa? Do czego pan doszedł?”

Dziennikarz zamyslił się.

„Zrozumiałem, że dziewczyna mogła paść ofiarą pewnej gry – służba bezpieczeństwa wykorzystywała te kobiety jako przynętę, by dzięki nim kompromitować wybranych mężczyzn. Ona domyśliła się lub dowiedziała, kto za tym stoi, i ją zamordowano. No ale wie pan, nie miałem żadnych dowodów, a sama taka wiedza jest niebezpieczna. Postanowiłem się w to nie mieszać,

bo życie mi było miłe. Dokończyłem więc sprawozdanie z procesu Maliszki, którego zgodnie z moimi przewidywaniami skazano na karę śmierci, choć ten człowiek zachowywał się jak zupełnie niepoczytalny, i wróciłem do Warszawy. Kilka lat później urwałem się ze smyczy i wyjechałem na Zachód. Zapomniałbym o tej sprawie zupełnie, gdyby nie dziwne spotkanie, do którego doszło, gdy byłem w Stanach Zjednoczonych”.

„W Stanach?” – nie rozumiałem, co mogło mieć to wspólnego ze sprawą Iwony Horn.

„Tak. To jest najbardziej niesamowita część tej historii. Pracowałem wówczas w pewnej polonijnej gazecie, robiłem wywiady i reportaże z emigrantami z Polski. To był już stan wojenny, wszyscy się nami interesowali, wie pan, papież, Wałęsa, Solidarność i tak dalej. Obracałem się w tym środowisku. I tak pewnego dnia trafiłem na człowieka, który przedstawiał się jako Bernard. Nie wiedziałem, czy to jego imię, czy nazwisko, w każdym razie wszyscy tak się do niego zwracali. Był mężczyzną koło sześćdziesiątki o mocno tajemniczej przeszłości. Chciałem nawet zrobić z nim wywiad, ale on się jakoś do tego nie palił. W ogóle dosyć ostrożnie mówił o sobie i wiedziałem tylko, że opuścił Polskę w 1969 z ostatnią falą emigrantów z marca. W Ameryce zupełnie nieźle sobie radził, najpierw jeździł na wielkich ciężarówkach, potem założył własną firmę przewozową. Zaprzyjaźniliśmy się i po pewnym czasie, z różnych uwag i aluzji, jakie puszczał, zrozumiałem, że w kraju był – jak to oni mawiali – pracownikiem resortu”.

„Ubekiem...” – skomentowałem, dopijając swego drinka i od razu prosząc o następnego.

„Tak. Pewnego dnia popiliśmy ostro i zebrало go na zwierzenia. Jak mówił, miał już wszystko w dupie, bo wykryto u niego raka trzustki, a ten wykańcza błyskawicznie. Opowiedział mi, że podczas wojny był w partyzantce, gdzie zajmował się dywersją. Szybko stało się dla mnie jasne, że wykonywał wyroki śmierci. Bardzo mnie to zainteresowało, bo takich ludzi rzadko się spotykało. Może mi pan wierzyć lub nie, ale w podziemiu było kilkanaście grup egzekucyjnych i żaden z jej członków nie przyznawał się po wojnie do tego, co robił. Myślałem, że wyciągnę od niego coś na ten temat, ale on tylko pokręcił przecząco głową i zaczął opowiadać o swojej karierze po wojnie. Wstąpił do Służby Bezpieczeństwa i pracował w resorcie aż do 1968, gdy zaczęła się antysemitka nagonka. Wykorzystał fakt, że jego matka była Żydówką, i wyjechał z kraju. Próbowałem podpytać o jego pracę, ale spojrzał tylko na mnie groźnie. Powiedział, że nie chce o tym mówić, bo firma ma długie ręce. »Różne rzeczy się tam działy w latach 50. i 60., sam pan wie« – powiedział. »Potem przyszedł Gierek i próbował ucywilizować te służby« – tu zaśmiał się jakimś złośliwym rechetem. »Ale dalej zdarzały się różne tak zwane wypadki przy pracy i inne skandale, które przenikały do wiadomości publicznej«. Nie rozumiałem go – o jakich »wypadkach przy pracy« mówił? Wtedy opowiedział mi pewną historię ze starych czasów, starał się oczywiście zmienić wszystkie możliwe szczegóły, ale ja bez trudu się zorientowałem, że mówi o morderstwie Iwony Horn.

W domu, w którym się wydarzył ów »wypadek przy pracy«, mieszkał handlarz walutą. Milicja i Służba Bezpieczeństwa interesowały się bardzo waluciarzami, między innymi dlatego, że byli z nich znakomici informatorzy. Ten handlował również złotymi pięciorubłówkami. »O tym faciecie doniósł nam inny figurant, pewien fotograf, którego mieliśmy w ręku, bo bardzo lubił robić zdjęcia młodym panienkom« – opowiadał Bernard. Na polecenie ów fotograf śledził więc waluciarza, sprawdzając, kto do niego przychodzi i z kim się spotyka. Jak się okazało, było to bardzo interesujące towarzystwo, bo ludzie, wciąż jeszcze doskonale pamiętający wymianę pieniędzy z 1950, która odbyła się w sposób nagły i super tajny w nocy z soboty na niedzielę, doprowadzając wielu do utraty majątku, woleli lokować gotówkę w czymś pewniejszym. W złocie na przykład. Ponieważ jednak waluciarz się opierał i kapować nie chciał, zapadła decyzja, żeby go postraszyć. Facet mieszkał samotnie, więc dwóch ludzi miało pod osłoną nocy wejść do niego do domu i sprawić, żeby zmiękł. »Takie rzeczy robiło się wówczas dosyć często« – tłumaczył Bernard. »Po-

rywało się faceta i fingo wało egzekucję w lesie albo najczęściej dostawał, pardon my French, wpierdol i od razu był bardziej chętny do współpracy. Często wynajmowało się do tej niewdzięcznej roboty różnych mętów, którzy ochoczo odwiedzali się władzy za przymykanie oka. Tak też było w tej sytuacji. Figurant wskazał mieszkanie ofiary, a grupa miejscowych zakapiorów poszła nauczyć waluciarza moresu. Niestety wydarzył się ten wypadek przy pracy. Weszli do złego mieszkania. Nie zastali w nim faceta, tylko jakąś dziewczynę. Początkowo myśleli, że to jego kochanka, potem zrozumieli, że się pomylili. Ponieważ dziewczyna zaczęła wrzeszczeć i usiłowała uciekać, musieli ją uciszyć. Poza tym bali się, że kobieta może ich rozpoznać. No cóż, takie sprawy się zdarzają – włamanie, napad z bronią, ktoś gniew. Nawet nietrudno jest coś takiego zatuszować. Tym razem było jednak było inaczej – dziewczyna okazała się córką kogoś ważnego z aparatu władzy. »Resort sporo się musiał nagłowić, żeby ukryć tę sprawę« – śmiał się Bernard. Pracowali jak szaleni, żeby znaleźć jakiegoś wiarygodnego sprawcę. No i znaleźli – niby że ktoś zabił córunię, żeby się zemścić na partyjnym tatusiu. Ludzie oczywiście w to uwierzyli, a jakiś biedny idiota dostał za to czapę. »Tak wyglądały ówczesne tak zwane wypadki przy pracy« – zakończył Bernard. »Dlatego nie chciałbym za dużo opowiadać, żeby i mnie się jakiś nie przydarzył. Mało mi czasu zostało, ale wolę umrzeć we własnym łóżku niż ze skrzyconym karkiem po upadku ze schodów w parterowym domu«.

Rzeczywiście chyba po trzech miesiącach od tej rozmowy zmarł. Próbowałem się czegoś o nim dowiedzieć, choćby jaką rolę odgrywał w zabójstwie Iwony Horn. Nic. Czarna dziura. Jakby pojawił się całkowicie znikąd i w nicości się rozplątał. Bernard to nie było ani jego prawdziwe imię, ani nazwisko, a dokumenty, którymi posługiwał się w szpitalu, także były fałszywe. Człowiek widmo. Dotarłem do ludzi, którzy go znali już tam w Ameryce, ale oni także nic o nim nie wiedzieli.

Po raz kolejny nitka tego śledztwa wymknęła mi się z rąk...”.

Dziennikarz zamyślił się i w milczeniu dopił swego drinka. Chciałem coś powiedzieć, ale nic nie przychodziło mi do głowy. Potem rozmawialiśmy już tylko o nieistotnych sprawach, pożegnaliśmy się i nie widziałem go więcej.

Wiedziałem już, że nie odnajdę mordercy Iwony Horn. Pogodziłem się z myślą, że nigdy nie zrozumie do końca, co tego dnia stało się w mieszkaniu na Batorego. Kto jeszcze wiedział o tym wszystkim? Do którego z sąsiadów mieli przyjść mordercy Iwony, by „nauczyć go rozsądku”?

Nie chciałem też, żeby ta historia odeszła ze mną do grobu. Pragnąłem opowiedzieć ją właśnie Tobie, który uczestniczyłeś w tamtych wydarzeniach. Cóż, stary druhu, tamte wydarzenia położyły się cieniem na moim życiu i pewnie również na twoim.

Dzisiaj ciąży mi to bardziej niż kiedykolwiek, często wracam pamięcią do czasów naszej młodości, do beztraskich dni, zanim śmierć Iwony Horn zmieniła wszystko.

Jak myślisz? Czy jednak byliśmy wtedy szczęśliwi?

Zamyśliłem się nad listem Adama. Spojrzałem przez okno na ulicę. Na rogu Batorego nie było już od dawna posterunku, jego miejsce zajął duży bank, nie działał też żaden ze sklepów zapamiętanych przeze mnie z dzieciństwa. Ubezpieczalnia, w której pracował doktor, zamieniła się w ośrodek zdrowia, ale nadal, jak w latach 50., okropnie śmierdziało tam najtańszymi środkami dezynfekującymi. Na parterze domu Iwony był teraz sklep z ptakami. Codziennie, gdy przechodziłem tamtędy z moją gazetą i skromnym śniadaniem w torbie, patrzyłem z przyjemnością na kanarki i papużki swiergoczące w klatkach na wystawie.

A więc myliliśmy się z doktorem, podejrzewając majora Nowakowskiego o zabicie Iwony, która zginęła przypadkiem, przez pomyłkę, bo zabójca przyszedł zupełnie do kogoś innego. Czy w takim razie wymyśliłmy sobie całą wielką intrygę bezpieki polegającą na wykorzysty-

waniu młodych dziewcząt do szantażowania ludzi niewygodnych dla władzy? Czy kiedykolwiek mieliśmy pewność, że pornograficzny interes Albina Zadurskiego działał na zlecenie tajnych służb? A może rzeczywiście – fotograf był konfidentem, a milicja w zamian przymykała oko na jego „niewinne” hobby? Bo tak naprawdę chodziło o handel walutą na wielką skalę?

A jednak to właśnie tą spokojną uliczką wieczorem w Wielki Piątek 1959 roku przemknęli mordercy Iwony. Może schowali się w mojej bramie, czekając na dobrą okazję? Może ich znałem? W końcu w dzielnicy Piasek nie brakowało różnych mętów, zwłaszcza że kilka numerów od mojego domu mieściła się słynna melina Pod Błękitnym Aniołem, serwująca całodobowo różne trunki.

Popatrzyłem na chodnik, którym szły dwie młode dziewczyny, śmiejąc się głośno. Pewnie to były studentki udające się na zajęcia do pobliskiego Instytutu.

Iwona Horn zginęła, bo takie były zbrodnicze czasy. Wszyscy ponieśliśmy niezasłużoną karę. I doktor Gruszewski. I Adam Milicz. I biedny Jacek Maliszko. I wreszcie ja.

Straszne, jak sekrety z przeszłości mogą wpływać na życie ludzi, którzy z tymi tajemnicami nie mają nic wspólnego. Przychodzą do nich, niespodziewających się niczego, w nocy, i chwytają za gardło.

Oparłem twarz na dłoniach i pogrążyłem się w rozpacz.

•

Czy teraz mi ulżyło? Chyba nie jest to już możliwe, nie po tylu latach i przy tak wielu niewiadomych. Kiedy rozpoczynaliśmy z doktorem nasze śledztwo, nie wiedzieliśmy, dokąd nas zaprowadzi. Odkryliśmy tajemnice, których istnienia nawet się domyślaliśmy, zdrady i ludzką niegodziwość.

Jestem stary i często teraz płaczę. Żadne łzy jednak nie cofną już czasu i niczego nie zmienią. Wiem o tym, lecz każdego dnia smutek i żal ściskają mi serce. Nigdy nie wybaczyłem sobie, że nie miałem więcej odwagi i tyle razy zawiodłem... Wiem jednak, że już wkrótce wszystkie wspomnienia rozwieją się, znikną – „Kto umiera, płaci swoje długi”, powiedział Szekspir, toteż i ja je niedługo spłacę. Na pewno...

•

POSŁOWIE

Historia morderstwa Iwony Horn jest całkowicie fikcyjna, jakkolwiek impulsem do napisania jej były autentyczne i niewyjaśnione do dzisiaj sprawy kryminalne z lat 50. i 60. – zabójstwo Bohdana Piaseckiego, syna szefa PAX-u, porwanego sprzed szkoły i zasztyletowanego w roku 1957 oraz tajemnicze morderstwo uczennicy Magdy Sobczak, które miało miejsce w Łodzi w 1962.

Nie jest to powieść historyczna, więc z góry przepraszam wszystkich, którzy odnajdą w *Dziewczynie z aniołem* nieścisłości dotyczące realiów. Kraków lat 50. znam z przekazów mojej Rodziny, starych gazet, zdjęć oraz pamiątek. Topografię miasta, także ulicy Batorego, na której w przeważającej części toczy się akcja, nieco zmodyfikowałam – było to niezbędne dla mojej opowieści.

Uprościłam także historię wojny domowej w Hiszpanii, zaledwie rysując przed Czytelnikiem mnogość organizacji lewicowych uczestniczących w walkach po stronie republikanów. Nieocenioną pomocą była mi książka George’a Orwella *W hołdzie Katalonii*, będąca zapisem jego przeżyć na froncie.

Chciałabym serdecznie podziękować moim Rodzicom i wszystkim osobom, które podzieliły się ze mną swoimi wspomnieniami o dzieciństwie i młodości w Krakowie na przełomie lat 50. i 60. Także tym dobrym duchom, które udostępniły niezwykle ciekawe fotografie z tego okresu.

Specjalne podziękowania kieruję do pierwszych czytelników tej książki – mojej Mamy, Męża oraz Zbrodniczych Siostrzyczek: Adrianny Michalewskiej i Marty Guzowskiej, za wnikliwą lekturę i dociekliwe pytania. Wasze uwagi sprawiły, że książka jest o wiele lepsza.

Dziękuję też redaktorce tej powieści, Karinie Stempel-Gancarczyk za nieocenioną pomoc i znakomite wyczucie nastroju *Dziewczyny z aniołem*.

Dokumentując powieść, wielokrotnie chodziłam śladami moich bohaterów, robiłam zdjęcia o różnych porach roku. Wyobrażałam sobie miasto, po którym jeżdżą dorożki i stare samochody: pobiady, czarne citroeny (auta SB) i motocykle „Iż”. W wyobraźni widziałam kobiety w długich wąskich spódnicach i krótkich żakietach zapinanych na perłowe guziki, w kapeluszkach i rękawiczkach, mężczyzn w garniturach i nieodłącznych nakryciach głowy. Próbowałam patrzeć na Kraków oczami moich bohaterów.

Co zobaczyłam? Mam nadzieję, że właśnie o tym opowiedziałam Państwu w *Dziewczynie z aniołem*.

Agnieszka Krawczyk